

JOHN BANVILLE

MORZE

przełożył Jerzy Jamiewicz

Wydawnictwo Znak
Kraków 2007

dla Colma, Douglasa, Ellen i Alice

I

Odjechali, bogowie odjechali, w dniu osobliwego przyływu. Przez cały ranek wody w zatoce nabrzmiwały pod mlecznym niebem, wznosząc się na niesłychaną wysokość, a małe fale, raczkując, pełzły po spierzchniętym piasku, który od lat, prócz deszczu, nie zaznał wilgoci, i omywały obrzeża wydm. Zżarty przez rdzę kadłub frachtowca, który osiadł na mieliźnie na dalekim krańcu zatoki w czasach przez nikogo już nie pamiętanych, pewnie pomyślał, że dostaje w darze ponowne wodowanie. Od tego dnia przestałem pływać. Mewy kwiliły i pikowały, jakby wytrąciło je z równowagi to widowisko w wykonaniu wielkiej misy wodnej pęczniejącej jak pęcherz, ołowianogranatowy i złośliwie lśniący. Ptaki wydawały się nienaturalnie białe, wtedy, tego właśnie dnia. Fale zostawiały wzdłuż wodnicy margines brudnej, żółtej piany. Żaden żagiel nie szpecił wysokiego horyzontu. Już nigdy nie będę pływać, już nigdy.

Zadrzałem. Jakby ktoś przeszedł po moim grobie. Ktoś.

Dom nazywa się Pod Cedrami, jak dawniej. Nastroszona kępa tych drzew, małpiobrzazowych o smolistym zapachu, których pnie płaczą się upiornie, nadal rośnie po lewej stronie budynku, za zaniedbaną łąką, naprzeciw wielkiego łukowatego okna w pokoju, który kiedyś był pokojem dziennym, ale który panna Vavasour woli nazywać, w swoim języku właścicielki pensjonatu, salonikiem. Frontowe drzwi są po drugiej stronie, wychodzą na wysypane żwirem podwórko upstrzone plamami oleju, które zamyka żelazna brama, nadal pokryta zieloną farbą, choć rdza zamieniła rozpórkę w drżący filigran. Zadziwiające, jak niewiele zmieniło się od ponad półwiecza, które upłynęło od mojej ostatniej wizyty. Byłem zdziwiony i rozczarowany, powiedziałbym nawet wstrząśnięty, z powodów mi bliżej niezrozumiałych, dlaczego bowiem miałbym oczekiwać zmiany, ja, który wróciłem tu po to, żeby żyć na rumowisku przeszłości? Chciałbym wiedzieć, dlaczego dom postawiono właśnie tak, jakby bokiem, upstrzoną kamykami bezokienną, pobieloną ścianą równoległą do drogi; może w dawnych czasach, zanim poprowadzono tu kolej żelazną, droga biegła w innym zgoła kierunku, tuż przy frontowych drzwiach, wszystko możliwe. Panna V. nie ma głowy do dat, ale wydaje jej się, że domek postawiono na początku zeszłego wieku, to znaczy przedostatniego wieku, gubię się w tych tysiącletniach, a potem rozbudowywano go bez ładu ni składu przez kolejne lata. Tłumaczyłoby to sztukowany wygląd tego miejsca, gdzie małe pokoiki prowadzą do większych pomieszczeń, okna wychodzą na ślepe ściany, a stropy wszędzie są nisko. Sosnowe posadzki wydają nautyczny dźwięk, podobny do dźwięku mojego krzesła obrotowego z wrzecionowatym oparciem. Wyobrażam sobie starego żeglarza, który, zamieniony w końcu w szczura lądowego, przysnął przy kominku, gdy zimowy wicher grzechotał okiennicami. Och, jak bardzo żałuję, że nie jestem tym żeglarzem. Że nim nie byłem.

Kiedy przyjeżdżałem tu dawno temu, w czasach bogów i bogiń, Dom pod Cedrami był domem letniskowym, do wynajęcia na dwa tygodnie lub miesiąc. W czerwcu każdego roku opanowywali go zamożny lekarz i jego liczna, hałaśliwa rodzina – nie znosiliśmy krzykliwych dzieciaków tego lekarza, śmiały się z nas i obrzucały kamieniami zza nieprzekraczalnej bariery, jaką była brama; a po nich bywało tu tajemnicze małżeństwo w średnim wieku, para, która z nikim nie rozmawiała i z ponurą miną wyprowadzała swojego jamnika, w milczeniu, o tej samej porze każdego dnia rano, udając się Station Road nad brzeg morza. Sierpień był najciekawszym miesiącem w Domu pod Cedrami – dla nas. Lokatorzy zmieniali się każdego roku, przyjeżdżali z Anglii, z kontynentalnej Europy, jakaś dziwna para, którą próbowaliśmy podglądać, spędzała z nami miesiąc miodowy, a raz nawet zawitała tu wędrowna trupa aktorów, którzy wystawili popołudniowe przedstawienie w wiejskim kinie w budzie z galwanizowanej blachy. A potem, w tamtym roku, przyjechała rodzina Grace'ów.

Najpierw zobaczyłem ich samochód, który stał zaparkowany na zwirowym podjeździe za bramą. Był to nisko zawieszony, porysowany i poobijany czarny model z beżowymi skórzanymi fotelami i dużą, lśniącą, drewnianą kierownicą. Na zagraconej półce pod silnie nachyloną tylną szybą auta leżały w bezładzie książki w wypłowiałych okładkach i z zagiętymi rogami, a także mapa turystyczna Francji, mocno już sfatygowana. Frontowe drzwi domu były szeroko otwarte, słyszałem więc dobiegające z wnętrza głosy, z parteru, a z górnego piętra rozlegał się tupot bosych stóp po podłodze i śmiech jakiejś dziewczynki. Zatrzymałem się przed bramą i, szczerze mówiąc, podслуchiwałem, kiedy nagle z domu wyszedł mężczyzna ze szklanką w dłoni. Był niskiego wzrostu, jakby przeciążony u góry, miał szerokie ramiona, takąż klatkę piersiową i wielką, okrągłą głowę, krótko ostrzyżone, kędzierzawe i lśniące włosy, upstrzone wczesną siwizną, oraz czarną kozią bródkę, podobnie upstrzoną. Ubrany był w luźną zieloną koszulę, rozpiętą, i krótkie spodenki khaki, był bosy. Skórę miał tak spaloną od słońca, że przybrała fioletowawy połysk. Zauważyłem, że nawet podbicia jego stóp były brązowe; doświadczenie kazało mi oczekiwać, że większość ojców jest pod linią kołnierzyka biała jak rybie podbrzusza. Mężczyzna postawił szklankę – lodowatobłękitny dżin z lodem i plasterkiem cytryny – pod niebezpiecznym kątem na dachu samochodu, otworzył drzwi od strony pasażera, pochylił się i znikł w środku, żeby wygrzebać coś spod deski rozdzielczej. Na niewidocznym piętrze dziewczynka roześmiała się ponownie, po czym w udawanym przerażeniu wydała z siebie dziki trel i znowu dobiegł mnie tupot biegnących stóp. Grali w berka, dziewczynka ze swoim bezgłośnym towarzyszem zabawy. Mężczyzna wyprostował się, zdjął z dachu szklankę z dżinem i zatrzasnął drzwiczki. Nie wiem, czego szukał, ale na pewno tego nie znalazł. Kiedy odwrócił się plecami do domu, nasze spojrzenia spotkały się i puścił do mnie oko, ale nie tak, jak zazwyczaj robią to dorośli, zarazem figlarnie i przymilnie. Nie, to było

kumoterskie, konspiracyjne mrugnięcie. Powiedziałbym wręcz, że masońskie, jak gdyby w tej chwili, którą dzieliliśmy, dwóch nieznanym, dorosły i chłopiec, choć pozornie bez znaczenia, a nawet bez treści, krył się jednak jakiś sens. Jego oczy miały nadzwyczajnie białe, przezroczyste odcienie błękitu. Skierował się do domu, ale zanim przekroczył próg, zaczął do kogoś mamrotać. „Cholera jasna”, powiedział, „wygląda na to...” i zamilkł. Przez chwilę zwlekałem z odejściem, obserwując okna na piętrze. Nie pojawiła się w nich żadna twarz.

Takie było moje pierwsze spotkanie z rodziną Grace'ów: głos dziewczynki dobiegający z wysoka, tupot biegnących stóp, a na dole mężczyzna o błękitnych oczach, mrugający do mnie w ten bez troski, intymny i lekko sataniczny sposób.

Właśnie złapałem się na tym ponownie: na tym wysokim, zimowym gwizdaniu. *Tiiit, tiiit*, jak bormaszyna u dentysty. Tak gwizdał mój ojciec, czy to znaczy, że zamieniam się w niego? W pokoju po drugiej stronie korytarza pułkownik Blunden słucha radia. Szczególnym upodobaniem darzy wieczorne słuchowiska, podczas których dzwonią rozgniewani słuchacze, żeby ponarzekać na występnych polityków, na ceny alkoholu i na inne odwieczne przyczyny irytacji. „Zawsze to jakieś towarzystwo”, rzuca krótko i odchrząkuje, wygląda jak zbity z tropu, a jego wyłupiaste, zaczerwienione oczy unikają mojego spojrzenia, choć przecież nie zachowuję się wyzywająco. Czy słuchając radia, leży na łóżku? Trudno mi go sobie wyobrazić, jak macha palcami u stóp w tych swoich grubych wełnianych skarpetach, leży bez krawata, z rozpiętym kołnierzykiem, a dłonie ma założone na stary, żyłasty kark. A kiedy wyjdzie z pokoju, jest wyprostowanym mężczyzną, od podeszew butów, wielokrotnie naprawianych i wyglansowanych, po czubek stożkowej czaszki. Co niedziela rano idzie do wioskowego fryzjera i każe strzyc się na zapałkę, z boku i z tyłu, bez litości, zostaje tylko szary, sztywny jastrzębi czub na górze. Słyszę szum głosów dobiegających z radioodbiornika, ale nie potrafię zrozumieć, o czym mówią. To miejsce może doprowadzić mnie do szaleństwa. *Tiiit, tiiit*.

Później tego dnia, kiedy przyjechali Grace'owie, a może dnia następnego, albo dwa dni po nim, znowu zobaczyłem czarny samochód, od razu go poznałem, kiedy podskakiwał na garbatym wiadukcie nad torami kolejowymi. Stoi tam nadal, ten wiadukt, kilka kroków za stacją. No właśnie, przedmioty potrafią przetrwać, a żywi tymczasem znikają. Samochód jechał z wioski w kierunku miasteczka, nazwijmy je Ballymore, położonego kilkanaście mil dalej. Miasteczko to Ballymore, a wioska – Ballyless, trochę może dziwaczne, zważywszy, że *more* znaczy więcej, a *less* mniej, ale mnie jest wszystko jedno. Ten brodacz, który puścił do mnie oko, siedział za kierownicą, mówił coś i śmiał się, odchylając do tyłu głowę. Obok niego siedziała kobieta, łokieć wystawiła za spuszczoną szybę, głowę też odchyliła do tyłu, jasne włosy falowały w porywach wpadającego przez okno wiatru, ale ona się nie śmiała, uśmiechała się tylko tym uśmiechem, przeznaczonym dla niego: sceptycznym, wyrozumiałym, leniwie rozbawionym. Ubrana była w białą bluzkę, miała okulary przeciwsłoneczne w białej plastikowej oprawce i paliła papierosa. Gdzie ja jestem, w jakim miejscu się przyczaiłem? Nie widzę siebie. W jednej chwili straciłem ich z oczu, tył samochodu posuwistym ruchem zniknął za zakrętem, zostawiając za sobą strugę spalin. Wysokie trawy w rowie, jasne jak włosy tej kobiety, drżały przez chwilę, po czym wróciły do poprzedniego sennego bezruchu.

Szedłem Station Road w przesyconej słońcem pustce popołudnia. Leżąca u stóp wzgórza plaża była płowym migotliwym obrazem pod plamą w kolorze indygo. Nad morzem wszystko układa się w wąskie, horyzontalne pasma, a świat sprowadza się do kilku linii prostych wciśniętych pomiędzy niebo a ziemię. Do Domu pod Cedrami dotarłem okrężną drogą. Jak to możliwe, że w dzieciństwie wszystko, co zwracało moją uwagę swoją nowością, roztaczało aurę niesamowitości, skoro wszyscy znawcy przedmiotu twierdzą, że to, co wydaje się niesamowite, nie jest niczym nowym, ale rzeczą znajomą, która powraca w innej postaci, staje się zjawą? Tyle pytań bez odpowiedzi, a to jest z nich najmniej ważne. Kiedy byłem blisko, usłyszałem rozlegające się w regularnych odstępach skrzywienie jakiegoś zardzewiałego mechanizmu. Na zielonej bramie kołysał się chłopak w moim wieku, jego ramiona zwisały bezwładnie z górnej poprzeczki, jedną nogą odpychał się i powoli kreślił ćwierćokrąg na wysypanym żwirze podwórzu. Jego włosy miały taki sam słomkowszary kolor jak włosy kobiety w samochodzie, a oczy – rozpoznawalnie ten sam lasur, jaki widziałem w oczach mężczyzny. Kiedy przechodziłem powoli koło niego, może nawet zatrzymałem się na chwilę, albo potknąłem się, on wbił czubki tenisówek w żwir, żeby zatrzymać kołyszącą się bramę, i spojrzał na mnie z wyrazem wrogiego zaciekawienia. Zawsze w ten sposób patrzyliśmy na siebie, my, dzieci, kiedy spotykaliśmy się po raz pierwszy. Za jego plecami rozciągał się widok na wąski ogród na tyłach domu, aż do rzędu drzew rosnących po przekątnej, wzdłuż torów kolejowych – dziś już ich nie ma, nie ma tych drzew, zostały ścięte, by zrobić miejsce dla szeregu pastelowych domków letniskowych podobnych do domków dla lalek – a dalej, dużo dalej, w głębi lądu, rozciągały się wysokie pola i pasły się krowy, i można było dostrzec drobne żółte kępy, krzewy kolcolistu, i samotną, odległą wieżyczkę, a potem niebo, ze zwijającymi się w rulonik białymi chmurami. Niespodziewanie chłopiec zwrócił się ku mnie i, zezując, zrobił

dziwaczną minę, a język wywalił na dolną wargę. Szedłem dalej, świadomy, że prześmiewczym wzrokiem podąża za mną.

Tenisówki. Po angielsku *plimsolls*. To jedno ze słów, którego się dziś już nie słyszy, albo słyszy bardzo, bardzo rzadko. Pierwotnie, jeśli dobrze pamiętam, oznaczało obuwie marynarzy; nazwa pochodzi od czyjegoś nazwiska i ma coś wspólnego ze statkami. Pułkownik znowu udał się do ubikacji. Kłopoty z prostatą, gotów jestem iść o zakład. Przechodząc koło moich drzwi, stara się ciszej stawiać kroki, skrada się na czubkach palców, z szacunku dla pogrążonych w żałobie. Pedant na punkcie przestrzegania form, ten nasz szlachetny pułkownik.

Idę po Station Road.

Gdy byliśmy młodzi, życie w wielu swoich przejawach było bezruchem, albo tak tylko nam się dziś wydaje; trwałe, czekający na coś bezruch; jakaś czujność. Czekaliśmy w naszym jeszcze nieukształtowanym świecie, przyglądając się badawczo przyszłości, tak jak ja i ten chłopiec na bramie przyglądaliśmy się sobie nawzajem, jak żołnierze w polu, wypatrując tego, co musi nadejść. U stóp wzgórza zatrzymałem się, stałem i patrzyłem w trzy strony, w dół Strand Road, i za siebie, na Station Road, i w bok, tam gdzie blaszane kino i publiczny kort tenisowy. Nikogo. Droga biegnąca za kortem nazywała się Cliff Walk, czyli Ścieżka Klifowa, choć jeśli były tam jakiegokolwiek klify, morze je już dawno doszczętnie zmyło. Mówiono, że na piaszkowym dnie wznosi się całkowicie dziś zatopiony kościół w nienaruszonym stanie, z dzwonami i dzwonnica, który kiedyś stał na cyplu, już nieistniejącym, i runął w odmęty pewnej niepamiętej nocy, kiedy rozpętał się sztorm i rozszalały fale. Takie historie opowiadali miejscowi, na przykład mleczarz Duignan i głuchy Colfer, który zarabiał na życie sprzedając wyłowionych z morza piłek golfowych – po to, żebyśmy my, przyjezdni goście, pamiętali, że ta nasza nudna wioska nadmorska była kiedyś miejscem straszliwych wydarzeń. Zawieszony nad wejściem do Strand Café szyld, z reklamą papierosów Navy Cut, przedstawiający brodatego marynarza opasanego kołem ratunkowym albo pętlą z liny – możliwe to? – skrzypiał w powiewach bryzy na pordezwiątych od soli zawiasach: echo bramy Domu pod Cedrami, na której, jak mogłem przypuszczać, nadal huśtał się chłopak. Skrzypią – ta dzisiejsza brama, i wczorajszy szyld – do dziś dnia, do dzisiejszego wieczoru, w moich snach. Ruszyłem Strand Road. Domy, sklepy, dwa hotele, Golf i Plaża, granitowy kościół, U Mylera, czyli spożywczy z okienkiem pocztowym i pubem, a potem pola, niwa – ta Niwa, a na niej drewniane chaty, z których jedna była naszym letnim domkiem, domkiem mojego ojca, mojej matki, moim.

Jeśli ci ludzie w samochodzie byli jego rodzicami, czy zostawili go samego w domu? A gdzie jest dziewczynka? Dziewczynka, która się śmiała?

Przeszłość bije we mnie niczym drugie serce.

Lekarz specjalista miał na nazwisko Todd. Uznajmy, że to dowcip w bardzo złym guście ze strony wielojęzycznego losu. Mogło być gorzej. Istnieje nazwisko De'Ath, z frywolną wewnątrzwyrazową dużą literą i apotropaicznym apostrofem, które nikogo nie zmylą: w nazwisku ujawnia się *death*, czyli śmierć. Ten Todd zwracał się do Anny „pani Morden”, ale do mnie mówił po imieniu – „Max”. Nie całkiem podobało mi się takie zróżnicowanie, ani gburowata familiarność jego tonu. Gabinet, nie, pokój, bo mówi się pokój, tak jak do niego mówi się panie Todd, a nie doktorze, przypominał na pierwszy rzut oka orle gniazdo, choć znajdował się zaledwie na trzecim piętrze. Budynek był nowy, cały ze szkła i stali – szklano-stalowy był nawet szyb do windy, okrągły w przekroju, słusznie przywodzący na myśl cylinder strzykawki, w którym winda wznosiła się i opadała z cichym szmerem jak olbrzymi tłok, na przemian wciskany i wyciągany – a dwie ściany główne pokoju konsultacyjnego miały szyby od podłogi do sufitu. Kiedy wprowadzono mnie tam z Anną, moje oczy oslepił blask wczesnojesiennego słońca, którego promienie wpadały przez te olbrzymie szyby. Recepcjonistka, niewyraźna, jasnowłosa postać, w fartuchu pielęgniarskim i praktycznych, skrzypiących butach – kto przy takiej okazji w ogóle zwracałby uwagę na recepcjonistkę? - położyła kartę Anny na biurku pana Todda i, skrzypiąc butami, wyszła z pokoju. Pan Todd poprosił, żebyśmy siedli. Myśl, że mógłbym usiąść na jakimś krześle, wydała mi się nieznośna, dlatego podszedłem do szklanej ściany, stanąłem przy niej i wyglądałem na zewnątrz. Tuż pode mną rósł dąb, a może buk, nigdy nie jestem pewien, z którym z tych wielkich, zrzucających liście drzew mam do czynienia, na pewno nie był to wiąz, bo wszystkie wymarły, ale drzewo szlachetne – jesienny szron jeszcze nie posrebrzył letniej zieleni jego rozłożystego baldachimu. Dachy samochodów lśniły w słońcu. Jakaś młoda kobieta w ciemnym kostiumie szła szybko przez parking, nawet z tej odległości wydawało mi się, że słyszę jej wysokie obcasy metalicznie stukające po asfalcie. W szybie przed sobą widziałem blade

odbicie Anny, siedziała wyprostowana w metalowym krześle, *en trois quarts*, wzorcowa pacjentka, nogę założyła na nogę, a splecione dłonie wsparła na udzie. Pan Todd siedział bokiem przy biurku, przeglądając dokumentację jej choroby; bladuróżowa tektura teczki przywołała wspomnienie owych przejmujących dreszczem pierwszych poranków w szkole po letnich wakacjach, okładki nowych podręczników oraz nieco złowieszczy zapach atramentu i zatemperowanych ołówków. Myśl gubi się, wędruje bezładnie, nawet w chwilach wymagających szczególnej koncentracji.

Odwróciłem się od szyby, zewnętrzny świat stał się naraz nie do zniesienia.

Pan Todd był krzepkim mężczyzną, ani wysoki, ani gruby, ale bardzo barczysty, można by nawet powiedzieć: kanciasty. Miał kojąco staroświeckie maniery. Ubrany był w tweedowy garnitur z kamizelką z zegarkiem na łańcuszku, i w kasztanowobrazowe buty, które spodobalyby się pułkownikowi Blundenowi. Włosy miał wypomadowane w stylu wcześniejszej epoki, zaczesane z czoła do tyłu, a wąsy, krótkie i szczeciniaste, nadawały jego twarzy wyraz zawziętości. Przeżyłem niewielki szok, kiedy zorientowałem się, że pomimo wykalkulowanych efektów sędziwego wieku miał co najwyżej pięćdziesiątkę. Od kiedy to lekarze zaczęli być ode mnie młodszy? Pisał dalej, grając na czas; nie miałem mu tego za złe, na jego miejscu postąpiłbym tak samo. W końcu odłożył pióro, ale nie zamierzał się odzywać, sprawiał przemożne wrażenie, że nie wie, od czego ani jak zacząć. W jego wahanii była jakaś poza, coś na wskroś teatralnego. To też rozumiem. Lekarz musi być równie dobrym aktorem, co medykiem. Anna niecierpliwie poruszyła się na krześle.

– A więc, panie doktorze – odezwała się trochę za głośno, radosnym, zdecydowanym tonem gwiazdy filmowej z lat czterdziestych – to wyrok śmierci czy dożywocie?

W pokoju zaległa cisza. Jej dowcip, z pewnością przećwiczony, nie wypalił. Chciałem do niej podbiec, przerzucić ją sobie przez ramię jak strażak, i wynieść z pokoju. Nie poruszyłem się jednak. Pan Todd patrzył na nią z lekką, zajęczą paniką, jego brwi poszybowały w górę.

– No nie, pani Morden, jeszcze nie pozwolimy pani odejść – powiedział, ukazując wielkie szare zęby w okropnym uśmiechu. – Nie, na pewno nie.

Nastąpił kolejny takt ciszy. Anna trzymała ręce na kolanach, spojrzała na nie, marszcząc czoło, jakby ich wcześniej nie dostrzegła. Moje prawe kolano z przerażenia zaczęło dygotać.

Pan Todd rozpoczął swój wielki wykład, który w wyniku wielokrotnego użytku uległ wygładzeniu, na temat obiecujących metod leczenia, nowych leków, potężnego arsenału broni chemicznej, którą ma do dyspozycji; mógłby równie dobrze mówić o miksturach magicznych lub alchemicznych wzorach. Anna ciągle patrzyła, marszcząc czoło, na swoje dłonie, nie słuchała. Wreszcie Todd przestał mówić i tkwił w swoim fotelu, przeszywał ją tym samym rozpaczliwym, zajęczym spojrzeniem, głośno oddychał, rozciągał do tyłu usta w dziwnym grymasie i ponownie odsłaniał pełną krasę swojego uzębienia.

– Dziękuję panu, doktorze – odpowiedziała grzecznie, głosem, który teraz zdawał się dochodzić z bardzo daleka. Pokiwała głową. – Tak – to głosem jeszcze dalszym. – Dziękuję.

Na te słowa pan Todd, jakby uwolniony, klepnął się w kolana rozłożonymi dłońmi, energicznie zerwał się na nogi i prawie podbiegł do drzwi. Kiedy Anna wyszła, odwrócił się do mnie, przesłał mi szczery, męski uśmiech i mocno, zdecydowanie, krótko uściśnął mi dłoń ruchem, który – jestem tego pewien – przeznaczona dla małżonków w takich jak ta chwilach.

Wyłożony wykładziną korytarz pochłonał odgłos naszych kroków.

Winda, po wciśnięciu guzika, ruszyła w dół.

Wyszliśmy na dwór, jakbyśmy schodzili ze statku kosmicznego na nową planetę, na której nikt prócz nas nie żyje.

Przyjechaliśmy pod dom, ale przez dłuższy czas siedzieliśmy w samochodzie, czując wstręt na myśl o powrocie do znanego nam świata; siedzieliśmy bez słowa, obcy dla siebie i sobie nawzajem. Anna patrzyła na przeciwległy brzeg zatoki, gdzie jachty ze sklarowanymi żaglami jeżyły się w lśniącym świetle dnia. Brzuch miała nabrzmiały; okrągły, twardy guz napierał na pasek spódnicy. Ludzie, powiedziała pewnego dnia, pomyślą, że jestem w ciąży – „W moim wieku!” – i zaśmialiśmy się wtedy oboje, uciekając od siebie wzrokiem. Mewy, które uwiły sobie gniazda na naszych kominach, odleciały nad morze lub zmieniły siedlisko, sam zresztą nie wiem, co robią o tej porze roku. Przez całe dni tego ponurego lata kołowały nad dachami, drwiąc sobie z naszych starań, by zachowywać się, jak gdyby nic złego się nie stało, jak gdyby wszystko było w porządku, a świat trwał dalej. A jednak nie – w jej brzuchu przyczało się wielkie dziecko De’Ath, Ś. Mierć, rosło w niej, czekało na swoją chwilę.

W końcu weszliśmy do domu, bo co innego moglibyśmy zrobić. Jaskrawe światło południa wlewało się przez kuchenne okno, pokrywając wszystko szklistą, promienną powłoką, jakbym przyglądał się pokojowi przez obiektyw aparatu fotograficznego. Odnosiło się wrażenie, że panuje tu atmosfera pełna dezaprobaty i sztuczności, a wszystkie swojskie przedmioty – słoiczki na półkach, rondle na kuchence, deska do krojenia chleba z wyszczerbionym nożem – odwracały od nas wzrok, zdziwione, żeśmy znaleźli się wśród nich, nagle tak bardzo obcy i znekani. Uświadomiłem sobie ze smutkiem, że od tej chwili zawsze już tak będzie: dokądkolwiek się uda, będzie ją zwiastować bezgłośny klekot kołatki, jaką noszą ze sobą trędowaci. *Wspaniale wyglądasz!* będą wykrzykiwać znajomi. *Nie pamiętam, żebyś kiedykolwiek wyglądała lepiej!* A ona, ze swoim cudownym uśmiechem, będzie robić dobrą minę do złej gry, biedna pani Kostucha.

Stała na posadzce w płaszczu i szaliku, ręce wsparła na biodrach i rozglądała się wokół z wyrazem rozdrażnienia. Wciąż była urocza: wysokie kości policzkowe, przejrzysta skóra, cienka jak papier. Zawsze podziwiałem zwłaszcza jej attycki profil, linię nosa jakby rzeźbioną w kości słoniowej, biegnącą od czoła prosto w dół.

– Wiesz, co o tym myślę? – zapytała z gwałtowną goryczą w głosie.
– To wielce niestosowne, tylko tyle ci powiem.

Szybko odwróciłem wzrok, żeby oczy mnie nie zdradziły; oczy zawsze należą do kogoś innego, do szalonego lub zdesperowanego karła, który we mnie przykucnął. Wiedziałem, co ma na myśli. To nie miało prawa zwalić się właśnie na nią. To nie miało prawa zwalić się właśnie na nas, nie należymy do tego gatunku. Nieszczęścia, choroby, przedwczesna śmierć – to rzeczy, które zdarzają się porządnym ludziom, ludziom prostym, soli tej ziemi, a nie Annie czy mnie. W czasie monarszego przemarszu, jakim było nasze wspólne życie, przed wiwatujące tłumy wyszedł uśmiechnięty od ucha do ucha nicpoń i składając ukłon, który był zwyczajną parodią ukłonu, wręczył mojej tragicznej królowej akt oskarżenia.

Wstawiła wodę na herbatę, wsunęła rękę do kieszeni płaszcza, wyjęła z niej okulary, założyła je i przełożyła łańcuszek przez głowę. Zaczęła płakać, chyba nieświadomie, nie wydając z siebie głosu. Spróbowałem niezgrabnie ją objąć, ale natychmiast się odsunęła.

– Na miłość boską, nie histeryzuj! – odburknęła. – Po prostu umieram, koniec kropka.

Czajnik wyłączył się samoczynnie, a w środku wrząca woda, zrzędząc coś z cicha, powoli się uspokoiła. Zadziwiło mnie, zresztą nie po raz pierwszy, okrutne samozadowolenie zwyczajnych rzeczy. Ale nie, zaraz, nie były przecież okrutne, nie były zadowolone z siebie, tylko obojętne; bo jakże by inaczej? Od tej pory będę musiał przyjmować rzeczy, jakimi są, a nie jakimi je sobie wyobrażam, bo rzeczywistość pokazała drugą twarz. Wziąłem imbryk i filiżankę z herbatą, aż zaczęły grzechotać – trzęsły mi się ręce – ale powiedziała, że nie, zmieniła zdanie, napiłaby się teraz brandy, chce brandy i papierosa, choć nigdy nie paliła i rzadko kiedy sięgała po alkohol. Spojrzała na mnie upartym wzrokiem bezczelnego dziecka, stojąc w płaszczu przy stole. Łzy przestały płynąć. Zdjęła okulary, pozwoliła im opaść na pierś, przetarła oczy nadgarstkami. Wyjąłem butelkę brandy i drżącymi dłońmi nalałem miarkę, szyjka butelki i brzeg szklanki rozdzwoniły się, uderzając o siebie i szcękając jak zęby. W mieszkaniu nie mieliśmy papierosów, skąd miałem je wziąć? Powiedziała, że wszystko jedno, że naprawdę nie ma ochoty palić. Stalowy czajnik połykiwał, z dzióbka wysnuwał się powoli zygzak pary, przywodząc na myśl dzina i lampę. Och, spełnij moje życzenie, proszę, tylko to jedno życzenie.

– Zdejmij przynajmniej płaszcz – powiedziałem.

Ale dlaczego przynajmniej? Doprawdy, niepojęte są reguły ludzkich rozmów.

Podałem jej szklaneczkę brandy, stała, trzymając ją w ręce, ale nie piła. Światło wpadające przez okno za moimi plecami oświetlało szkła jej okularów wiszących na szyi, wywołując obraz innej, miniaturowej Anny, stojącej tuż przed nią, pod jej brodą, ze spuszczonej oczyma. Nagle opadła z sił, usiadła ciężko, wyciągając dłonie nad stołem w dziwnym, rozpaczliwym geście, jakby błagając jakiegoś niewidzialnego, siedzącego naprzeciwko niej i osądzającego ją gościa. Szklanka uderzyła w drewno i połowa jej zawartości rozlała się na blacie. Patrzyłem na nią bezradnie. W ciągu przyprawiającej o zawrót głowy sekundy pomyślałem sobie, że już nigdy nie będę wiedział, jak się do niej odezwać, że już tak zostanie, pozostaniemy w bolesnym niewysłowieniu, do samego końca. Pochyliłem się i pocałowałem ją w jasną plamę wielkości sześciopensówki, na czubku głowy, gdzie zwiły się jej ciemne włosy. Odwróciła się twarzą do mnie, darząc mnie swoim czarnym spojrzeniem.

– Pachniesz szpitalem – powiedziała. – A to ja powinnam tak pachnieć.

Wziąłem od niej szklanekę, przyłożyłem do ust i wypilem jednym haustem resztkę brandy, która rozpałała mi przełyk. Uświadomiłem sobie teraz, jakie uczucie mnie dopadło, kiedy wszedłem w szklistą promienność gabinetu pana Todda. To było zażenowanie. Anna też je czuła, byłem tego pewien. Zażenowanie, tak, poczucie przeniknięte paniką, że nie wiem, gdzie podziać oczy, nie wiem, gdzie patrzeć ani jak się zachowywać, i coś jeszcze, co nie było do końca gniewem, ale oschłym rozdrażnieniem, oschłym niezadowoleniem z ponurej sytuacji, w której się znaleźliśmy. Czułem się, jakby zdradzono nam tajemnicę, tak wulgarną, tak nikczemną, że ledwo mogliśmy pozostać razem, ale jednocześnie nie mogliśmy się rozstać, bowiem każde z nas poznało ten plugawy sekret, który znało to drugie, i czuło się tą wiedzą związane. Od tego dnia wszystko będzie na niby. Nie będzie innego życia ze śmiercią.

Anna nadal siedziała wyprostowana przy stole, odwrócona ode mnie, z ramionami wyciągniętymi przed siebie; jej dłonie leżały nieruchome, odwrócone wnętrzem do góry, jakby czekały, aż coś na nie spadnie.

– No więc? – zapytała, nie odwracając się. – Co teraz?

A oto i pułkownik, skrada się z powrotem do swojego pokoju. Długie było to jego posiedzenie w ustępie. Dyzuria, ciekawe słowo. Ja zajmuję jedyną w domu sypialnię, która, jak określa to panna Vavasour, skromnie wydymając wargi, jest *en suite*. To pokój z widokiem, a raczej byłby pokojem z widokiem, gdyby nie te cholerne bungalowy na końcu ogrodu. Łóżko mnie przytłacza, jest majestatyczne, wysokie, w stylu włoskim, w sam raz dla jakiegoś doży, zagłówek, zdobiony ślimakowatymi spiralami, lśni jak stradivarius. Muszę wypytać pannę V. o jego pochodzenie. Ten pokój był z pewnością sypialnią małżeńską, kiedy mieszkali tu Grace'owie. W owych dniach nie zapuszczałem się poza parter, chyba że w snach.

Zauważyłem właśnie dzisiejszą datę. Minął dokładnie rok od chwili, kiedy z Anną musieliśmy odwiedzić pana Todda w jego gabinecie. Co za zbieg okoliczności. A może nie, bo czyż zbiegi okoliczności zdarzają się w krainie Plutona, gdzie po nieprzebytym pustkowiu wędruję po omacku, Orfeusz bez liry? Już minęło dwanaście miesięcy! Powiniennem był prowadzić dziennik. Mój dziennik roku zarazy.

Przyciągnął mnie tu sen. Śniłem, że wędruję wiejską drogą, i tylko tyle. Była zima, zmierzch, a może jakaś dziwna noc blado-promienna, jaka zdarza się tylko w snach; padał mokry śnieg. Zmierałem dokądś zdecydowanym krokiem, wydawało mi się, że wracam do domu, choć nie wiedziałem dokładnie, ani czym jest ten dom, ani gdzie się znajduje. Po prawej rozciągało się szerokie pole, płaskie i niczym się niewyróżniające, bez śladu domu czy rudery, a po lewej biegła wzdłuż drogi głęboka linia ciemniejących drzew. Mimo pory roku gałęzie nie były nagie, a grube liście, niemal czarne, opadały lawinami, obciążone śniegiem, który zamienił się w miękką, przezroczystą lod. Coś się zepsuło, jakiś samochód, nie, raczej rower, rower chłopca, bo byłem nie tylko mężczyzną w wieku, w którym dziś jestem, ale też chłopcem, niezgrabnym chłopcem, tak, i zmierałem do domu, bo musiał to być dom, albo miejsce, które kiedyś było domem, miejsce, które od razu bym rozpoznał, gdybym tam dotarł. Czekały mnie jeszcze długie godziny drogi, ale nie martwiłem się tym, była to bowiem podróż o wyjątkowej, ale też niedającej się wyjaśnić wadze, podróz, w którą musiałem się udać i którą musiałem odbyć do końca. Wypełniała mnie cisza, byłem całkiem spokojny i pewny siebie, choć nie wiedziałem, dokąd wędruję, poza tym, że idę do domu. Nikogo poza mną nie było na drodze. Na śniegu, który sypał powoli przez cały dzień, nie było żadnych śladów opon, butów czy podków, bo nikt tędy nie przejeżdżał i nikt nie zamierzał tędy przejeżdżać. Coś mi się stało w stopę, lewą, zapewne się gdzieś skaleczyłem, ale dawno, bo już nie bolało, choć z każdym krokiem musiałem wyrzucać ją niezdarnie do przodu w półokręgu, a to wstrzymywało mój marsz, niezbyt poważnie, ale jednak. Współczułem sobie, to znaczy ten śniący mężczyzna, którym byłem, odczuwał współczucie dla siebie, o którym śnił, dla tego pacana, który szedł nieustraszenie po śniegu pod koniec dnia, a przed sobą miał jedynie drogę, i nic nie zwiastowało, by prędko doszedł do domu.

I to wszystko znalazło się w moim śnie. Wędrówka nie dobiegła kresu, nigdzie nie dotarłem i nic się nie wydarzyło. Po prostu szedłem o zimowym zmierzchu, osamotniony i niezłomny, z trudem przebijając się przez niekończący się śnieg. Ale obudziłem się w mroku poranka nie tak, jak zdarza mi się to teraz, to znaczy z poczuciem, że w nocy zostałem obdarty z kolejnej warstwy ochronnej mojej skóry, ale w przekonaniu, że coś osiągnąłem, albo przynajmniej, że coś rozpocząłem. I wtedy natychmiast, po raz pierwszy od niepamiętnych czasów, pomyślałem o Ballyless i o domu na Station Road, i o Grace'ach, i o Chloe Grace, nie wiem czemu, i miałem wrażenie, jakbym wyszedł nagle z mroku w rozlewisko bladego, nasyczonego solą słońca. Ta szczęśliwa jasność trwała tylko chwilę, mniej niż minutę, ale wiedziałem już, co mam robić i dokąd pójść.

Chloe Grace. Zobaczyłem ją po raz pierwszy na plaży. Był jasny, rozwichrzony dzień, a Grace'owie usadowili się w płytkiej wnęce wyłobionej w wydmie przez wiatr i fale, którą ich raczej podejrzany wygląd zamienił w proscenium. Rozmaitość rzeczy, które mieli ze sobą, robiła wrażenie: wyblakły płócienny parawan w pasy, który, rozciągnięty między dwoma kijkami, miał chronić przed chłodnymi powiewami wiatru, składane krzeselka, niewielki składany stolik i słomkowy kosz z przykrywką wielkości małej walizki, a w nim butelki, termosy, puszki z sandwichami i herbatnikami; mieli nawet prawdziwe filiżanki do herbaty i podstawki. Zgodnie z niepisanym prawem, ta część plaży była zarezerwowana dla mieszkańców Hotelu Golf, którego teren kończył się tuż za wydmami, a mieszkańcy willi, którzy bezmyślnie się tu zapuszczali, z eleganckim sprzętem plażowym i butelkami wina, stawali się przedmiotem pełnych oburzenia spojrzeń; spojrzeń, które Grace'owie, jeśli je w ogóle dostrzegali, zdawali się lekceważyć. Pan Grace, Carlo Grace, tato, znów miał na sobie krótkie spodenki oraz blezer w różowe prążki założony bezpośrednio na klatkę, naga, jeśli nie liczyć dwu dużych kępek loczków w kształcie rozłożystych kędzierzawych skrzydełek. Nigdy wcześniej, a też, jak mi się zdaje, nigdy potem, nie spotkałem osoby tak fascynująco owłosionej. Na głowę nałożył płócienny kapelusz jak odwrócone do góry dnem dziecięce wiaderko. Siedział na jednym ze składanych krzeseł, trzymał przed sobą rozłożoną gazetę; czytał i jednocześnie palił papierosa, co mu się udawało, mimo silnych powiewów wiatru znad morza. Blondynek, który huśtał się na bramie – Myles, mogę przecież zdradzić jego imię – przykucnął u stóp ojca, wyduł wargi w niezadowoleniu i dłużył w piasku sękatym kawałkiem drewna, które wyszlifowało morze. W pewnej odległości za nimi, w zakątku, jaki tworzyła wydmowa ściana, jakaś dziewczyna lub młoda kobieta kłęzczała na piasku, owinięta wielkim czerwonym ręcznikiem, pod którego osłoną próbowała nie bez trudu oswobodzić się z czegoś, co okazało się mokrym kostiumem

kąpielowym. Była wyraźnie blada, jej spojrzenie przepełniał smutek, twarz miała wydłużoną, smukłą, a włosy bardzo czarne i grube. Zauważyłem, że spogląda, najwyraźniej z niechęcią, na tył głowy Carla Grace'a. Zauważyłem też, że Myles pilnie ją obserwuje z boku, z czytelną nadzieją, którą też podzielałem, że ochronny ręcznik wymknie się dziewczynie z rąk. Nie mogła więc być jego siostrą.

Pani Grace szła do nich plażą. Kąpała się w morzu i miała na sobie czarny kostium, obcisły i lśniący jak skóra fok, a na nim portfelową spódniczkę z jakiegoś przezroczystego materiału, zapiętą w talii na jeden guzik – nadymała się z każdym jej krokiem, odsłaniając nagie, opalone i grube, ale kształtne nogi. Pani Grace zatrzymała się przy mężu, odsunęła na włosy okulary przeciwsłoneczne w białej oprawce i czekała przez kilka taktów, aż mężczyzna odłożył gazetę i spojrzał na żonę, unosząc dłoń z papierosem i osłaniając oczy przed ostrym od soli światłem. Powiedziała coś, a on przechylił w bok głowę, wzruszył ramionami i uśmiechnął się, ukazując liczne drobne, białe i równe zęby. Za nim dziewczyna, wciąż osłonięta ręcznikiem, odrzuciła kostium kąpielowy, z którego się w końcu wyswobodziła, i odwracając się plecami, usiadła na piasku, podkuliła nogi, zrobiła z ręcznika namiot, pod którym się skryła, i oparła czoło na kolanach, a Myles wbił patyk w piasek z siłą, w której objawiło się całe jego rozczarowanie.

Oto więc i oni, Grace'owie: Carlo Grace i jego żona Constance, ich syn Myles, dziewczyna lub młoda kobieta – nie była to, jestem pewien, dziewczyna, której śmiech słyszałem w domu pierwszego dnia – z całym swoim dobytkiem, czyli ze składanymi krzesłami, kubkami, kieliszkami z białym winem, i ze spódniczką Connie Grace, odsłaniającą zbyt wiele, ze śmiesznym kapeluszem jej męża, z gazetą, z papierosem, z patykiem Mylesa, i kostiumem dziewczyny, który leżał, gdzie go rzuciła, bezwładnie zwinięty, obrębiony po jednej stronie piaskiem, jakby morze połknęło go i wyrzuciło na brzeg.

Nie wiem, jak długo Chloe stała na wydmach, zanim skoczyła. Mogła tam stać przez cały czas i patrzeć, jak ja patrzę na nich. Najpierw była tylko sylwetką, a słońce za jej plecami zamieniało jej krótko ostrzyżone włosy w świecący hełm. Po chwili rozpostarła ramiona, ścisnęła mocno nogi w kolanach i rzuciła się z wydmy. Powietrze wypełniło na chwilę nogawki jej spodenek i rozdziło je jak balony. Była bosa, spadła na pięty, wzniesając tuman piasku. Dziewczyna spod ręcznika – Rose, jej imię także zdradzę, biedna Rosie – krzyknęła ze strachu. Chloe zachwiała się, ręce wciąż miała rozłożone, pięty zaryły w piachu, i wydawało się, że się przewróci, albo klapnie, ale utrzymała równowagę, uśmiechnęła się złośliwie do Rose, która miała w oczach pełno piasku, robiła karpika, kręciła głową i mrugała oczami. „Chlo-e!”, zawołała pani Grace, z przyganą w głosie, ale Chloe nie zwracała na nią uwagi, podeszła bliżej, uklękła w piachu przy bracie i próbowała wyrwać mu patyk. Leżałem na brzuchu, na ręczniku, policzki oparłem na dłoniach i udawałem, że czytam książkę. Chloe wiedziała, że na nią patrzę, ale sprawiała wrażenie, że się tym nie przejmuje. Ile mieliśmy wtedy lat, dziesięć, jedenaście? Powiedzmy, że jedenaście, wystarczy. Pierś miała tak płaską jak Myles, biodra – nie szersze od moich. Oprócz spodenek miała na sobie biały podkoszulek. Jej włosy, wybielone od słońca, były niemal siwe. Myles, który walczył o swój patyk, wyrwał go jej i trzepnął ją w rękę, a ona powiedziała „Au”, i uderzyła go w mostek drobną, ostrą piąstką.

– Przeczytam wam ogłoszenie – powiedział ich ojciec, nie zwracając się do nikogo konkretnego, i śmiejąc się, przeczytał głośno: *Obwoźni sprzedawcy żaluzji, śmigli jak fretki, potrzebni od zaraz. Konieczne prawo jazdy. Zgłoszenia skrytka pocztowa dwadzieścia trzy.* Zaśmiał się znowu, zakasłał i kaszłąc śmiał się. – Jak fretki! – krzyczał. – Mój Boże!

Jakże bezbarwne wydają się wszystkie dźwięki nad morzem, bezbarwne, a jednak dobitne, jak wystrzał z karabinu słyszany z daleka. To chyba skutek tłumiącego dźwięki działania piasku. Choć, szczerze mówiąc, nie wiem, kiedy tak naprawdę miałem okazję usłyszeć wystrzał z broni.

Pani Grace naląa sobie wina, spróbowała, wykrzywiła się i usiadła w składanym krześle, założyła nogę na nogę, a jej plażowy kłapek bujał się w powietrzu. Rose przechodziła męczarnie, ubierając się pod osłoną ręcznika. Teraz z kolei Chloe podkurczyła nogi, podciągając kolana pod brodę – czy to właśnie robią wszystkie dziewczęta, albo przynajmniej robiły: siedzą w kształcie litery zet, która pochyliła się do przodu? – i dłońmi objęła stopy. Myles dźgał ją w bok patykiem.

– Tatusiu – odezwała się z ospałym rozdrażnieniem – powiedz mu, żeby przestał.

Ojciec nie przerwał lektury. Kłapek Connie Grace kołysał się do jakiegoś rytmu w jej myślach. Piasek wokół mnie, przypalony słońcem, wydzielał tajemniczy, koci zapach. Na wodach zatoki dygotał biały żagiel, skłaniając się na zawietrzną i na moment cały świat się przechylił. Ktoś daleko na plaży krzyczał do kogoś drugiego. Dzieci. Pływacy. Szorstkowłosy rudy pies. Żagiel ustawił się znowu pod wiatr, a ja usłyszałem wyraźny trzepot i trzask płótna. Potem wiatr zamarł i na chwilę wszystko ucichło.

Grali w jakąś grę, Chloe, Myles i pani Grace, dzieci rzucały piłkę sobie nawzajem ponad głową matki, a ona biegła i skakała, próbując ją złapać, ale bez skutku. Kiedy biegnie, jej spódniczka rozchyła się i wydyma, a ja nie mogę oderwać wzroku z obcisłego, czarnego wybrzuszenia na odwróconym trójkącie jej krocza. Podskakuje, łyka powietrze i wydaje z siebie okrzyki bez tchu, śmieje się. Jej piersi się kołyszają. Ten widok niemal wzbudza niepokój. Istota tak hojnie wyposażona we wzgórki i krągłości, które musi dźwigać, nie powinna brykać w ten sposób, coś sobie uszkodzi, jakiś delikatny układ tkanki tłuszczowej i perłowej chrząstki. Mąż uniósł wzrok znad gazety i też jej się przygląda, przeczesując palcami brodę i uśmiechając się chłodno, usta rozchyliły mu się nieco, odsłaniając te piękne, drobne zęby, a wilcze nozdrza rozdymają się szeroko, jakby próbował uchwycić jej woń. W jego spojrzeniu widać ekscytację, rozbawienie i lekki ślad pogardy, jakby chciał, żeby przewróciła się na piach i coś sobie skręciła; w wyobraźni uderzam go, walę pięścią w sam środek jego owłosionej klatki, tak jak Chloe uderzyła brata. Już znam tych ludzi, już jestem jednym z nich. I zakochałem się w pani Grace.

Rose wyswobadza się z ręcznika, ma na sobie czerwoną koszulę i czarne spodnie jak asystentka iluzjonisty, która wyłania się spod jego peleryny o szkarłatnej podszewce, i robi wszystko, aby nie patrzeć na nic, a zwłaszcza na tę kobietę i jej bawiące się dzieci.

Nagle Chloe traci zainteresowanie grą, odchodzi i pada na piasek. Jak dobrze poznam te jej nagłe zmiany nastroju, te nagłe fochy i dąsy. Matka woła do niej, żeby przyszła i bawiła się z bratem, ale ona nie odpowiada. Leży na boku, wsparta na łokciu, nogi w kostkach ma skrzyżowane, zwężonymi oczyma patrzy obojętnie przeze mnie na morze. Myles odstawia wokół niej małpi taniec, drapie się pod pachami i coś bełkoce. A ona udaje, że wzrokiem przenika jego ciało i patrzy poza nie. „Co za bachor”, mówi matka o córce, która zepsuła zabawę, powiedziałbym: z niejakim samozadowoleniem, po czym wraca i siada na swoim krześle. Trudno jej złapać oddech, a gładki, piaskowy stok, jaki tworzy jej głęboki dekolt, unosi się i opada. Ręką odsuwa lok z mokrego czoła, a ja wpatruję się jak zahipnotyzowany w tajemniczy cień pod jej pachą, o barwie śliwki, zwiastun moich wilgotnych fantazji podczas wielu najbliższych nocy. Chloe dąsa się. Myles znowu zapalczywie kopie patykiem w piasku. Ojciec składa gazetę i, mrużąc oczy, spogląda w niebo. Rose bawi się luźnym guzikiem koszuli. Drobne fale wznoszą się i pluszczą, rudy pies szczeka. A moje życie już nigdy nie będzie takie samo.

Ale czy jest jakakolwiek chwila, spośród wszystkich przypisanych nam chwil, w której życie się nie odmienia, nie odmienia doszczętnie, aż do tej ostatniej, tej największej zmiany?

Tu właśnie, z matką i ojcem, spędzaliśmy co roku letnie wakacje. Nikt z nas by tego tak nie ujął. *Przyjeżdżaliśmy tu na lotnisko*, tak byśmy powiedzieli. Jak trudno mówić dziś językiem, którym mówiłem wtedy. Przyjeżdżaliśmy tu na lotnisko co roku, przez wiele lat, dopóki mój ojciec nie uciekł do Anglii, jak zdarzało się to ojcom w tamtych czasach i jak zresztą zdarza się do dziś. Domek, który wynajmowaliśmy, był w zasadzie drewnianym modelem domu o nieco mniejszych niż naturalne wymiarach. Były tam trzy pokoje – salonik na przodzie, który służył także za kuchnię, i dwie małe sypialnie. Nie było sufitów, tylko ukośne belki pokrytego papą dachu. Ściany pokryte były, całkiem elegancko, wąskimi, fazowanymi deskami, które w słoneczne dni pachniały farbą i żywicą. Matka gotowała na piecyku parafinowym, którego malutki otwór na paliwo dostarczał mi sekretnych przyjemności, kiedy kazano mi go czyścić za pomocą delikatnego narzędzia zrobionego z paska giętkiej cyny ze sztywnym, drucianym włóknem wystającym z czubka pod kątem prostym. Ciekaw jestem, gdzie jest teraz ten stary prymus, taki trwały i solidny? Nie było prądu, a noce spędzaliśmy przy świetle lampki naftowej. Ojciec pracował w Ballymore, przyjeżdżał wieczorami pociągiem, zawsze cichy, choć zły, niosąc ze sobą frustrację minionego dnia jak ciężki bagaż ściskany kurczowo w zaciśniętych pięściach. A jak matka spędzała czas, kiedy ojciec był w pracy, a mnie z nią nie było? Wyobrażam sobie, jak siedzi przy nakrytym ceratą stoliku w drewnianym domku, głowę wspiera na dłoni, pielęgnując w sobie urazy podczas długich godzin umykającego dnia. Wciąż była młoda, oboje byli młodzi, ojciec z matką, na pewno młodszy, niż ja jestem dzisiaj. Dziwnie jest o tym myśleć. Wszyscy wydają się dziś młodszy ode mnie, nawet zmarli. Widzę ich, moich biednych rodziców, jak nienawistnie bawią się w dom, w dzieciństwie świata. Ich nieszczęście było elementem stałym moich najmłodszych lat: wysoki, niekończący się rejwach, poza zasięgiem słuchu. Nie żywiłem do nich nienawiści. Kochałem ich zapewne. Tylko że stali mi na drodze, zasłaniając widoki na przyszłość.

Z czasem nauczyłem się patrzeć mimo nich, patrzyłem przez moich przezroczystych rodziców.

Matka kąpała się tylko w odległej części plaży, z dala od spojrzeń tłumu hotelowych gości i głośnych obozowisk jednodniowych turystów. Tam, gdzie zaczynało się pole golfowe, niedaleko od brzegu rozciągała się trwała mielizna, która zamykała płytką lagunę, kiedy nadchodził przypływ. W jej gęstych jak zupa wodach pływali się często, z ledwie dostrzegalnym wyrazem nieufności i niezadowolenia; nie pływała, bo pływać nie umiała, ale kładła się na powierzchni i chodziła po dnie morskim na rękach, z trudem utrzymując usta nad pluskającymi falami. Nosila kremplinowy kostium pływacki, myszowato-różowy, z kokieterijną falbanką, przecinającą jej majteczki tuż pod krokiem. Twarz miała nagą i bezbronną, zaplombowaną obcisłym, gumowym czepkiem. Mój ojciec był niezłym pływakiem, uwielbiał tę przerywaną, horyzontalną młóckę, łomotał mechanicznie rękoma, a kiedy zaczerpywał powietrza, na w połowie wyłonionej z wody twarzy pojawiał się krzywy grymas i jedno wybałuszone oko. Po przepłynięciu jakiegoś dystansu stawał, dysząc i spluwając, włosy kleiły mu się do czoła, uszy odstawały od czaszki, pęczniały czarne spodenki, a on stał z rękoma na biodrach i patrzył na nieporadne ruchy mojej matki z sardonicznym uśmieszkiem, skrywającym drganie jego mięśnia szczękowego. Pryskał wodą w jej twarz, chwycił ją za nadgarstki i idąc do tyłu, holował ją po wodzie. Mocno zaciskała powieki i wrzeszczała na niego, żeby przestał. Przyglądałem się tym ich nerwowym figlom w paroksyzmie obrzydzenia. W końcu puszczał ją, podchodził do mnie, przewracał, łapał za kostki i pchał wprzód, jakbym był taczka, spychając mnie z piaszczystej łachy i zaśmiewając się do rozpuku. Silne miał dłonie, jak kajdanki z zimnego, giętkiego żelaza, do dzisiaj czuję jego gwałtowny uchwyt. Był gwałtownikiem, człowiekiem gwałtownych ruchów, gwałtownych dowcipów, ale także istotą płochą; nic dziwnego, że nas zostawił, musiał nas zostawić. Krztusiłem się wodą, próbowałem wywinąć się z jego uścisku, w panice zrywałem się na nogi, stawałem w wodzie i wymiotowałem.

Chloe Grace z bratem stali na twardym piaszczystym brzegu morza, patrzyli.

Mieli na sobie spodenki, jak zwykle, byli bosi. Widziałem ich uderzające podobieństwo. Zbierali muszelki, które Chloe niosła w chusteczce z zawiązanymi rogami, zamienionej w sakiewkę. Przyglądali się nam bez wyrazu, jakbyśmy brali udział w jakimś widowisku, w komicznym skeczu, który wykonano dla nich, ale który ani ich nie rozbawił, ani nie zaniepokoił, wydał się tylko mocno osobliwy. Na pewno zaczerwieniłem się, choć skórę miałem szarą i pokrytą gęsią skórą; wydawało mi się, że wąski strumień wody leje się niekończącym się łukiem z obwisłej przedniej części moich kąpielówek. Gdyby to było w mojej mocy, natychmiast zlikwidowałbym oboje rodziców, którzy przynoszą mi taki wstyd, przekłułbym ich jak bańki morskiej piany, moją grubą, niską matkę o nagiej twarzy i ojca, którego ciało mogłoby być ze smalcu. Wiatr uderzył w plażę i, wirując, przebiegł przez nią skosem pod cienką warstewką suchego piasku, po czym spadł na wodę, szatkując powierzchnię morza na ostre, metaliczne odłamki. Wzdrygnąłem się, ale nie z zimna, a jakby coś przeze mnie przeszło, w milczeniu, szybko i nieodparcie. Dwójka dzieci na wybrzeżu odwróciła się i podreptała w kierunku wraku frachtowca.

Czy właśnie tego dnia zauważyłem, że palce u stóp Mylesa połączone są błoną?

Na parterze panna Vavasour gra na pianinie. Stara się uderzać w klawisze bardzo delikatnie, żeby nie było jej słychać. Boi się, że może mi swoją grą przeszkadzać, podczas gdy ja siedzę tu pochłonięty ogromnymi i niewyobrażalnie ważnymi pracami, Ładnie gra Chopina. Mam nadzieję, że nie przeczuci się na Johna Fielda, nie zniósłbym tego. Jakiś czas temu próbowałem zainteresować ją muzyką Faurego, zwłaszcza późnymi nokturnami, które mnie zachwycają. Nawet kupiłem dla niej nuty, sprowadziłem je z Londynu, ponosząc skądinąd niemałe koszty. Byłem zbyt ambitny. Mówi, że jej palce nie nadążają za nutami. Raczej twój umysł, nie odpowiedziałem. Tchórzliwe, tchórzliwe myśli. Nie mogę zrozumieć, dlaczego nigdy nie wyszła za mąż. Była piękna, kiedyś, w ten swój melancholijny sposób. Długie, siwe włosy, ongiś takie czarne, dzisiaj nosi związane ściśle z tyłu głowy i przebite na krzyż dwiema szpilkami długimi jak druty, w stylu, który przypomina mi, całkiem bezzasadnie, dom gejszy. Ten japoński akcent znajduje potwierdzenie w jedwabnym szlafroku, przewiązanym jak kimono, który nosi co rano z nadrukowanym motywem jaskrawo upierzonych ptaków i bambusowych liści. O innych porach dnia bliższe są jej rozsądne tweedy, ale podczas kolacji potrafi nas zaskoczyć, pułkownika i mnie, schodząc do jadalni w szeleszczącej kreacji w kolorze limonkowym, długiej do połowy łydek, przepasanej szarfą, albo w szkarłatnym hiszpańskim bolerku, zwężanych czarnych spodniach i wytwornych lśniących czarnych pantofelkach. Jest całkiem elegancką starszą panią, a jej stonowane podniecenie zdradza, że dostrzega mój aprobujący wzrok.

W Domu pod Cedrami nie zachowało się niemal nic z dawnych lat, z tej przeszłości, którą znałem. Miałem nadzieję, że znajdę jakiś namacalny ślad po Grace'ach, choćby drobny i pozornie nieistotny, jakieś wyblakłe zdjęcie, powiedzmy, zapomniane na dnie szuflady, może pukiel, a choćby szpilkę do włosów, która utknęła między deskami podłogi, ale nie było tu niczego, niczego z tych rzeczy. Nie odnalazłem nawet zapamiętanej stąd atmosfery. Tak wielu żywych przewinęło się przez ten dom – to przecież dom z pokojami do wynajęcia – że musieli zatrzeć wszystkie ślady po zmarłych.

Jakie szalone są dziś porywy wiatru, który łomocze o szyby wielkimi, miękkimi i nieskutecznymi pięściami. To jesienna pogoda, niebo ciężkie i bezchmurne, które zawsze lubiłem. Jesień pobudza mnie, jak innych zdaje się pobudzać wiosna. Jesień to pora pracy, zgadzam się co do tego z Puszkinem. A tak, ja i Aleksander, dwaj oktabryści. Wkradła się tu jednak jakaś ogólna ociężałość, zupełnie niepuszkinowska, i po prostu nie mogę pracować. Tkwią mimo to przy biurku, przesuwając akapity jak żetony w grze, której zasad już nie pamiętam. Biurko to rachityczny mebelek z wysoce zawodną klapką, który panna V. sama tu przyniosła i podarowała mi – umyślnie, choć z nieśmiałością. *Skrzypisz, drewniana istotko, skrzypisz*. A oto i moje kapitańskie krzesło obrotowe, takie samo jak to z wynajętego domu, w którym mieszkaliśmy dawno temu, z Anną, nawet skrzypi tak samo, kiedy się w nim wygodnie rozsiadam. Praca, którą mam się zająć, to monografia Bonnarda, skromna robota, w której ugrzęzłem na dłużej, niż się spodziewałem. Genialny malarz, w mojej ocenie, o którym nie mam, jak już się dawno zorientowałem, nic oryginalnego do powiedzenia. „Pan od panien i wanien”, tak nazywała go Anna z szyderym uśmiechem. *Bonnard, Bonn art, Bonnargue*. Nie, nie mogę pracować, bawię się tylko słowami.

Tak czy owak, tego, co robię, nie nazwałbym pracą. Praca to zbyt pojemny, zbyt poważny termin. Robotnicy pracują. Wielcy ludzie pracują. A jeśli chodzi o nas, szaraków, nie ma słowa dość skromnego, które jednakowoż opisałoby precyzyjnie, co i jak robimy. Chałtury nie uznaję. To amatorzy chałturzą, podczas gdy my, klasa lub gatunek, o którym mówię, musimy być w każdym calu profesjonalni. Wytwórcy tapet, tacy jak Vuillard czy Maurice Denis, byli równie pilni – następne istotne słowo – jak ich przyjaciel Bonnard, ale pilność nie wystarcza, nigdy nie wystarcza. Nie jesteśmy bumelantami, nie lenimy się. Przeciwnie, jesteśmy frenetycznie energiczni, działamy w spazmach, ale jesteśmy wolni, tragicznie wolni od tego, co można nazwać przekleństwem nieskończonego działania. My dokańczamy to, co robimy, gdy tymczasem prawdziwa praca, jak powiedział, jeśli się nie mylę, poeta Valéry, nigdy się nie kończy, można ją co najwyżej porzucić. Jest taka piękna anegdota o Bonnardzie: podczas wizyty w Musée du Luxembourg artysta każe przyjacielowi, a był nim chyba Vuillard, odciągnąć uwagę strażników, po to, żeby on sam mógł wyciągnąć zza pazuchy skrzynkę z farbami i poprawić fragment własnego obrazu, który wisiał tam od lat. Ci, którzy trudnią się prawdziwą pracą, umierają w ataku frustracji. Tyle do zrobienia i tyle rzeczy wciąż niedokończonych!

Au! Znowu to ukłucie. Zastanawiam się, czy nie zwiastuje czegoś poważnego. Pierwsze symptomy, jakie wystąpiły u Anny, były wyjątkowo subtelne. W minionym roku stałem się ekspertem w kwestiach medycznych – nic dziwnego. Wiem na przykład, że mrowienie kończyn to jeden z pierwszych objawów stwardnienia rozsianego. To uczucie, którego doświadczam, przypomina mrowienie, tylko jest silniejsze. To gorące dżgnięcie, albo seria dżgnięć, w ramieniu, albo w karku, albo raz nawet, czego nie zapomnę, w kłykcium dużego palca u prawej stopy, które doprowadziło mnie do tego, że zacząłem skakać na jednej nodze po pokoju, wyjąc żałośnie z nieszczęścia. Ból, lub jakieś klucie, choć krótkotrwałe, jest często przejmujące. Jak gdyby ktoś sprawdzał, czy mam należne odruchy: czy nadal czuję, nadal żyję.

Anna śmiała się z tych przejawów mojej hipochondrii. Doktor Max, tak na mnie mówiła. Jak czuje się dzisiaj Doktor Max? Czy znowu coś mu dolega? Miała, oczywiście, rację. Byłem zrzęda; byle ból, skaleczenie czy drobne ukłucie, a ja histeryzowałem.

Znowu ten drozd, przylatuje skądś każdego dnia po południu i przysiada na gałęzi ostrokrzewu obok szopy w ogrodzie. Zauważyłem, że lubi robić różne rzeczy trójkami, skacze z górnej gałęzi na niższą, a potem jeszcze niższą, gdzie się zatrzymuje i wydaje z siebie potrójny, ostry i asertywny gwizd. Wszystkie istoty mają swoje zwyczaje. A tu z przeciwległego kąta ogrodu łaciaty kot sąsiadów się skrada, lampart stąpający w ciszy. Uważaj, ptaszku. Tę trawę należy skosić, wystarczy jeszcze raz, w tym roku. Sam mógłbym to zrobić. Z chwilą, gdy rodzi się ta myśl, już tam jestem, z zakasanyimi rękawami i w ogrodniczkach, idę niezdarne, zlany potem, za kosiarką, w ustach mam źdźbła trawy, a wokół głowy bzyczą muchy. To dziwne, jak często ostatnimi czasy tak właśnie siebie widzę, to znaczy z dystansu, jakbym był kimś innym, przy pracach, które mógłby wykonać tylko ktoś inny. Ja i koszenie trawy, doprawdy. Szopa, choć już się wali, wygląda całkiem ładnie, jeśli spojrzeć na nią ze współczuciem, deski pod wpływem wiatru zeszcły się, stały się jedwabiście srebrzanosiwe, jak stylisko zużytego narzędzia, powiedzmy szpadla, albo starej, dobrej siekiery. „Pan od panien i wanien” oddałby dokładnie tę fakturę, jej skromny połysk i blask. *Tiiit, tiiit, tralala.*

Claire, moja córka, napisała do mnie list z zapytaniem, jak się miewam. Nie najlepiej, promienna Clarinda, odpowiedziałem z żalem, nie najlepiej. Nie dzwoni, bo oświadczyłem, że nie będę odbierał żadnych telefonów, nawet od niej. Ale i tak nie ma żadnych telefonów, bo oprócz niej nikomu nie zdradziłem, dokąd się wybieram. Ile ma dziś lat, nie wiem dokładnie, dwadzieścia parę. Jest prawdziwą, błyskotliwą sawantką. A jednak nie jest piękną kobietą, przyznałem to przed sobą już dawno temu. Nie chcę udawać, że mnie to nie smuci, miałem bowiem nadzieję, że będzie drugą Anną. Jest zbyt wysoka i surowa, jej rdzawe włosy są sztywne, nieujarzmione, sterczą wokół jej piegoatej twarzy jak popadnie, a kiedy się uśmiecha, odsłania górne dziąsła, lśniące i jasnoróżowe. Przez swoje rachityczne nogi, wielki tyłek, włosy, a zwłaszcza długą szyję – przynajmniej szyję ma po matce – przywodzi mi nieodmiennie na myśl, bezwstydnie, rysunek Tenniela, na którym Alicja skubnęła kawałeczek magicznego grzyba. Jest jednak dzielna i radzi sobie z sobą samą i ze światem najlepiej, jak potrafi. Ma smętny i ciężki krok, którego pośpność może śmieszyć, charakterystyczny dla wielu niezgrabnych dziewcząt. Gdyby się teraz tutaj zjawiała, weszłaby posuwistym krokiem, rzuciła się ciężko na kanapę i spuściła zaciśnięte kurczowo dłonie tak nisko między kolanami, że kłykcie dotknęłyby podłogi, zasznurowałaby usta, nadeła policzki, powiedziała „Uff!” i rozpoczęła litanie komicznie niefortunnych wypadków, które jej się przydarzyły od czasu, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni. Droga Claire, moja słodka córeczka.

Towarzyszyła mi, kiedy przyjechałem tu, do Ballyless, po śnie, po tym śnie, w którym szedłem po śniegu do domu. Martwiła się chyba, że zamierzam się utopić. Nie ma pojęcia, jaki ze mnie tchórz. Podróż przypomniała mi trochę dawne czasy, gdyż oboje uwielbialiśmy robić wypadki w nieznane strony. Kiedy była mała i nie mogła zasnąć w nocy – od urodzenia cierpiała na bezsenność, jak jej tatuś – zawiązałem ją w kocyk, zanośliem do samochodu i jechałem wzdłuż brzegu wiele mil, skrajem ciemniejącego morza, nucąc piosenki, których słowa choć po części jeszcze pamiętałem, co jednak jej nie usypiało, klaskała bowiem z radości, wcale nie podszytej szyderstwem, i wołała o jeszcze. Pewnego razu, jakiś czas później, wybraliśmy się nawet na wspólne wakacje na kółkach, tylko we dwoje, ale to był błąd, była już wtedy nastolatką i szybko znudziła się winnicami, zamkami i moim towarzystwem, nie przestawała bezlitośnie mnie zadręczać, dopóki się nie poddałem i nie wróciliśmy wcześniej do domu. Wycieczka w te strony również skończyła się klęską.

Był wspaniały, tak, naprawdę wspaniały jesienny dzień, bizantyjskie odcienie miedzi i złota pod niebem jak z płócien Tiepola w kolorze jaskrawego błękitu, krajobraz zatrzymany w ruchu i szklisty, zdawało się, że nie jest sobą, ale własnym odbiciem w nieruchomej powierzchni jeziora. Był to jeden z tych dni, w których, zwłaszcza ostatnimi czasy, słońce jawi mi się jako tłuste oko świata, przyglądające się z nieprzebraną radością, jak zwijam się z bólu. Claire miała na sobie długi zamszowy płaszcz w burym odcieniu, który pod wpływem ciepła w samochodzie wydzieliał lekki, ale wyraźny zapach cielesności – przygnębiał mnie, jednak nie zwróciłem jej uwagi. Zawsze cierpiałem na nadwrażliwość, reagując na mieszankę aromatów, jakimi emanuje ludzkie ciało. A może „cierpieć” nie jest najszcześliwszym słowem. Lubię, na przykład, brązowawy zapach kobiecych włosów, które dawno nie były myte. Moja córka, wybredna stara panna – niestety, jestem pewien, że nigdy nie wyjdzie za mąż – zazwyczaj wcale nie pachnie, a przynajmniej ja nic nie czuję. To kolejna z wielu rzeczy różniących ją od matki, której zwierzęcy zapach, będący dla mnie duszną wonią samego życia, odporną nawet na moc najsilniejszych perfum, przyciągnął mnie do niej, wieki temu. Moje dłonie mają widmowy ślad takiego samego zapachu, jej zapachu, nie mogę się go pozbyć, choćbym nie wiem jak je wykręcał i załamywał. W ostatnich miesiącach życia pachniała, w najlepszym wypadku, farmaceutykami.

Kiedy dojechaliliśmy na miejsce, ciekaw byłem, jak wiele z zapamiętanych przeze mnie szczegółów tej wioski przetrwało do dzisiaj, choćby tylko dla oczu, które wiedziały, gdzie patrzeć, to znaczy: dla moich oczu. Było to jak spotkanie dawnej miłości, kiedy na jej twarzy spoza rysów pogrubionych przez czas wyłania się wyraźnie delikatny wizerunek, który nasze niegdysiejsze ja tak bardzo pokochało. Minęliśmy opuszczoną stację kolejową, przeterkotaliśmy się przez mostek – nienaruszony, nadal na swoim miejscu! – żółdek na wyboju nagle podszedł mi do gardła i opadł w znajomy sposób, i oto wszystko ukazało się moim oczom, droga biegnąca przez wzgórze, na dole plaża, i morze. Nie zatrzymałem się przy domu, zwolniłem tylko, kiedy go mijaliśmy. Są chwile, kiedy przeszłość ma taką moc, że mogłaby każdego unicestwić.

– To tutaj! – powiedziałem do Claire, podniecony. – Dom pod Cedrami! – Kiedy zjeżdżaliśmy, opowiedziałem jej wszystko, niemal wszystko, o Grace’ach. – Tu właśnie mieszkali.

Odwróciła się, żeby zobaczyć dom.

– Czemu się nie zatrzymałeś? – zapytała.

Co miałem odpowiedzieć? Że dopadła mnie nagle obezwładniająca nieśmiałość, tutaj, w samym sercu straconego świata? Jechałem dalej, skręciłem w Strand Road. Strand Café już nie było, w jej miejscu stał natomiast wielki, przysadzisty, wyjątkowo szpetny budynek. Były tu też dwa hotele, mniejsze i nędzniejsze, to oczywiste, niż ich obrazy, które zachowałem w pamięci, na dachu Hotelu Golf powiewała z powagą raczej pretensjonalna flaga. Z wnętrza samochodu słyszeliśmy, jak palmy na trawnikach przed głównym wejściem sennie klekoczą suchymi liśćmi, dźwięk, który dawno temu w purpurowe letnie wieczory zdawał się obiecywać całe bogactwo Arabii. Teraz, w złotawobrazowym świetle październikowego popołudnia – cienie zaczęły się już wydłużać – wszystko było dziwnie wyblakłe, jakby wyjęte z kolekcji starych widokówek. Sklep spożywczy U Mylera, pełniący również funkcje poczty i pubu, nabrzmiał i zamienił się w jarmarczny supermarket z brukowanym parkingiem przed wejściem. Przypomniałem sobie, jak pewnego cichego i ogłuszonego słońcem popołudnia pół wieku temu, kiedy wokół mnie nie było żywej duszy, przypałał się do mnie, na zwirowej ścieżce przed sklepem Mylera, mały i pozornie niegroźny piesek, który – kiedy tylko wyciągnąłem do niego rękę – wyszczerzył kły, co ja wziąłem mylnie za próbę wkupienia się w łaski uśmiechem, po czym ugryzł mnie w nadgarstek, zadziwiająco szybko zaciskając szczęki, i uciekł, chichocząc, albo przynajmniej tak mi się zdawało; i jak, kiedy wróciłem do domu, matka zrugła mnie gorzko za moją głupotę, że wyciągnąłem rękę do zwierzaka, i kazała mi, samemu, pójść do wiejskiego lekarza, który, elegancko ubrany, nakleił niedbale plaster na całkiem urodziwą siną opuchliznę na moim nadgarstku, a potem kazał mi się rozebrać i usiąść sobie na kolanach, tak by mógł pokazać mi, pięknie bładą, pulchną i z pewnością wymanikiowaną dłonią, naciskając delikatnie moje podbrzusze, jak należy właściwie oddychać. „Niech się twój brzuszek zrobi duży, ale nie nabieraj powietrza,

rozumiesz?”, powiedział cicho, mruczając jak kot, a jego mdła, wielka twarz biła ciepłem prosto w moje ucho.

Claire zachichotała bezbarwnym śmiechem.

– A co zostawiło głębsze ślady? – zapytała. – Kły psa czy łapa tego lekarza?

Pokazałem jej nadgarstek: na skórze pokrywającej wyrostek kości łokciowej wciąż widać nikły ślad blizny po dwu nakłuciach kłów. Kłujących kłów.

– To nie było na Capri – odpowiedziałem. – A doktor French nie był Tyberiuszem.

Prawdę powiedziawszy, ten dzień zachował się jedynie w miłych wspomnieniach. Nadal pamiętam zapach poobiedniej kawy w oddechu doktora i łypanie rybich oczu jego gospodyni, która odprowadzała mnie do drzwi.

Zajechaliśmy z Claire pod Niwę.

W rzeczywistości nie jest to już pole, ale ponury ośrodek wczasowy, upstrzony zbudowanymi byle jak i byle gdzie domkami parterowymi, zaprojektowanymi, jak podejrzewam, przez tego samego niezdarne go kreślarza odpowiadającego za szkaradztwa na końcu tutejszego ogrodu. A jednak z przyjemnością zauważyłem, że nowa nazwa nadana temu miejscu, choć to tylko cień tego, czym to miejsce było dawniej, brzmi Łubin, i że budowniczy, domyślam się bowiem, że to budowniczy, zadbał nawet o wysoki stojak dla tego skromnego, dzikiego krzewu – *Lupinus*, z rodzaju *Papilionaceae*, sprawdziłem – obok absurdalnie majestatycznej pseudogotyckiej bramy, przez którą wjeżdża się z drogi. To właśnie pod tymi łubinowymi krzewami mój ojciec co dwa tygodnie, w mroczną północ, uzbrojony w szpadel i latarkę, klnąc siarczyście pod nosem, kopał dół w miękkiej piaskowej ziemi i zakopywał wiadro nieczystości z naszej latryny. Zawsze, kiedy dolatuje mnie słaby, ale dziwnie antropiczny zapach tego kwiecica, wyczuwam w tle ciągle żywy, słodki aromat odchodów.

– W ogóle się nie zatrzymasz? – zapytała Claire. – Robi mi się niedobrze od tej jazdy.

Wraz z upływem lat mam coraz silniejsze wrażenie, że córka dogania mnie wiekowo i że jesteśmy dziś prawie rówieśnikami. To z pewnością skutek tego, że mam mądre dziecko – gdyby nie zabrakło jej wytrwałości, byłaby dużo lepszym naukowcem, niż ja kiedykolwiek mógłbym być. Rozumie też mnie w stopniu, który mnie niepokoi, i nie stosuje taryfy ulgowej wobec moich dziwactw i wyskoków, jak czynią to inni, którzy znają mnie gorzej, a tym samym bardziej się mnie boją. Ale ja tkwię w żałobie, jestem obolały, zraniony i potrzebuję taryfy ulgowej. Chciałbym przejść przez życie niezauważonym – nie, nie przejść, a przebiec. Zostaw mnie w spokoju, krzyknąłem do niej w myślach, pozwól mi przejść ukradkiem obok starych zniesławionych Cedrów, mimo nieistniejącej już kawiarni na Strandzie, obok Łubinu i Niwy, które tu kiedyś były, obok całej tej przeszłej przeszłości, bo gdy się zatrzymam, z pewnością rozplnę się i zamienię w żenującą kałużę łez. Potulnie zatrzymałem jednak wóz na poboczu drogi, a ona wysiadła w milczeniu pełnym irytacji, zatrzasnęła za sobą drzwiczki, jakby wymierzała mi cios w ucho. Co takiego zrobiłem, że się zezłościła? Są chwile, kiedy wpada w chimeryczne nastroje tak samo uporczywie jak jej matka.

I nagle stała się rzecz, której bym się w ogóle nie spodziewał: za grupą krasnalich domków w Łubinie ujrzałem alejkę Duignana, porytą koleinami, wijącą się między poplątanymi krzewami głogu a pokrytymi pyłem krzakami dzikiej róży. Jak ona się uchowała, jak przeżyła najazdy ciężarówek i dźwigów, koparek i kopaczy? Jako chłopiec chodziłem nią codziennie rano, bosy, niosąc poobijaną kankę na mleko kupione od Duignana mleczarza, albo od jego biodrzastej żony, zawsze po stoicku pogodnej. Choć słońce długo już było na niebie, wilgotny chłód nocy lgnął do brukowanego podwórza, gdzie kury stapały powolutku i z przesadną elegancją pośród własnych kredowo-oliwkowych odchodów. Zawsze jakiś pies na łańcuchu leżał pod przechylonym wozem i patrzył na mnie spode łba, kiedy go mijałem, szedłem chwiejnym krokiem, na paluszkach, żeby nie wdepnąć piętą w kurze gówienka, a brudny biały koń powozowy wychylał głowę nad półdrzwiami stajni, i patrzył na mnie z ukosa rozbawionym i sceptycznym okiem, ukrytym pod grzywą, która miała dokładnie taki sam dymny kremowobiały odcień, co kwitnąca fuksja.

Nie lubiłem pukać do drzwi gospodarstwa, bałem się bowiem matki Duignana, niskiej, krępej staruchy, wyposażonej w dwie kłocowate nogi, która zamiast oddychać, sapała i wywaliała błady, wilgotny jak polip język na dolną wargę, wołałem więc raczej ukryć się w fioletowym cieniu stajni i czekać tam na Duignana lub jego żonę, żeby wybawili mnie od spotkania z tą wiedźmą.

Duignan był tyczkowatym tępakiem z przeredzonymi piaskowymi włosami i niewidzialnymi rzęsami. Ubierał się w koszulę bez kołnierzyka, które już wtedy były staroświeckie, i w workowate spodnie, których nogawki wtykał w zabłocone kalosze. W mleczarni, kiedy nalewał chochlą mleko, opowiadał mi o dziewczętach głosem niedwuznacznie chropowatym i ściszym – niedługo potem zmarł na chorobę gardła – mówiąc mi, że jest pewien, że mam dziewczynę, że chce tylko wiedzieć, czy pozwoliła mi się pocałować. Kiedy mówił, kątem oka obserwował długi, cienki strumień mleka, które nalewał mi do kanki, uśmiechając się do siebie i trzepocząc gwałtownie bezbarwnymi rzęsami. Mógł przyprawić o gęsią skórkę, ale mnie w pewien sposób fascynował. Odnosiłem wrażenie, że lada chwila ten prowokator ujawni – tak jakby miał mi pokazać lubieżne zdjęcie – jakąś wielką, obrzydliwą tajemnicę, do której dopuszczeni są tylko dorośli. Mleczarnia była niską, kwadratową i pobieloną celą, była tak biała, że niemal niebieska. Stalowe bańki na mleko wyglądały jak szereg przysadzistych strażników w płaskich czapkach, a na ramieniu każdego lśniła taka sama biała rozeta w miejscu, gdzie odbijało się dobiegające od drzwi światło. Na podłodze stały zatracone we własnej ciszy duże, płytkie garnki okryte muślinem, gdzie na mleku tworzyła się śmietana, obok zaś obsługiwana ręcznie drewniana maselnica – zawsze chciałem spróbować, jak działa, ale nigdy nie miałem okazji. Chłodny, gęsty, tajemniczy zapach mleka skojarzył mi się z panią Grace, i czułem mroczną, podniecającą pokusę, żeby ulec namowom Duignana i opowiedzieć mu o niej, ale powstrzymałem się, co było bezsprzecznie mądrym wyborem.

No i znowu znalazłem się przed bramą gospodarstwa, niegdysiejsze dziecko, które zamieniło się w korpulentnego, na pół posiwiąłego i niemal podstarzałego mężczyznę. Tabliczka z koślawymi literami wywieszona na słupku u bramy ostrzegała, że obcym wstęp surowo wzbroniony. Za moimi plecami Claire mówiła coś o gospodarzach i strzelbach, ale nie zważałem na jej słowa. Ruszyłem po bruku – wciąż był tu bruk! – nie idąc, ale raczej skacząc, dziwacznie, jakbym był nadmuchanym do połowy balonem zaporowym, który wzbijały w górę kolejne powiewy zatykającego dech w piersiach wiatru z przeszłości. Była tu stajnia i półdrzwi. Przeżarta rdzą brona leżała w miejscu, gdzie kiedyś stał wóz Duignana – a może ten wóz to pomyłka pamięci? Tam była też mleczarnia, ale już nieczynna, jej szalone drzwiczki zamknięte na kłódkę. Przed kim? Trudno sobie wyobrazić. Szyby w oknach były do cna zabrudzone lub popękane, a dach porósł trawą. Do przedniej ściany budynku gospodarstwa dobudowano wymyślny ganek, altankę ze szkła i aluminium, wywołującą skojarzenia z pierwotnym okiem olbrzymiego owada. Wewnątrz otworzyły się drzwi i pojawiła się w nich starsza kobieta, zatrzymała się przed szybą i przyglądała mi się nieufnie. Niezdarnie podszedłem kilka kroków bliżej, uśmiechając się szeroko i kiwając głową, jak rosły misjonarz, popełniający gafę za gafą, który zbliża się do maciupkiej królowej jakiegoś szczęśliwie jeszcze nienawróconego plemienia pigmejów. Stała ostrożnie w ganku, a ja zwróciłem się do niej przez szybę, głośno wymawiając swoje imię i nazwisko, i żywo gestykulując. Mimo to nadal przypatrywała mi się nieruchomo. Sprawiała wrażenie młodej aktorki, którą skrupulatnie, ale nie całkiem przekonująco ucharakteryzowano na staruszkę. Jej włosy, ufarbowane na kolor brązowej pasty do butów i po trwałej ondulacji ułożone w grube, błyszczące fale, były zbyt obfite jak na jej małą, wymizerowaną twarz, otaczały ją jak aureola gęstych cierni i wyglądały bardziej jak peruka niż prawdziwe włosy. Miała na sobie wyblakły fartuch, założony na sweter, który na pewno sama wydziergała, męskie

sztruksy, wytarte na kolanach, i zapinane na zamek błyskawiczny zamszowe półbuty w kolorze pruskiego błękitu, które cieszyły się wielką popularnością wśród starszych pań, za czasów mojej młodości, a ostatnio widuje się je wyłącznie na nogach żebraczek i pijaczek. Krzyknąłem do niej przez szybę, że przyjeżdżałem tu jako dziecko, mieszkałem w domku letniskowym w Niwie i że rano przychodziłem tu po mleko. Słuchała, kiwając głową, przy ustach pojawiała się zmarszczka i ginęła, jakby kobieta tłumiała w sobie śmiech. Wreszcie otworzyła drzwi ganku i wyszła na wybrukowane podwórze. W przypiływie na pół szaleńczej euforii – naprawdę, byłem absurdalnie podniecony – miałem ochotę ją wyściskać. Wyrzucałem z siebie potoki słów o obojgu Duignanach, o matce Duignana, o mleczarni, a nawet o złowrogim psie. Ona nadał kiwała głową, uniosła brwi w widocznym niedowierzaniu i patrzyła na Claire, która czekała w bramie z założonymi rękoma, zatuliwszy się w duży, kosztowny, obsztyty futerkiem płaszcz.

Avril. Powiedziała, że nazywa się Avril. Nie podała nazwiska. Z mojej pamięci wyłonił się mglisty obraz, dźwignęło się coś, co przez długi czas zdawało się martwe, obraz dziecka w brudnej koszuli, które stoi w wyłożonej płytkami sieni wiejskiego budynku, trzyma od niechcenia za pulchne, giętkie ramię różową, łysą i nagą lalkę, i patrzy – a raczej wlepia we mnie swój gnomiczny wzrok, którego nic nie mogłoby odwrócić. Ale przecież stojąca przede mną starsza osoba nie może być tym dzieckiem, które teraz byłoby... zaraz, zaraz... po pięćdziesiątce? Może dziecko, które zapamiętałem, było siostrą osoby, na którą patrzę, ale dużo starszą, to znaczy, urodzoną wcześniej? Czy to możliwe? Nie, Duignan zmarł młodo, jako czterdziestolatek, niemożliwe więc, z pewnością to niemożliwe, by Avril była jego córką, był bowiem dorosły, kiedy ja byłem dzieckiem i... mój umysł stanął jak wryty wobec tych rachunków, niczym zagubione i sterane zwierzę juczne. Ale to niezwykle imię, Avril. Czy ktoś w tych okolicach nadałby dziecku tak delikatnie wiosenne imię?

Zapytałem znowu o rodzinę Duignanów, czy coś o niej wie, a Avril powiedziała, że tak, Christy Duignan zmarł – Christy? Czy wiedziałem, że Duignan miał na imię Christy? – ale pani D. wciąż żyje, w domu opieki gdzieś na wybrzeżu.

– A Patsy mieszka niedaleko Old Bawn, a Mary jest w Anglii, ale Willie, biedaczyna, zmarł.

Skinąłem głową. Przygnębiły mnie te wieści o nich, o potomkach dynastii Duignanów, których same imiona były przecież tak trwałe, tak przyziemnie rzeczywiste: Patsy rolnik, Mary emigrantka, mały Willie, który zmarł, wszyscy stawili się tłumnie na mojej prywatnej ceremonii wspominkowej jak nieproszeni ubodzy krewni na uroczystym pogrzebie. Nie wiedziałem, co powiedzieć, żadne słowa nie przychodziły mi na myśl. Uleciała już cała lewitująca euforia minionej chwili i poczułem, że przytłacza mnie cielesność i że jestem z tą chwilą niewspółmierny, kiedy tam stałem, uśmiechając się i nieznacznie kiwając głową, a resztką powietrza ulatywała ze mnie jak z balonu. Avril wciąż nie zdradziła swojej tożsamości, podała tylko imię, przyjmując zapewne, że muszę ją znać, muszę ją rozpoznać – ale jak mogłem, niby skąd, choć stała w drzwiach domu, który kiedyś należał do Duignanów? Dziwiło mnie, że tak dużo wie o Duignanach, mimo że nie należy do rodziny, bo to raczej pewne, że nie należy, a przynajmniej nie jest z nimi blisko spokrewniona, ci wszyscy ludzie o imionach Willie, Mary czy Patsy... żadne z nich nie mogło być jej rodzicem, bo niechybnie by mi o tym wspomniała. W jednej chwili moje przygnębiecie wezbrało falą gorzkiej do niej niechęci, jakby ona z jakiegoś sobie tylko znanego, straszliwego powodu przyczała się tu, w tym nieprzekonującym przebraniu – włosy barwione henną, te dawno niemodne buty do kostek – świadomie, żeby przywłaszczyć sobie skrawek mojej mitycznej przeszłości. Jej szara cera, jak zauważyłem, usiana była drobnymi piegami. Nie miały rdzawego koloru, jak piegi Claire, ani nie były duże, czy plamiaste, jak te, które roily się na dziwnie dziewczęcych przedramionach Christy'ego Duignana, ani, jeśli już o tym mowa, jak te niepokojące plamki, które niedawno zaczęły pojawiać się na zewnętrznej stronie moich dłoni i na bladym jak u kurczaka ciele po obu stronach obojczyka, ale były dużo ciemniejsze, tego samego, jasnobrązowego odcienia co szyja Claire, nieco większe niż ślad po ukłuciu i, przykro mi to mówić, świadczące o

chronicznym, ogólnym zaniedbaniu w higienie osobistej. Z czymś mi się kojarzyły, ale nie umiałbym powiedzieć z czym.

– Bo wie pani – powiedziałem – niedawno pochowałem żonę.

Nie wiem, co mnie naszło, że wyrwałem się z tą wiadomością. Miałem nadzieję, że stojąca za moimi plecami Claire tego nie słyszy. Avril beznamiętnie wpatrywała się we mnie, oczekując zapewne, że powiem coś więcej. Ale co więcej mogłem powiedzieć? Niektóre oświadczenia muszą pozostać szczątkowe. Wzruszyła ramieniem na znak współczucia, wykrzywiając usta w półuśmiechu.

– To smutne – usłyszałem jej proste i nijakie słowa – przykro mi.

Nie sprawiała wrażenia, że mówi to z przekonaniem.

Jesienne słońce padało ukośnie na podwórze, odbijając się błękitnym połyskiem od bruku, a stojące na ganku donice z pelargoniami chełpiły się swoim ostatnim w tym sezonie płonącym kwieciami. Co za świat.

Zdawało się, że w tej kłaczkowatej ciszy Hotelu Golf jesteśmy z córką jedynymi gośćmi. Claire chciała zjeść podwieczorek, i kiedy złożyłem zamówienie, skierowano nas do świecącej pustkami starej oranżerii na tyłach budynku, z której roztaczał się widok na plażę i morze w czasie odpływu. Pomimo lodowatego chłodu miejsce to zachowało delikatne ślady minionych hulank. Czuło się w powietrzu złożony zapach rozlanego piwa i zatęchłego dymu papierosowego, a na podwyższeniu w rogu stało pianino, przypominające, absurdalnie w tym miejscu, Dziki Zachód; kłapa była uniesiona, odsłaniając grymas szczerbatej klawiatury. Po spotkaniu na podwórzu czułem, że cały dygocę i rozpływam się, jak diwa schodząca za kulisy po zakończeniu katastrofalnego spektaklu, w którym fałszywe wysokie tony i błędne wypowiedzi suflera spiskowały z walącą się dekoracją. Usiedliśmy z Claire obok siebie na kanapie i wkrótce dziwaczny, rudowłosy chłopak wystrojony w czarną kamizelkę kelnerską i spodnie z lampasami przyszedł z tacą, którą postawił na niskim stoliku przed nami, po czym zniknął, potykając się w za dużych butach. Herbata w torebce to obrzydliwy wynalazek – osobie jak ja przewrażliwionej przypomina rzecz, którą ktoś przez nieuwagę mógł zostawić w toalecie, nie spuściwszy wody.

Nalałem sobie filiżankę herbaty o barwie torfu i wzmocniłem ją kroplą z piersiówki, którą miałem przy sobie – zawsze należy pamiętać, by mieć pod ręką zapas tego środka znieczulającego, to lekcja minionego roku. Popołudniowe światło stawało się brudne i zimowe, a ściana chmur, gęstych, bagienno-granatowych, wznosiła się nad horyzontem. Fale rozdrapywały grzeciwy piasek na brzegu morza, próbując ucześcić się ziemi, za każdym razem jednak ponosząc porażkę. Z tej strony rosło jeszcze więcej palm, zmierzwionych i wiotkich, których szara kora, gruba i szorstka, przypominała skórę słonia. To z pewnością twardy gatunek, że udaje mu się przetrwać w tym zimnym północnym klimacie. Czy komórki tych palm pamiętają jeszcze pustynię rozgrzaną jak palenisko? Córka opatuliła się płaszczem, a w obie dłonie ujęła filiżankę, żeby się ogrzać. Zauważyłem z bólem jej dziecięce paznokietki, ich bladoliliową barwę. Własne dziecko zawsze będzie dla ojca dzieckiem.

Opowiadałem jej o Niwie, domku letniskowym, rodzinie Duignanów.

– Żyjesz przeszłością – powiedziała.

Już miałem jej ostro odparować, ale powstrzymałem się. Mimo wszystko, miała rację. Życie, autentyczne życie, jest ponoć walką, niesłabnącym działaniem i szukaniem samopotwierdzenia, nasza wola swoją tępą głową wali w mur tego świata, i takie tam dyrdymały, ale kiedy spojrzę wstecz, widzę, że zawsze zużywałem większość energii na proste poszukiwanie schronienia, wygody i, przyznając, przytulnego miejsca. Uświadomienie sobie tego jest zaskoczeniem, by nie powiedzieć: szokiem. Wcześniej uważałem siebie za typ pirata, który rzuca się na wszystkich z długim nożem w zębach, teraz jednak zmuszony jestem przyznać, że była to mrzonka. Przez całe życie tak naprawdę chciałem tylko jednego: chciałem być ukryty, chroniony i strzeżony, chciałem zaszyć się w miejscu, które byłoby ciepłe jak łono, skulić się w nim, ukryć przed obojętnym spojrzeniem nieba i groźnymi knowaniami powietrza. To dlatego przeszłość jest dla mnie takim schronieniem, wędruję do niej ochoczo, zacieram dłonie i zostawiam za sobą zimną teraźniejszość i jeszcze zimniejszą przyszłość. A jednak przeszłość... w jaki sposób tak naprawdę istnieje przeszłość? Przecież jest tylko tym, czym była chwila obecna, kiedyś, ta chwila obecna, której już nie ma, niczym więcej. A jednak.

Claire wtuliła głowę jak zółw głęboko pod skorupę płaszczka, zrzuciła buty i oparła stopy na krawędzi stolika. W widoku kobiecych stóp w pończochach zawsze jest coś wzruszającego, myślę, że to z powodu palców, które są tak mocno ściśnięte, że prawie się ze sobą stapiają. Palce u stóp Mylesa Grace'a były tak właśnie stopione w sposób naturalny. To znaczy, nienaturalny. Kiedy je rozstawiał, a robił to z taką łatwością, jakby rozcapierał palce u dłoni, błona między nimi napinała się i tworzyła cieniutką pajęczynkę, różową, przezroczystą, pokrytą jak liść koronką pięknych żyłek, czerwonych niczym płomień – znamiona małego boga, to pewne jak amen w pacierzu.

Nagle przypomniałem sobie, w tym uparcie gęstniejącym błękiecie wieczoru, rodzinę misiów pluszowych, którymi przez całe dzieciństwo bawiła się Claire. W moich oczach były to lekko odrażające istoty, wyglądały niczym żywe. Kiedy leżała w ziarnistym świetle nocnej lampki, a ja pochylałem się nad nią, żeby pocałować ją na dobranoc, czułem, że jestem pod obserwacją – że ktoś patrzy na mnie ze skrajnej kapy rzuconej na łóżko, że patrzy na mnie kilka drobnych, lśniących szklanych oczek, wilgotnawo brązowych, nieruchomych, niesamowicie czujnych.

– Pamiętasz swoje *lares familiares*? – zapytałem teraz. – Nadal je trzymasz na panieńskim łóżku?

Po plaży przesunął się skośny promień światła, nadając piaskom ponad linią wody odcień kościanej bieli, a biała mewa, olśniewająca na tle ściany, jaką stworzyły chmury, wzbijała się na skrzydłach w kształcie sierpu, zawróciła z bezgłośnym klapnięciem i rzuciła się w dół, jak składający się w pół szewron, w głąb niesfornego morza. Claire siedziała przez moment bez ruchu, po czym zaczęła płakać. Żadnego dźwięku, same lzy, jasne paciorki rtęci w ostatnim blasku morskiego światła spływającego po wysokim szklanym murze przed nami. Płacz, taki niemy i tak bardzo na uboczu, to jeszcze jedna rzecz, którą przejęła po matce.

– Nie ty jeden cierpisz – powiedziała.

Tak mało wiem o własnej córce. Pewnego dnia, kiedy była dzieckiem, miała może dwanaście, może trzynaście lat, na progu dojrzewania, władowałem się jej do łazienki, której drzwi zapomniała zamknąć. Była naga, tylko głowę owiniętą miała w ręcznik, jak w turban. Spojrzała na mnie przez ramię w kaskadzie spokojnego światła wpadającego do środka przez matową szybę, zupełnie niespłoszona, i patrzyła na mnie całym swoim ja. Jej piersi były jeszcze nierozwinięte, ale miała już ten wielki jak melony tyłek. Co czułem, kiedy ją zobaczyłem? Wewnętrzny chaos, zabarwiony czułością i poniekąd strachem. Dziesięć lat później przerwała studia na historii sztuki – Vaublin i styl *fête galante*; taka jest, taka była moja córka – żeby nauczać opóźnione w rozwoju dzieci w jednej z coraz liczniejszych dzielnic slumsowych tego miasta. Szkoda takiego talentu. Nie mogłem jej tego wybaczyć, nadal nie mogę. Próbuje, ale nie udaje mi się. To wszystko robota pewnego młodzieńca, znającego życie tylko z książek, o małym podbródku i skrajnie egalitarnych poglądach, któremu oddała serce. Ten romans, jeśli to był romans – bo podejrzewam, że nadal jest dziewicą – zakończył się dla niej niedobrze. Kiedy już ją przekonał, by porzuciła pracę, której miała poświęcić całe swoje życie, na rzecz jałowego społecznego gestu, szubrawiec zbiegł, wystawiając moją nieszczęsną córkę do wiatru. Chciałem go odszukać i zabić. A przynajmniej, powiedziałem, opłacę dobrego adwokata, który wytoczy mu sprawę za złamanie obietnicy. Anna kazała mi zamilknąć, mówiła, że tylko pogarszam sytuację. Już wtedy chorowała. Co mogłem zrobić?

Na zewnątrz gęstniał zmierzch. Morze, które dotychczas było ciche, wpadło w jakiś niejasny zamęt, pewnie zaczynał się przypyływ. Łzy Claire przestały płynąć, ale zostały na twarzy, nie wytarła ich, może nie zauważyła. Zadrzałem; nastały czasy, kiedy całe kongregacje żałobników wędrują bezdusznie tam i z powrotem po moim grobie.

Wysoki mężczyzna we fraku wszedł przez drzwi za nami, podszedł bezszelestnie jak dobry lokaj, spojrzął na nas z grzecznym zaciekawieniem, napotkał mój wzrok i odszedł. Claire siąknęła, zanurzyła dłoń w kieszeni, wyjęła z niej chusteczkę i tubalnie wydmuchała nos.

– To zależy – zwróciłem się do niej łagodnie – co masz na myśli, mówiąc cierpienie.

Nie odpowiedziała, ale schowała chusteczkę z powrotem do kieszeni, wstała i rozejrzała się wokół, marszcząc czoło, jakby czegoś szukała, choć nie bardzo wiedziała czego. Powiedziała, że poczeka na mnie w samochodzie, i odeszła ze spuszczoną głową, z rękoma głęboko w kieszeniach płaszcza. Westchnąłem. Na mroczniejącym sklepieniu nieba mewy wzbijały się i opadały jak strzępy szmat. Uświadomiłem sobie, że boli mnie głowa; od chwili gdy usiadłem w tej szklanej skrzyni pełnej znużonego powietrza, czułem w czaszce łomotanie, na które jednak nie zwracałem uwagi.

Wrócił młody kelner, niepewny jak lisie szczenię, i chciał zabrać tacę; marchewkowy loczek spadał mu bezwładnie na czoło. Z takim kolorem włosów mógłby być członkiem klanu Duignanów, z gałęzi kadetów. Zapytałem, jak mu na imię. Zatrzymał się, pochylił niezgrabnie do przodu, od pasa w górę, zaniepokojony spojrzął na mnie badawczo spod bladego czoła. Materiał jego kurtki lśnił od wytarcia, a mankiety koszuli były zabrudzone.

– Billy, psze pana.

Dałem mu monetę, podziękował, schował ją do kieszeni, wziął tacę, odwrócił się, ale się zawahał.

– Dobrze się pan czuje? – zapytał.

Wyjąłem kluczyki od samochodu i spojrzałem na nie z zakłopotaniem. Wydawało się, że wszystko jest czymś innym. Odpowiedziałem, że tak, dobrze się czuję, i chłopak odszedł. Otaczająca mnie cisza była ciężka jak wzburzone morze. Pianino na podwyższeniu szczyrzyło zęby w upiornym uśmiechu.

Kiedy wychodziłem z holu, mężczyzna we fraku wciąż tam stał. Miał dużą, woskową, dziwacznie pozbawioną rysów twarz. Ukłonił mi się z promiennym uśmiechem, a ręce przycisnął do piersi w przesadnym, operowym geście. Co jest takiego w tych ludziach, że ich pamiętam? W jego spojrzeniu kryła się obłuda, ale też pewna groźba. Może spodziewał się, że też dostanie ode mnie napiwek? Już mówiłem: co za świat.

Claire czekała przy samochodzie, kuląc się z zimna, ręce chowając w rękawach płaszcza jak w mufce.

– Szkoda, że nie wzięłaś ode mnie kluczyków – powiedziałem. – Bałaś się, że ci nie dam?

Claire uparła się, że w drodze powrotnej to ona będzie prowadzić. Noc była już ciemna, a w oślepiającym blasku świateł szeregi bezlistnych drzew straszdeł wyrastały nagle przed nami i równie nagle ginęły, zapadając się w mrok po obu stronach drogi, jakby powalił je przejazd naszego samochodu. Claire pochylała się tak bardzo do przodu, że nosem niemal opierała się o przednią szybę. Światło deski rozdzielczej jak zielony płomień płonącego gazu nadawało jej twarzy widmowy kolor. Powiedziałem, że ja powinienem prowadzić. A ona, że za dużo wypilem. Odparłem, że nie jestem pijany. Na co usłyszałem, że wypilem całą piersiówkę, widziała, jak ją opróżniam. Powiedziałem, że to nie jej interes, że w ten sposób nie może się do mnie zwracać. Znowu się rozpłakała, krzycząc przez łzy. Powiedziałem, że nawet gdybym był pijany, nie byłbym takim zagrożeniem za kierownicą, jak ona w obecnym stanie. I tak się to rozwijało, oko za oko, wet za wet, co tylko. Odplącałem pięknym, czy raczej szpetnym, za nadobne, przypominając jej, dla porządku, że przez dobrą część roku (a myślę o ostatnim roku życia jej matki), to znaczy przez jego gorszą część – jaki niedokładny jest język, jaki bezradny wobec opisywanego świata – ona wygodnie żyła za granicą, studiowała, a ja zostałem sam i musiałem sobie jakoś radzić. To był celny cios. Zawyla przez zaciśnięte zęby i uderzyła nasadą dłoni w kierownicę. Potem zaczęła obrzucać mnie najrozmaitszymi oskarżeniami. Powiedziała, że to ja przegoniłem Jerome'a. Nie od razu zrozumiałem. Jerome'a? Jakiego Jerome'a? Miała oczywiście na myśli tego pozbawionego podbródka uszczęśliwacza świata – ją uszczęśliwił niebotycznie, a jakże – i były obiekt swoich uczuć. Jerome, no właśnie, Hieronim, tak temu łobuzowi było na imię – uwierzycie? W jaki sposób, zapytałem, próbując trzymać nerwy w ryzach, błagam, powiedz mi, w jaki sposób „przegoniłem tego Jerome'a”? W odpowiedzi parsknęła, odrzucając głowę do tyłu. Zacząłem się zastanawiać. To prawda, że uważałem go za nieodpowiednią dla niej partię i że oznajmiłem mu to wprost, zresztą przy wielu okazjach, ale ona powiedziała to tak, jakbym

biegał za nim z pejczem albo strzelał do niego ze śrutówki. A poza tym, jeśli rzeczywiście mój sprzeciw go „przegonił”, jak to świadczy o jego charakterze i o powadze jego zamiarów? Mowy nie ma, lepiej, żeby trzymała się z dala od podobnych typów, bez dwóch zdań. Ale teraz już niczego więcej nie powiedziałem, zachowałem swoje myśli dla siebie, a kiedy ujechaliśmy miłą lub więcej, ogień buzujący w Claire już wygasł. Tego się nauczyłem o kobietach: poczekaj, a wyjdzie na twoje.

Kiedy dojechaliśmy, poszedłem od razu do domu, a Claire kazałem odstawić samochód na parking. Znalazłem numer Domu pod Cedrami w książce telefonicznej, zadzwoniłem do panny Vavasour i powiedziałem jej, że chciałbym wynająć u niej pokój. Potem wszedłem na piętro i wlałem w gatkach do łóżka. Poczuję się nagle bardzo zmęczony. Walka ojca z córką to zawsze osłabiające, co najmniej, doświadczenie. Z sypialni, którą dzieliliśmy z Anną, przenieśliśmy się do wolnego pokoju nad kuchnią, w którym był kiedyś pokój dziecinny, łóżko było niskie, wąskie, niewiele większe od dziecięcego łóżeczka. Słyszałem, jak Claire krząta się pode mną w kuchni, trzaskając garnkami i patelniami. Nie powiedziałem jej jeszcze, że zamierzam sprzedać ten dom. Panna V. w czasie rozmowy telefonicznej dopytywała, jak długo planuję u niej zabawić. Jej ton zdradzał, że nie rozumie mojej decyzji, a nawet, że jest wobec mnie nieufna. W rozmowie z nią świadomie nie podałem żadnych konkretnych danych. Kilka tygodni, powiedziałem, może miesięcy. Przez długą chwilę milczała, zamyśliwszy się nad moimi słowami. Wspomniała o pułkowniku, że to stały lokator i ma swoje przyzwyczajenia. Postanowiłem się na ten temat nie wypowiadać. Czym są dla mnie pułkownicy? Jeśli o mnie chodzi, mogłaby gościć u siebie cały korpus oficerski. Nie dbam o to. Powiedziała, że sam będę musiał zanosić bieliznę do prania. Zapytałem, czy mnie pamięta.

– Ależ tak – odparła bez nacisku. – Oczywiście, że pana pamiętam.

Usłyszałem kroki Claire na schodach. Jej gniew już zelżał, szła głośno, ociężałym, niepoczonym krokiem. Jestem pewien, że nasze spory ją także męczą. Drzwi do sypialni były uchylone, ale nie weszła, zapytała tylko ospale przez szparę, czy chciałbym coś przegryźć. Nie zapaliłem lamp w pokoju, a długi trapezoid światła spływający z półpietra, na którym stała na linoleum, był drogą prowadzącą wprost do dzieciństwa, jej i mojego. Kiedy była mała i spała w tym pokoju, w tym łóżku, lubiła przysłuchiwać się odgłosom mojej maszyny do pisania dobiegającym z gabinetu na parterze. Ten dźwięk niósł ukojenie, powiedziała, jakby słuchała moich myśli, choć doprawdy nie wiem, jak słuchanie moich myśli mogłoby kogokolwiek ukoić; powiedziałbym, że wprost przeciwnie. Ach, jak daleko są dzisiaj te dni, te noce. Mimo wszystko, nie powinna krzyczeć na mnie w ten sposób w samochodzie. Nie zasługuję, by tak na mnie krzyczano.

– Tatusiu – powiedziała znowu, a w głosie dało się wyczuć, że sonduje sytuację – zjesz obiad?

Nie odpowiedziałem i odeszła. Żyję przeszłością. Niby ja.

Odwrociłem się do ściany, plecami do światła. Choć zgiąłem nogi, pięty wciąż wystawały poza krawędź łóżka. Kiedy rzucałem się w płataninie prześcieradeł – nigdy nie dawałem sobie rady z pościelą – poczułem ciepły powiew własnego serowego zapachu. Przed chorobą Anny miałem swoje fizyczne ja w przyjaznej pogardzie, zresztą jak większość ludzi – to znaczy oni pogardzają swoim ja, nie moim – tolerowałem, z konieczności, wytwory mojego człowieczeństwa, przed którymi nie ma niestety ucieczki, te rozmaite wyziewy, bekanie z przodu i z tyłu, wycieki z cewki moczowej, łupież, pot i inne zwyczajne upławy, a nawet to, co bard z Hartford tak oryginalnie nazywa „częstkami z dolnych partii”. A jednak kiedy ciało Anny zdradziło ją i zaczęła się lękać jego obcych możliwości, w wyniku jakiegoś tajemniczego przeniesienia zrodził się we mnie wstręt do własnego ciała. Ta niechęć do siebie samego nie jest czymś trwałym, a przynajmniej nie jestem jej trwale świadomy, choć prawdopodobnie tkwi we mnie, czeka, aż będę sam, w nocy, albo we wczesnych godzinach rannych, wtedy, szczególnie wtedy, otacza mnie jak miazmaty gazu bagiennego. Pojawiła się też u mnie chorobliwa fascynacja procesami zachodzącymi w moim ciele, na przykład tym, jak włosy i paznokcie uporczywie rosną, bez względu na stan, w jakim się znajduję, czy udrękę, jakiej doświadczam. Ten nieustępliwy rozrost martwej materii wydaje się tak bezduszny, tak bardzo niedbający o okoliczności, że przypomina zwierzęta, które zajmują się własnymi sprawami, i żyją nieświadome lub obojętne, że ich pan zwałił się na zimne łóżko w sypialni na piętrze i leży, z rozwartymi ustami i zaszklonymi oczyma, i nie zejdzie do nich, już nigdy, by nałożyć karmę do miski czy otworzyć ostatnią puszkę sardynek.

A skoro mowa o maszynach do pisania – tak, tak, przed chwilą wspomniałem o maszynie – jej obraz przyszedł do mnie wczoraj, we śnie, próbowałem napisać testament na maszynie, w której nie było litery jot, jak w „ja”. Ani dużej, ani małej.

Tu nad morzem cisza, jaka zapada po zmroku, ma szczególny charakter. Nie wiem, czy to moja zasługa, to znaczy, czy to ja naznaczam w ten sposób ciszę w moim pokoju, a nawet w całym domu, czy może to cecha miejsca, efekt obecności soli w powietrzu, kto wie, albo w ogóle nadmorskiego klimatu. Nie przypominam sobie, żebym dostrzegał tę cechę w czasach mojej młodości, kiedy mieszkalem w Niwie. Gęsta, a jednocześnie pusta. Zanim uzmysłowiłem sobie, co mi przypomina, upłynęło dużo czasu, niejedna noc. To przecież cisza, którą znałem z sal szpitalnych mojego dzieciństwa, kiedy leżałem w gorączce, w kokonie gorących, wilgotnych kocy, a pustka napierała na błonę bębnową jak powietrze w batysferze. W tamtych czasach choroba była osobnym, odosobnionym miejscem, do którego nikt inny nie miał wstępu, nawet lekarz ze stetoskopem przyprowadzającym o dreszcze, nawet matka, kiedy kładła zimną dłoń na moim rozpalonym czole. Choroba jest miejscem jak to, w którym teraz jestem, daleko od gdziekolwiek, od kogokolwiek. Myślę o innych domownikach, o pannie Vavasour i pułkowniku, pogrążonych we śnie w swoich pokojach, a potem przychodzi mi na myśl, że może nie śpią, ale leżą z otwartymi oczyma, jak ja, wpatrując się ponuro smutnym wzrokiem w ołowianosiną ciemność. Może jedno z nich rozmyśla o drugim, bo pułkownik czuje miętę do naszej *châtelaine*, jestem przekonany. Ona jednak śmieje się z niego za jego plecami, nie całkiem bez sympatii, nazywając go pułkownikiem Gafą albo Naszym Dzielnym Wiarusem. Bywają ranki, kiedy jej oczy są zaczerwienione, jakby szlochała w nocy. Czy wini siebie za to, co się stało, i nadal ich oplakuje? Jesteśmy kruchym stateczkiem smutku, żeglującym w stłumionej ciszy przez jesienny mrok.

Nocami, przede wszystkim nocami, rozmyślałem o Grace'ach, leżąc w wąskim metalowym łóżku w domku letniskowym pod otwartym oknem, i słyszałem kudłate fale, które załamują się w powtarzanym monotonicznie rytmie, uderzając o brzeg, samotny krzyk bezsennej mewy, dalekie sporadyczne grzechotanie derkacza, nikłe, jazzujące jęki tanecznej orkiestry grającej ostatniego wolnego walca w Hotelu Golf, wreszcie matkę i ojca, którzy kłócą się w pokoju od frontu, jak zawsze wtedy, gdy wydawało im się, że już śpię, wymyślając sobie zgrzytliwym półgłosem co wieczór, co noc, aż wreszcie pewnej nocy ojciec odchodzi i nigdy nie wraca. Ale to było zimą, w innym miejscu, wiele lat później. Żeby nie słyszeć, co wygadują, zabawiałem się, wymyślając dramaty, w których ratowałem panią Grace przed jakąś wielką, ogólną katastrofą, na przykład z rozbitego statku lub z szalejącego sztormu, i znajdowałem dla niej bezpieczne schronienie w jaskini, która była szczęśliwym trafem sucha i ciepła, gdzie w świetle księżyca – statek zatonął, sztorm minął – z czułością pomagałem jej zdjąć przesiąknięty wodą kostium kąpielowy, owijałem jej fosforyzującą nagość ręcznikiem, i kładliśmy się, a ona przytulała głowę do mojego ramienia, i z wdzięczności głaskała mnie po twarzy, i wzdychała, i tak razem zasypialiśmy, ona i ja, spowici łagodną letnią nocą.

W owym czasie dużo myślałem o bogach. Nie mam tu na myśli Boga, tego z dużej litery, ale bogów w ogóle. Albo idee bogów, to znaczy, możliwość bogów. Czytałem pasjami i znałem na wylot mity greckie, choć trudno mi było spamiętać wszystkie występujące w nich postacie, bowiem często się przeistaczały, i tak różne były ich przygody. Moja wyobraźnia przedstawiała sobie, z konieczności, ich stylizowane wizerunki – wielkie, niemal nagie plastelinowe figury, mięśnie jak postronki, piersi jak odwrócone lejki – inspirowane sztuką wielkich mistrzów włoskiego renesansu, Michała Anioła w szczególności, którego obrazy musiałem gdzieś widzieć reprodukowane w książce lub w czasopiśmie, ja – zawsze poszukujący obrazów nagiego ciała. Moją wyobraźnię, co oczywiste, pobudzały najsilniej erotyczne wyczyny tych niebiańskich istot. Myśl o tych napiętych i w napięciu drżących nagich ciałach, których nic nie krępuje poza marmurowymi fałdami tunik albo przypadkowym pasemkiem przezroczystej niemal tkaniny – było przypadkowe, być może, ale, ku mojemu rozczarowaniu, strzegło skromności równie bezwzględnie jak ręcznik plażowy Rose albo, no właśnie, kostium kąpielowy Connie Grace – otóż myśl ta wypełniała moją niedoświadczoną, ale już przegrzaną wyobraźnię majakami o miłości i miłosnych występkach, a wszystkie sprowadzały się niezmiennie do pościgu, porwania i brutalnego okiełznania. O szczegółach tych potyczek w złotym pyłe Grecji wiedziałem niewiele. Wyobrażałem sobie pulsowanie i dreszcze złotawobrązowych ud, przed którymi cofają się blade łądzwie, nawet kiedy im ulegają, i słyszałem jęk, w którym rozkosz splata się ze słodkim smutkiem. Sama mechanika aktu pozostawała dla mnie niedosięga. Pewnego dnia, kiedy wędrowałem porośłą ostami ścieżką w Przekopie, bo tak nazywał się ten pas tonącego w zaroślach terenu między wybrzeżem a polem, nieomal wpadłem na parę, która leżała w płytkim piaskowym dole i kochała się, przykryta płaszczem przeciwdeszczowym. Pod wpływem ich mozolnej pracy płaszcz się przesunął, zakrywał ich głowy, odsłaniając części

niższe – a może to oni w ten właśnie sposób wszystko obmyślili, woleli bowiem ukryć twarze, po których łatwiej można było ich rozpoznać, niż zadki. A na ten widok: uda mężczyzny, pracujące rytmicznie w widełkach uniesionych i szeroko rozstawionych nóg kobiety, coś nabrzmiało i zgęstniało mi w gardle, nadciągnęła krwista fala paniki i podnieconego obrzydzenia. A więc to właśnie tak, pomyślałem, albo coś we mnie pomyślało, a więc tak to się robi.

Miłość wielkich ludzi. Trudno było ich sobie wyobrazić, próbować ich sobie wyobrazić, jak mocują się ze sobą na olimpijskich łożach w ciemnościach nocy, widoczni tylko dla gwiazd, jak obejmują się i ściskają, dyszą słodkie słówka, krzyczą z rozkoszy jak z bólu. Jak tłumaczyli potem te nocne poczynania swoim dziennym postaciom? Nurtowało mnie to pytanie. Czemu się tego nie wstydzą? W niedzielę rano, powiedzmy, idą do kościoła, drżąc nadal z podniecenia po figlach sobotniej nocy. Przed wejściem wita ich ksiądz, uśmiechają się, jakby nic nie mieli do ukrycia, mamrocą jakieś niewinne słowa, kobieta zanurza czubki palców w kropielnicy, mieszając ślad lepkich soków miłosnych z wodą święconą. Pod wyjściowym niedzielnym ubraniem pamięć rozkoszy rozgrzewa im uda. Klękają, nie zważając na pełne wyrzutów żalobne spojrzenie, które figurka ich Zbawiciela śle im z krzyża. Po niedzielnym obiedzie każą dzieciom bawić się na dworze, a sami udają się do azylu, jakim jest ocieniona zaciągniętymi zasłonami sypialnia, i znowu zaczynają to robić, nieświadomi, że przekrwione oko mojego umysłu wpatruje się w nich nieruchomo. Tak, takim byłem chłopięciem. Albo inaczej: jest we mnie nadal coś z tego chłopca, którym wówczas byłem. Innymi słowy: mała bestyjka o plugawych myślach. Jak gdyby byli jacyś inni chłopcy. Nigdy nie dorosłejemy. A przynajmniej, ja nigdy nie wydoroślałem.

Za dnia wałęsałem się bez celu po Station Road, w nadziei, że ujrzę, choć przez chwilę, panią Grace. Przechodziłem koło zielonej metalowej bramy, zwalniając krok jak somnambulik, i pragnąłem, żeby wyszła frontowymi drzwiami, tak jak jej mąż wyszedł nimi tego dnia, kiedy go pierwszy raz ujrzałem, ale ona uparcie siedziała w domu. W rozpaczy wpatrywałem się w rozwieszzone w ogrodzie za domem pranie, ale widziałem tylko bieliznę dzieci, spodenki, skarpetki, jeden lub dwa okazy nieciekawie skąpej bielizny Chloe, no i oczywiście zwiotczałe, szarawe gacie ich ojca, a raz nawet jego kapelusz, przypięty klamerką zawadiacko na bakier. Jedyłą rzeczą należąca do pani Grace, jaką widziałem, był jej kostium kąpielowy, przyczepiony do sznura za ramiączko, oklapnięty i skandalicznie pusty, suchy i nie przypominający już skóry foczej, a raczej panterzą. Spoglądałem także w okna, zwłaszcza na piętrze w sypialni, i pewnego dnia czekała mnie nagroda – serce waliło mi jak młotem! – za ocienioną szybą mignęło przez chwilę nagie udo, które, byłem pewien, mogło tylko do niej należeć. Wkrótce umiłowane ciało poruszyło się i zamieniło w owłosione ramię jej męża siedzącego, jak mogłem się teraz domyślić, na sedesie, sięgającego po papier toaletowy.

Pewnego dnia drzwi jednak się otworzyły, ale wyszła z nich Rose i obdarzyła mnie spojrzeniem, pod którego ciężarem spuściłem wzrok i przyspieszyłem kroku. Tak, Rose od razu przejrzała mnie na wylot. Dzisiaj też wie, bez wątpienia, co o mnie sądzić.

Postanowiłem dostać się do tego domu, chodzić tam, gdzie chodziła pani Grace, usiąść tam, gdzie ona siedziała, dotykać przedmiotów, które ona dotykała. W tym celu nawiązałem znajomość z Chloe i jej bratem. Przyszło łatwo, jak zazwyczaj przychodzą te rzeczy w dzieciństwie, nawet dziecku tak płochemu, jakim wówczas byłem. W tym wieku nie prowadzimy kulturalnych rozmów o niczym, nie mamy rytuałów grzecznego zabiegania o względy i randki, ale po prostu przebywamy obok siebie i czekamy, aż coś się wydarzy. Pewnego dnia widziałem, jak wałęsali się bez celu po zwirowej ścieżce przed Strand Café, dostrzegłem ich, zanim oni dostrzegli mnie, przeciąłem drogę na ukos, idąc w ich kierunku, i zatrzymałem się. Myles jadł lody w głębokim skupieniu, lizał je równo ze wszystkich stron jak kotka, która liże swoje małe, a Chloe, która, jak się domyśliłem, zjadła już swoją porcję, czekała przy nim w postawie apatycznego znużenia, opierając się o drzwi kawiarni, jedną stopą naciskała na wierzch drugiej, a pozbawioną wyrazu twarz uniosła ku słońcu. Nie odezwałem się ani słowem, oni też nie. Cała nasza trójka stała tam po prostu w promieniach porannego słońca pośród zapachów wyrzuconych na brzeg wodorostów, wanilii, i tego, co w Strand Café uchodziło za kawę, aż w końcu Chloe raczyła pochylić głowę, skierowała wzrok ku moim kolanom i zapytała, jak mam na imię. Kiedy odpowiedziałem, powtórzyła moje nazwisko, jakby to była podejrzana moneta, której wartość sprawdza się zębami.

– Morden? – zapytała. – A co to za nazwisko?

Szliśmy powoli Station Road, Chloe i ja na przedzie, a Myles za nami, podskakując radośnie, omal nie powiedziałem: baraszkuje. Byli z miasta, oznajmiła Chloe. Nietrudno mi było to zgadnąć. Zapytała, gdzie teraz mieszkam. Wykonałem niejasny gest ręką.

– Tam – odparłem. – Za kościołem.

– W domku czy w hotelu?

Bystra z niej dziewczyna! Przez chwilę chciałem skłamać – „W Hotelu Golf, oczywiście” – ale wiedziałem, dokąd może zaprowadzić mnie kłamstwo.

– W domku letniskowym – wymamrotałem.

Pokiwała w zamyśleniu głową.

– Zawsze chciałam mieszkać w takim domku – odparła.

Żadne to dla mnie pocieszenie. Przeciwnie, jej słowa wywołały we mnie chwilowy, ale przejrzyście jasny obraz małej, walącej się drewnianej latryny stojącej wśród łubinów na wprost okna mojej sypialni, a nawet wydawało mi się, że czuję suchy, drzewny zapach kwadratowych kawałków gazety, wbitych na zardzewiały gwóźdź po wewnętrznej stronie drzwi.

Podeszliśmy do Domu pod Cedrami, zatrzymaliśmy się przy bramie. Na podwórzu stał samochód. Niedawno skądś wrócił, chłodnica nadal mlaskała jęzorem w grymasnej skardze. Z wnętrza dobiegły mnie ciche słodkie nuty orkiestry grającej w radiu i oczyma wyobraźni zobaczyłem panią Grace i jej męża w tańcu, jak wirują pośród mebli, jej głowa odrzucona do tyłu, szyja obnażona, a on drobi porośniętymi sierścią tylnymi nóżkami satyra i ochoczo szczerzy zęby w uśmiechu na wprost jej twarzy – był od niej niższy o cal lub dwa – wystawia na pokaz ostre ząbki, a jego lodowatobłękitne oczy lśnią radosnym pożądaniem. Chloe czubkiem sandała rysowała na żwirze szlaczki. Na łydkach miała drobne, białe włoski, ale jej golenie były gładkie i lśniące jak kamień. Nagle Myles podskoczył, jakby z radości, był to jednak ruch nazbyt mechaniczny, jak nakręcanej lalki, która nagle ożywa, i pacnął mnie w tył głowy otwartą dłonią, odwrócił się, zakrztusił od śmiechu, wdrapał sprawnie na pręty bramy, zeskoczył na żwir po drugiej stronie, obrócił się, stając twarzą do nas, i przykucnął, zginając kolana i łokcie, jak akrobata dopraszający się należącego mu aplauzu. Chloe zrobiła minę, wykrzywiając usta w grymasie.

– Nie zwracaj na niego uwagi – powiedziała tonem znudzonego zirytowania. – On nie mówi.

Byli bliźniakami. Nigdy wcześniej nie spotkałem bliźniaków, wzbudzali we mnie fascynację i jednocześnie lekką odrazę. W tej przypadłości dostrzegałem coś niemal nieprzyzwoitego. To prawda, że byli bratem i siostrą, nie mogli więc być identyczni – na samą myśl o identycznych bliźniakach przebiegał mnie dreszcz tajemnego i zagadkowego podniecenia – ale mimo wszystko musi ich łączyć bezmiar głębokiej zażyłości. Co się wtedy czuje? To tak, jakby się miało jeden umysł i dwa ciała? Sama myśl o tym wzbudzała wstręt. Wyobraźcie sobie, że wiecie gruntownie, tak od podszewki, jak wygląda cudze ciało, jego różne organy, różne zapachy, różne potrzeby. Więc co? Co się wtedy czuje? Bardzo chciałem to wiedzieć. W prowizorycznym kinie pewnego deszczowego niedzielного popołudnia – przeskok ku przyszłości – oglądaliśmy film, w którym dwu skazańców skutych ze sobą kajdanami uciekło z więzienia, a siedząca obok mnie Chloe poruszyła się i wydała z siebie stłumiony dźwięk, jakby rozbawione czymś westchnienie.

– Patrz – wyszeptwała – to ja i Myles.

Zbiło mnie to z tropu doszczętnie, poczułem, że się czerwienię, i cieszyłem się w duchu, że jest ciemno. Przyznawała się bowiem do czegoś intymnego i wstydliwego. Ale sama myśl o nieprzystojności, jaka tkwi w związku dwojga tak bliskich sobie ludzi, kazała mi czekać na więcej, wyczekiwałem więc i zarazem nie miałem ochoty jej słuchać. Pewnego razu – tu dokonujemy nawet większego skoku w przyszłość – kiedy zdobyłem się na odwagę, żeby bez ogródek poprosić Chloe o wyjaśnienie, bo bardzo chciałem wiedzieć, jakie uczucia się z tym wiązą, z tym stanem nieuniknionej zażyłości z bratem – z jej Innym! – zamyśliła się na chwilę, a potem na wysokości twarzy złożyła dłoń, które niemal się ze sobą stykały, naprawdę jednak nie dotykały się.

– Jak dwa magnesy – powiedziała – ale odwrócone od siebie, odpychają się i przyciągają.

Powiedziała to i zapadła w mroczne milczenie, jakby tym razem to ona nieopatrznie zdradziła hańbiący sekret i odwróciła się ode mnie, i poczułem przez chwilę ten sam paniczny zawrót głowy, który mnie dopada, kiedy zbyt długo wstrzymuję powietrze pod wodą. Co jak co, ale wzbudzać niepokój to ona umiała. Chloe.

Dawała się wyczuć łącząca ich nić porozumienia. Wyobrażałem ją sobie jako tak cienką, że aż niewidzialną nić z jakiegoś lepkiego, lśniącego włókna, na przykład z nici pajęczej, albo jako wiszącą w powietrzu połyskującą smugę śluzu, jaki mógłby zostawić za sobą ślimak, przechodząc z jednego liścia na drugi, albo też jako stalową, jasną i napiętą, jak struna harfy, albo jak garota. Byli z sobą związani, związani i sprzęgnięci. Odczuwali wszystko razem, wspólnie dzielili ból, emocje i strach. Mieli wspólne myśli. Budzili się w nocy i leżeli nasłuchując, jak drugie oddycha, i wiedzieli, że śnili właśnie ten sam sen. Nie mówili sobie, co to był za sen. Nie było potrzeby. Wiedzieli.

Myles był niemy od urodzenia. A raczej, po prostu nigdy nie przemówił. Lekarze nie potrafili wskazać żadnej przyczyny tego uporczywego milczenia i przyznawali, że są wobec niego bezradni, albo nieufni, albo jedno i drugie. Z początku uważano, że Myles jest opóźniony w rozwoju i że po jakimś czasie zacznie mówić jak inni, ale lata mijają, a on nie wypowiadał ani słowa. Nikt nie wiedział, czy Myles tak naprawdę umie mówić, tylko się nie odzywa. Był milczkiem czy niemową, niemową czy milczkiem? A może ma głos, którego nigdy nie używał? Czy ćwiczył się w mowie, kiedy nikt go nie słyszał? Wyobrażałem go sobie, jak nocą leży w łóżku pod kołdrą, szepcze do siebie i rozpromienia się tym swoim gorliwym, chochlikowym uśmiechem. A może rozmawiał z Chloe. Musieli pokładać się ze śmiechu, stykając się czołami, zarzuciwszy sobie ramiona na szyję, dzieląc się tajemnicą.

– Przemówi, kiedy będzie miał coś do powiedzenia – burczał jego ojciec, z typową dla siebie przerażającą wesołością.

Było rzeczą oczywistą, że Myles jest panu Grace’owi obojętny. Ojciec unikał chłopca, kiedy tylko mógł, a zwłaszcza nie lubił zostawać z nim sam na sam. Nic w tym dziwnego, gdyż przebywanie z Mylesem można było porównać do przebywania w pokoju, z którego właśnie ktoś z hukiem wyszedł. Niemota otaczała go wszechobecną, mdłą aurą. Nic nie mówił, ale nigdy nie był cichy. Zawsze bawił się nerwowo wszystkim, co miał pod ręką, chwycił, co popadnie, po czym natychmiast odrzucał z hałasem. Z głębi gardła wydobywał suche odgłosy mlaskania. Słyszać było, jak oddycha.

W stosunku matki do niego była pewna wieloznaczność. Kiedy w zamyśleniu snuła się przez cały dzień – wprawdzie nie miała poważnych problemów z piciem, ale zawsze wyglądała na osobę na lekkim rauszu – czasami przystawała, i choć na pewno widziała syna, zdawało się, że go nie rozpoznaje, marszczyła czoło i jednocześnie uśmiechała się w smętny, bezradny sposób.

Ani ojciec, ani matka nie znali języka migowego i rozmawiali z Mylesem improwizowanymi, szorstkimi gestami, odtwarzając pantomimę, która była nie tyle porozumiewaniem się z nim, ile podszytą zniecierpliwieniem próbą przegnanego go. A on doskonale chwycił, co próbują mu zakomunikować, i to często, zanim jeszcze udawało im się powiedzieć choćby połowę tego, co chcieli, przez co stawali się coraz bardziej zniecierpliwieni i poirytowani jego osobą. W głębi duszy, jestem tego pewien, bali się go trochę. I nic w tym dziwnego. Bo było to tak, jakby żyli z nazbyt widocznym, nazbyt namacalnym duchem.

Jeśli o mnie chodzi, to muszę przyznać, choć się tego wstydzę, albo przynajmniej wstydzić się powinienem, że Myles przywodził mi na myśl mojego psa sprzed lat, niepohamowanie entuzjastycznego terriera, mojego ulubieńca, którego jednak od czasu do czasu, kiedy nie było nikogo w pobliżu, biłem okrutnie, biedny Pongo, dla tej gorącej, nabrzmiałej przyjemności, której doświadczałem, kiedy skowyczał z bólu i skręcał się błagalnie. Jakie patykowate paluszki miał Myles, jakie kruche, dziewczęce nadgarstki! Poganiał mnie, szarpiąc za rękaw, depcząc mi po piętach, albo wystawiając swoją roześmianą gębę raz po raz spod mojego ramienia, aż w końcu odwracałem się do niego i powalałem na ziemię, co nie było trudne, bo byłem już wówczas duży i silny, i przerastałem go o głowę. A kiedy leżał na ziemi, pojawiała się pytanie, co z nim zrobić, gdyż niepowstrzymany, natychmiast wstawał, podrywał się bez wysiłku na nogi jak wańka-wstańka. Kiedy siadałem mu na piersiach, czułem na udach bicie jego serca, jego napiętą klatkę, trzepot naprężonej, wklęsłej skóry pod mostkiem, a on śmiał się do mnie, ciężko dysząc, wywalając wilgotny, bezużyteczny język. Ale czyja również nie bałem się go trochę, w głębi duszy, czy gdziekolwiek ma swoje siedlisko strach?

Zgodnie z tajemniczymi protokołami dzieciństwa – czy jednak byliśmy dziećmi? Powinno być inne słowo na to, czym byliśmy – nie zaprosili mnie do domu tego pierwszego razu, kiedy spotkałem się z nimi przed Strand Café. Tak naprawdę to nie pamiętam, w jakich dokładnie okolicznościach udało mi się w końcu odwiedzić Dom pod Cedrami. Widzę, jak po naszym pierwszym spotkaniu odwracam się sfrustrowany od zielonej bramy, a bliźniaki patrzą na mnie, a potem, innego dnia, widzę siebie samego, w samym sanktuarium, jakby dzięki prawdziwie magicznej powtórcie skoku Mylesa przez bramę. Przeskoczyłem ponad przeszkodami i wylądowałem w salonie obok ukośnych, mosiężnych promieni, które wydawały się masywną bryłą, a pani Grace w luźnej, kwiecistej sukience, jasnyniebieskiej z ciemniejszym wzorem niebieskiego kwiecia, odwróciła się od stołu i uśmiechnęła do mnie, świadomie wieloznacznie, było oczywiste, że mnie nie poznaje, choć wiedziała, że powinna wiedzieć, kim jestem, co świadczy, że to nie mogła być chwila naszego pierwszego spotkania twarzą w twarz. Gdzie była wtedy Chloe? Gdzie był Myles? Dlaczego zostałem sam na sam z ich matką? Zapytała, czy mam ochotę na coś do picia, może lemoniadę.

– Albo – powiedziała tonem cichej desperacji – na jabłko...?

Potrząsnąłem głową. Jej bliskość, a nawet sam fakt, że tam była, napępiał mnie przerażeniem i tajemniczym smutkiem. Któż pozna bóle, które ranią chłapiące serce? Przekrzywiła głowę, również zdziwiona i, wiem o tym dobrze, rozbawiona milczącym napięciem, jakie mi towarzyszyło. Musiałem wyglądać jak ćma, trzepocząca skrzydłami nad płomieniem świecy, albo jak sam płomień, drgający w żarze, który go pochłania.

Co robiła przy stole? Układała kwiaty w wazonie – a może puszczałam tu wodze wyobraźni? W mojej pamięci tej chwili jest wielokolorowa plama, migotliwy obraz o zmieniającej się jasności: jej uniesione ręce. Pozwólcie, że zatrzymam się trochę przy niej, zanim pojawi się Rose, zanim powrócą Myles i Chloe, zanim, stukając kopytami, wejdzie na scenę satyr, jej lubieżny mąż; wkrótce zniknie z pulsującego centrum mojej uwagi. Jak intensywnie świeci ten promień. Skąd dobiega? Ma niemal kościelny kształt, jakby, co przecież niemożliwe, padał ukośnie przez rozetę nad naszymi głowami. A poza tłącym się światłem słonecznym jest jeszcze łagodny mrok wewnątrz letniego popołudnia, po których moja pamięć błąka się po omacku w poszukiwaniu szczegółów, trwałych przedmiotów, składników przeszłości. Pani Grace, Constance, Connie, ciągle uśmiecha się do mnie jak na nieostrym zdjęciu, i uświadamiam sobie, teraz, kiedy o tym myślę, że patrzyła na wszystko w ten sposób, jakby nie była do końca przekonana o trwałości świata i oczekiwała, że lada chwila wszystko może obrócić się, w jakimś dziwnym i komicznym stylu, w swoje przeciwieństwo.

Powiedziałbym wówczas, że jest piękna, gdyby tylko pojawił się ktoś, komu mógłbym taką rzecz powiedzieć, choć przypuszczam, że tak naprawdę piękna nie była. Była raczej krępa, dłonie miała grube i zaczerwienione, na czubku nosa był mały guzek, a dwa pasemka rzadkich, jasnych włosów, które jej palce zakładały za uszy, a które nieprzerwanie wpadały jej do oczu, były ciemniejsze niż reszta włosów i miały nieco tłusty odcień impregnowanego dębu. Jej krok był niedbały i leniwy, mięśnie pośladków drżały pod zwiewną tkaniną letniej sukni. Roztaczała zapach potu, kremu do twarzy i, z lekka, kuchennego tłuszczu. Innymi słowy, była po prostu zwyczajną kobietą, a do tego zwyczajną matką. A jednak moim oczom jawiła się w całej swojej zwykłości jako równie nieprzystępna, nieosiągalna i pożądana, co malowane bladolice piękności z jednorożcem i księżą. Ale nie, muszę być wobec siebie sprawiedliwy, choć byłem wtedy dzieckiem, dopiero początkującym romantykiem. Nie była, nawet dla mnie, postacią bladą, nie była postacią z farby. Była całkowicie rzeczywista, cielesna, niemal jadalna. Właśnie to było w niej najwspanialsze, że była jednocześnie zjawą w mojej wyobraźni i kobietą nieuniknionej cielesności, kobietą z krwi i kości, włókien, piżma i mleka. Moje sny, do tej pory mieszczące się w granicach przyzwoitości, o przyjściu jej z pomocą i miłosnych podchodach, zamieniły się teraz w rozpustne fantazje, żywe, wyraziste i jednocześnie pozbawione podstawowych szczegółów, o tym, jak mnie lubieżnie zdobywa, jak padamy na ziemię pod jej ciepłym ciężarem, jak mną obraca, jak mnie dosiada, ściska udami, gdy ja dłonie przyciskam do piersi, a twarz mi płonie, bo jestem zarazem jej demonicznym kochankiem i dzieckiem.

Zdarzało się, że jej obraz nieproszony zjawiał się nagle przed moimi oczyma, jak wewnętrzny sukub, a w przypiływie tęsknoty korzenie mojego bytu nabrzmiewały krwią. Pewnego wieczoru, w zielonkawym półmroku, po deszczu, gdy wilgotne światło wbijało się klinem w okno, a niemożliwy drozd, należący do innej pory roku, śpiewał w ociekających deszczem łubinach, leżałem w łóżku, twarzą do poduszki, tak przepełniony pożądaniem, którego nic nie mogłoby zaspokoić – wisiało w powietrzu to pożądanie jak nimbus nad wizerunkiem mojej ukochanej, obejmując ją, zamazując jej obraz – że wybuchłem szlochem, szczodrym, głośnym, poza wszelką kontrolą. Usłyszała mnie matka i weszła do sypialni, ale, co było dla niej zupełnie nietypowe, nic nie powiedziała – mogłem spodziewać się szorstkiego przesłuchania, po którym dostałbym klapsa – podniosła tylko poduszkę, którą nagle porywy mojego bólu zepchnęły z łóżka, i po krótkim wahaniu wyszła z pokoju, bezgłośnie zamykając za sobą drzwi. Czy domyślała się, dlaczego płaczę? – zastanawiałem się wówczas i zastanawiam się teraz. Czy zdołała zrozumieć, czym był mój porywająco tęskny smutek? Nie mogłem w to uwierzyć. Skąd ona, która była tylko moją matką, mogła wiedzieć cokolwiek o burzliwej namiętności, w której tak bezbronnie tkwiłem, kiedy bezlitosny płomień miłości trawił i spalał na popiół kruche skrzydła moich uczuć? Och, mamusiu, jak niewiele wiedziałem o tobie, sądząc, że ty niewiele z tego rozumiesz.

Jestem więc tam, w tej edeńskiej chwili, w miejscu, które stało się nagle środkiem świata, z kolumną światła i nieokreślonymi kwiatami – groszkiem pachnącym? wydaje mi się, że widzę groszek – i jasnowłosa pani Grace podaje mi jabłko, którego wszakże tam nie było, a scenę tę za chwilę przerwie odgłos mielących wszystko kół zębatach i okropne szarpnięcie, po którym żołądek podchodzi do gardła. Zaczynają się dziać jednocześnie najrozmaitsze rzeczy. Przez otwarte drzwi mały czarny kudłaty piesek wbiega z podwórza, przebijając szybko nogami – bo jakimś sposobem akcja przeniosła się teraz z saloniku do kuchni – pazurami gorączkowo drapie po sosnowej posadzce. W pysku niesie piłkę tenisową. W mgnieniu oka pojawia się goniący go Myles, a za nim goniąca Mylesa Rose. Chłopiec potyka się, albo udaje, że się potyka na podwiniętym dywaniku, i leci głową do przodu, lecz robi fikołka i ponownie podrywa się na nogi, wpadając niemal na matkę, która wydaje z siebie krzyk będący mieszanką zaskoczenia i znużonej irytacji – „Na litość boską, Myles!” – a piesek, którego długie uszy trzepoczą zawzięcie, zmienia kurs i pędem puszcza się pod stół, nadal trzymając w wyszczerzonych zębach piłeczkę. Rose usiłuje go złapać, ale pies robi unik. W tej chwili przez inne drzwi wchodzi do pokoju, jak sam Stary Chronos, Carlo Grace, w szortach i sandałach, z dużym, plażowym ręcznikiem na ramionach, z odsłoniętym owłosionym brzuchem. Na widok Mylesa i psa wyje w udawanej furii i groźnie tupie nogą, na co piesek upuszcza piłeczkę, a potem wraz z chłopcem wypada z pokoju równie pospiesznie, jak do niego wbiegli. Rose śmieje się wysokim końskim śmiechem, lecz rzuca wzrokiem na panią Grace i zagryza wargę. Drzwi trzaskają, gwałtownym echem rozlega się trzask innych drzwi zamykanych na piętze, gdzie łazienka, w której ktoś właśnie spuścił wodę, zaczyna bulgotać. Piłeczka, którą pies wypuścił z pyska, toczy się powoli, lśniąc od śliny, na sam środek pokoju. Pan Grace, na mój widok, na widok obcego – na pewno zapomniał ten dzień, kiedy do mnie mrugnął – reaguje z opóźnieniem, odrzucając do tyłu głowę,

wykrzywiając się i przypatrując mi się badawczo, kątem oka. Słyszę, jak Chloe schodzi z piętra, klekocząc sandałami o schody. Zanim jednak wchodzi do pokoju, pani Grace przedstawia mnie mężowi – nie jestem pewien, ale chyba pierwszy raz w życiu byłem wtedy komukolwiek formalnie przedstawiony, choć musiałem przypomnieć, jak się nazywam, bo pani Grace jeszcze nie pamiętała – a on zaczyna potrząsać moją ręką, z wyrazem udawanej powagi, zwracając się do ranie per „mój drogi panie”, przybierając cockneyowski akcent i oświadczając, że przyjaciel jego dzieci zawsze będzie mile widziany w „naszych skromnych progach”. Chloe wywraca oczyma i wzrusza ramionami.

– Zamknij się, tato – cedzi przez zaciśnięte zęby, a on, udając przerażenie, wypuszcza moją dłoń z ręki, zarzuca ręcznik na głowę jak szal i, kuląc się, wychodzi na palcach pospiesznie z pokoju, piszcząc jak nietoperz w udawanym strachu i trwodze. Pani Grace zapala papierosa. Chloe, nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi, przechodzi przez pokój do drzwi, którymi wyszedł ojciec.

– Muszę się z tobą zabrać! – krzyczy za nim. – Muszę! – Trzask drzwi samochodu, warkot silnika, żwir miażdżony pod wielkimi oponami.

– Cholera! – klnie Chloe.

Pani Grace oparła się o stół – ten, na którym stał groszek pachnący, bo siłą jakiejś magii znowu znaleźliśmy się w saloniku – pali papierosa w sposób, w jaki robiły to kobiety w tamtych czasach, rękę opiera na brzuchu, a w dłoni osadza łokieć drugiej. Podnosi brew, patrząc na mnie, uśmiecha się drwiąco, wzrusza ramionami, strzepuje okruch tytoniu z dolnej wargi. Rose pochyla się i, marszcząc nos, z wyraźną niechęcią podnosi oślinioną piłeczkę, trzymając ją między palcem wskazującym a kciukiem. Za bramą samochód dwukrotnie trąbi wesoło i słyszymy, jak odjeżdża. Pies szczeka jak opętany, domagając się, aby go wpuszczono i pozwolono mu odzyskać piłeczkę.

Nawiasem mówiąc, jeśli chodzi o psa, nigdy go już nie widziałem. Do kogo mógł należeć?

Dzisiaj – niezwykle poczucie lekkości lub, nazwijmy to, lotności. Wiatr znowu się wzmógł, dmie niemal z siłą burzy, co z pewnością jest przyczyną męczących mnie dziś zawrotów głowy. Zawsze byłem szczególnie podatny na zmiany pogody. Jako dziecko lubiłem zimowymi wieczorami zwijać się w kłębek obok radioodbiornika i słuchać prognozy pogody dla rybaków, wyobrażając sobie dzielnych wilków morskich w zydwestkach walczących z wielkimi jak domy falami w Fogger, Disher lub Jodrell Bank, czy jak się nazywają te odległe morskie rejony. Doznawałem często podobnych przeżyć jako dorosły mężczyzna, siedząc wraz z Anną w naszym eleganckim starym domu między górami a morzem, kiedy jesienna wichura jęczała w kominku, a fale przelewały się przez wał nadmorski fałdami kipiącej białej piany. Zanim w pokojach pana Todda otworzyła się nam pod nogami czeluść – w pokojach, w których, czuję to teraz wyraźnie, panował złowieszczy klimat luksusowego salonu fryzjerskiego – nie mogłem wyjść ze zdumienia, że życie obdarowuje mnie tyloma wspaniałymi darami. Gdyby zapytano to dziecko marzące przy radioodbiorniku, kim chciałoby zostać, kiedy podrośnie, jestem pewien, że odmalowałoby – choć zapewne niedoskonale – obraz przyszłości odpowiadający temu, czym się stałem. To coś niesamowitego, nawet biorąc pod uwagę moje obecne zmartwienia. Bo przecież większości ludzi życie przynosi rozczarowania, marnieją w kajdanach, pogrążeni w rozpacz.

Ciekawe, czy inni też mieli w dzieciństwie podobne wyobrażenie, jednocześnie mgliste i konkretne, kim staną się w dorosłym życiu. Nie chodzi mi o nadzieje i aspiracje, o niejasne ambicje, nic z tych rzeczy. Od samego początku moje oczekiwania były bardzo dokładne i określone. Nie marzyłem o zostaniu motorniczym czy słynnym podróżnikiem. Kiedy przedzierałem się wzrokiem przez mgłę od nazbyt rzeczywistego wówczas do radośnie wymarzonego teraz, tak właśnie chciałem zobaczyć dorosłego siebie: jako człowieka niespiesznego, o niewielkiej ambicji, który siedzi w pokoju, takim jak ten, na moim kapitańskim krześle, pochylony nad stolikiem, o tej właśnie porze, gdy rok pogodnie chyli się ku końcowi, liście czmychają spod stóp, dni w niezauważalnym tempie tracą jasność, a uliczne lampy co wieczór zapalają się o chwilę wcześniej. Tak, tak właśnie wyobrażałem sobie dorosłość: babie lato, ukojenie, stan spokojnej obojętności, kiedy nic już nie zostało z dzieciństwa i jego niemal nieznośnej, surowej bezpośredniości, a wszystko, co w dzieciństwie mogło mnie intrygować, jest już rozwiązane, wszystkie tajemnice wyjaśnione, odpowiedzi udzielone, a chwile kapią jak w kroplówce, niemal niedostrzegalnie, kropla po złotej kropli, do ostatecznego, niezauważalnego niemal uspokojenia.

Były oczywiście rzeczy, których chłopak, jakim wówczas byłem, nie chciał w swoich wizjach przewidywać, nawet gdyby potrafił. Utrata, żałoba, ponure dni i bezsenne noce – takie niespodzianki z reguły nie zapisują się na fotograficznym papierze proroczej wyobraźni.

A kiedy głębiej się nad tym zastanawiam, widzę, że przyszłość, jaką wyobrażałem sobie jako chłopiec, przybrała dziwacznie staroświecką postać. Świat, w którym teraz żyję, miał być, w moich ówczesnych rojeniach, mimo mojej przenikliwości, odmienny od tego, czym teraz jest, ale odmienny w pewien subtelny sposób: miał być, jak rozumiem, światem miękkich kapeluszy, luksusowych płaszczy firmy Crombie, dużych kanciastych samochodów ze skrzydlatymi ludzikami na przedzie masek. Skąd dowiedziałem się o takich rzeczach, że tak wyraźnie je sobie wyobrażałem? Mogę się tylko domyślać. Ponieważ nie mogłem wyobrazić sobie dokładnie, jak będzie wyglądała przyszłość – choć byłem pewien, że czeka mnie nietuzinkowa kariera – wyposażylem ją w atrybuty sukcesu, jakie dostrzegałem wśród znakomitości naszego miasteczka, lekarzy i adwokatów, prowincjonalnych przemysłowców, dla których w pokorze pracował mój ojciec, tej resztki protestanckiego ziemiaństwa, trzymającej się kurczowo swoich dworków przy zachwaszczonych bocznych drogach na zapleczu miasteczka.

Nie, to też nie to. Nie przekonuje mnie to wytłumaczenie wytwornie staroświeckiego klimatu, który przenikał moje wizje przyszłości. Dokładne obrazy, w których widziałem siebie jako dorosłego człowieka – siedzącego, powiedzmy, na tylnym siedzeniu mojego humbera, w trzyczęściowym garniturze w prążki i w filcowym kapeluszu z wywiniętym rondem, z pledem na kolanach – nasycone były, widzę to wyraźnie, tą osłabioną, zmęczoną elegancją, tą chromą pozą, którą wiązałem, albo przynajmniej dziś wiązę, z czasem sprzed mojego dzieciństwa, z tą nieodległą starożytnością, którą był, to oczywiste, tak, świat międzywojenny. Dlatego też to, co przewidywałem dla przyszłości, było faktycznie, jeśli mówimy o faktach, obrazem przeszłości, który istniał w mojej wyobraźni. Ktoś mógłby powiedzieć, że nie tyle przeczuwałem przyszłość, ile nostalgicznie za nią tęskniłem, gdyż to, co w moim mniemaniu miało dopiero nadejść, w rzeczywistości dawno już minęło. A teraz, bez powodu, wydaje mi się to w pewien sposób znaczące. Czy tak naprawdę wyczekiwałem przyszłości, a może czegoś poza przyszłością?

Prawdą jest, że nagle wszystko zaczęło biec razem: przeszłość, możliwa przyszłość i niemożliwa chwila obecna. W popielatych tygodniach dziennego przerażenia i nocnej grozy, zanim Anna uznała nieuchronność wyroku doktora Todda, jego szturchnięć i mikstur, zamieszkiwałem mroczny, podziemny świat, w którym sen mieszał się z jawą, gdyż i sen, i jawa miały jakąś dającą się przeniknąć, kosmatą strukturę, w której dryfowałem w stanie gorączkowego letargu, jak gdybym to ja, a nie Anna, miał wkrótce zamienić się w jeden z wielu cieni. Była to makabryczna odmiana ciąży urojonej, której doświadczyłem, kiedy Anna spodziewała się Claire; teraz wydawało się, że fantomowa choroba toczy nas oboje. Ze wszystkich stron osaczały mnie zwiastuny śmiertelności, prześladowały mnie koincydencje; przypominałem sobie ni stąd, ni zowąd dawno zapomniane rzeczy, znajdowałem zagubione od lat przedmioty. Sceny mojego życia przesuwaly mi się przed oczyma, nie w błysku, jak to się podobno dzieje w wypadku tych, którzy toną, ale w spokojnej konwulsji – wyrzucałem z siebie sekrety i codzienne tajemnice w przygotowaniu na chwilę, kiedy będę musiał zejść na czarną łódź na ocienionej rzece, trzymając w coraz zimniejszej dłoni zimny obol za przepawę. To wyobrażone miejsce, jakkolwiek dziwne by się wydawało, nie było całkiem dla mnie nowe. Były chwile w przeszłości, chwile niewyjaśnionego uniesienia, kiedy, siedząc w gabinecie, być może, przy biurku, zanurzony w słowach, choćby błahych, bo nawet podrzędny pisarzyna bywa natchniony, czułem, że przebijam się przez membranę zwyczajnej świadomości do innego zgoła stanu, który nie ma imienia, w którym nie obowiązują zwykle prawa, a czas porusza się inaczej, jeśli w ogóle się porusza; do stanu, w którym nie byłem ani żywym, ani tym drugim, a jednak pełniej obecnym niż kiedykolwiek w świecie, który nazywamy, bo tak musimy, rzeczywistym. A nawet wiele lat wcześniej, kiedy na przykład stałem z panią Grace w zalanym słońcem saloniku, albo siedziałem z Chloe w mroku miejscowego kina, byłem tam i jednocześnie mnie tam nie było,

byłem sobą i byłem duchem, uwięzionym w tamtym czasie, a jednak zawieszonym w powietrzu, jakby tuż przed odlotem. Być może całe życie jest zaledwie długim przygotowaniem do chwili, w której się z nim rozstajemy.

Dla chorej Anny najgorsze były noce. Należało się tego spodziewać. Tak wielu rzeczy należało się spodziewać, zwłaszcza teraz, gdy nadeszło to, co ostatecznie niespodziewane. W mroku nocy niedowierzanie, które za dnia zapierało jej dech w piersiach – *to przecież nie mogło mi się przytrafić!* – zamieniało się w otepienie, nieruchome zadziwienie. Kiedy leżała koło mnie, nie mogąc zasnąć, czułem prawie jej strach, wibrujący uporczywie w jej wnętrzu, jak prądnicą. Zdarzały się w tej ciemności chwile, kiedy wybuchała głośnym śmiechem, a był to śmiech szczególny, rodził się bowiem z odnowionego zaskoczenia losem, który tak bezlitośnie, tak haniebnie jej narzucono. Zazwyczaj jednak leżała cicho, skulona jak zagubiony wędrowiec w namiocie, pół we śnie, pół w odurzeniu, jednakowo obojętna wobec prawdopodobieństwa przeżycia i śmierci. Do tej chwili wszystkie jej doznania były tymczasowe. Smutki znajdowały ukojenie, choćby w czasie, radości zamieniały się w nawyk, a ciało potrafiło samo wyleczyć drobne przypadłości. A to teraz było czymś absolutnym i wyjątkowym, końcem samym w sobie, którego nie umiała ani pojąć, ani sobie przyswoić. Gdyby towarzyszył temu ból, mówiła, uwiarygodniałby chorobę, przypominałby, że to, co się przydarzyło, jest realniejsze niż rzeczywistość, którą znała do tej pory. Ale nie doskwierały jej bóle, jeszcze nie; miała tylko ogólne poczucie czegoś, co nazywała poruszeniem, jakieś wewnętrzne musowanie, jakby jej biedne, zdezorientowane ciało gorączkowo czegoś w sobie szukało, rozpaczliwie broniąc się przed najeźdźcą, który wtargnął już do środka tajemnym korytarzem, a jego lśniąca czarna szczypce zaczęły klekotać.

Podczas tych niekończących się październikowych nocy, kiedy leżeliśmy obok siebie w mroku, jak nasze własne przewrócone pomniki, szukaliśmy schronienia przed chwilą obecną, której nie mogliśmy znieść, w przeszłości, to znaczy, w odległej przeszłości. Wracaliśmy wspomnieniami do naszych pierwszych wspólnych dni, przywołując je, poprawiając, pomagając sobie nawzajem, jak dwoje staruszków drepcących pod rękę po murach obronnych miasteczka, w którym kiedyś, dawno, dawno temu, żyli.

Przypominaliśmy sobie zwłaszcza zasnuty dymem i mgłami Londyn pewnego lata, kiedyśmy się poznali i pobrali. Pierwszy raz zobaczyłem Annę na przyjęciu w czyimś mieszkaniu pewnego dusznego i gorącego popołudnia, kiedy otwarto szeroko wszystkie okna, powietrze było niebieskie od wpadających z ulicy spalin, a dźwięki klaksonu przejeżdżających autobusów rozlegały się niespójnie jak syreny mgłowe w zgiełku i półmroku zatłoczonych pokojów. Uwagę moją przykuły najpierw jej rozmiary. Nie powiem, żeby była szczególnie duża, ale skalą nie przypominała żadnej innej znanej mi dotychczas kobiety. Szerokie ramiona, długie ręce, duże stopy, imponująca głowa z falą gęstych, ciemnych włosów. Stała między mną a oknem, w cienkiej bawełnianej sukience i sandałach, rozmawiała z jakąś kobietą w ten sobie właściwy sposób, skupiona i nieprzystępna zarazem, sennie nawijając loczek na palec, przez chwilę moje oko nie potrafiło ustawić odpowiedniej głębi ostrości, wydawało się bowiem, że z nich dwu, Anna, o tyle większa, musi stać bliżej, mnie niż jej rozmówczyni.

Ach, te przyjęcia, ile ich się wtedy odbywało. Kiedy wracam myślą do tamtych czasów, widzę nas oboje: pojawiajemy się, zatrzymujemy na chwilę na progu, ja trzymam rękę na dolnej partii jej pleców, dotykam przez kruchy jedwab chłodnej, głębokiej szczeliny, w nozdrzach mam jej dziki zapach, a na policzku czuję ciepło jej włosów. Jak wspaniale musieliśmy wyglądać, wchodząc razem, wyżsi od pozostałych, ze wzrokiem utkwionym nad głowami gości, jakby w jakimś dalekim pięknym krajobrazie, który tylko my mieliśmy przywilej oglądać.

W owym czasie chciała zostać fotografem, robiła wczesnym rankiem nastrojowe zdjęcia, w ciemnych barwach i w srebrnej poświacie, co bardziej ponurych zakamarków miasta. Chciała pracować, czymś się zająć, kimś być. Przywoływał ją East End, wołały do niej Trick Lane, Spitalfields i inne takie miejsca. Nie traktowałem tego poważnie. Być może powinienem. Mieszkała z ojcem na ponurym zapleczu Sloane Square, wynajmowali mieszkanie w budynku koloru wątroby. Było olbrzymie, z amfiladą przestronnych, wysokich pokoi i przesuwanych pionowo okien, które zdawały się odwracać swój szklisty wzrok od zwyczajnie ludzkiego widowiska rozgrywającego się pomiędzy nimi. Jej ojciec, stary Charlie Weiss – „Nie denerwuj się, to nie jest żydowskie nazwisko” – od razu mnie polubił. Byłem wysoki, młody, nieokrzesany, dlatego bawiła go moja obecność w tych złożonych pokojach. Był wesołym człowieczkiem o drobnych, delikatnych dłoniach i równie drobnych stopach. Jego ubiór zadziwiał mnie: niezliczone garnitury z Savile Row, koszule z Charvet z kremowych, ciemnozielonych i akwamarynowych jedwabi, dziesiątki par szytych ręcznie miniaturowych butów. Głowa, którą prowadził co drugi dzień do salonu Trumpera na strzyżenie – bo, jak mówił, włosy to futro, a czegoś takiego żadna istota ludzka nie może tolerować – była kształtu doskonałego, lśniącego jaja; nosił duże, ciężkie okulary, modne wśród ówczesnych magnatów finansowych, miały zauszniki i soczewki wielkości spodków, za którymi jego bystre oczka śmigwały niczym wścibskie egzotyczne rybki. Nie potrafił usiedzieć w miejscu, zrywał się nagle, siadał i znowu zrywał na nogi, przypominając, pod tym wysokim sufitem, mały lśniący kasztan grzechoczący w zbyt obszernej łupinie. Podczas mojej pierwszej wizyty oprowadził mnie po mieszkaniu, pokazując obrazy, wszystkie, jak wierzył – starych mistrzów, wielki telewizor schowany w dębowej szafce, butelkę Dom Perignon i kosz nieskazitelnych, niejadalnych owoców, które właśnie tego dnia przysłał mu wspólnik w interesach – Charlie nie miał przyjaciół, partnerów, klientów, tylko wspólników.

Gęste jak miód światło lata spływało z wysokich okien i lśniło na wzorzystych dywanach. Anna siedziała na kanapie z podpartą na rękę głową i podwiniętą nogą, i przyglądała się beznamyślnie, kiedy ja usiłowałem nadążyć za jej absurdalnym, malutkim tatulkim. W przeciwieństwie do większości ludzi niskiego wzrostu nie czuł się w żaden sposób skrępowany obecnością naszą, czyli wysokich osobników, wydawało się wręcz, że moje cielsko dodaje mu otuchy i przyciskał się do mnie, niemal miłośniczo; chwilami, kiedy pokazywał cudowne owoce swojego sukcesu, wydawało mi się, że może lada chwila wskoczyć w kołyskę moich ramion. Kiedy wspomniał o swoim biznesie po raz trzeci, zapytałem, jaki to biznes, a on zwrócił się do mnie z wyrazem nieskazitelnej szczerości, aż błysnęły bliźniacze kuliste akwaria ze złotymi rybkami.

– Ciężka maszyna – powiedział, tłumiąc w sobie śmiech.

Charlie przyglądał się spektaklowi, jakim było jego życie, z zachwytem i pewnym zadziwieniem, że tyle mu się upiekło. Był kanciarzem, może niebezpiecznym i na wskroś, niefrasobliwie niemoralnym. Anna darzyła go czułym, choć smutnym szacunkiem. Jak temu człowieczkowi udało się spłodzić tak potężną córkę, pozostanie tajemnicą. Choć młoda, grała rolę tolerancyjnej matki, a on rozkapryszonego i zwycięskiego dużego dziecka. Jej matka zmarła, kiedy Anna miała dwanaście lat, i od tego czasu ojciec i córka stawali wobec wyzwań świata jak para dziewiętnastowiecznych awanturników, hazardzista – oszust z parowca i jego młoda współniczka. W mieszkaniu co dwa, trzy tygodnie odbywały się hałaśliwe przyjęcia, podczas których szampan łał się strumieniami jak bulgocząca i z lekka zjełczała rzeka. Pewnego wieczoru pod koniec lata wracaliśmy z parku – lubiłem spacerować z nią po zmroku w szarawym cieniu pod drzewami, które odzywały się już szelestem płaczkliwym, suchym i papierowym, zwiastującym nadejście jesieni – i jeszcze zanim skręciliśmy w naszą ulicę, usłyszeliśmy dochodzące z mieszkania dźwięki pijackiej zabawy. Anna położyła mi rękę na ramieniu i przystanęliśmy. W wieczornym powietrzu było coś, co zapowiadało mroczną obietnicę. Odwróciła się do mnie, palcem wskazującym i kciukiem schwyła mnie za guzik marynarki, pokręciła nim jak pokręteł w seffie, po czym swoim tradycyjnie łagodnym głosem, w tradycyjnie łagodnym zamyśleniu, poprosiła mnie o rękę.

Przez całe to upalne, pełne wyczekiwania lato wydawało mi się, że oddycham tylko najmniejszą, górną partią płuc, jak nurek próbujący utrzymać równowagę na najwyższej trampolinie ponad malutkim kwadratem błękitu migocącym niewyobrażalnie daleko w dole. Naraz Anna krzyknęła do mnie pełnym głosem: „Skacz, skacz!” Dziś, kiedy tylko niższe warstwy społeczne i resztki ziemiaństwa zadają sobie trud zawierania związków małżeńskich, a pozostali dobierają sobie partnerów, jakby życie było tańcem albo spólką, trudno ocenić, o jaki zawrót głowy mógł przyprawić wówczas taki skok w obietnicę małżeństwa. Dałem nura w szemrany świat Anny i jej ojca, jakby w głąb innej rzeczywistości, jakiejś rzeczywistości fantastycznej, w której nie obowiązują znane mi prawa, gdzie wszystko skrzy się, migocze, i nic nie jest rzeczywiste, albo też jest rzeczywiste, ale wygląda jak podróbka, jak platera z doskonałymi owocami w mieszkaniu Charliego. Teraz zaproszono mnie, żebym na stałe zamieszkał w tych podniecająco obcych głębinach. W szarą wieczorną godzinę tego lata na rogu Sloane Street Anna zaproponowała mi nie tyle małżeństwo, ile możliwość realizacji wyobrażeń, jakie miałem na temat własnej osoby.

Wesele odbyło się pod pasiastą markizą na tyłach posesji w ogrodzie, który okazał się nieoczekiwanie przestronny. Był to jeden z ostatnich upalnych dni owego lata, powietrze, jak porysowane szkło, oszalało od błysków słońca. Przez całe popołudnie długie, lśniące limuzyny podjeżdżały pod dom i zostawiały kolejnych gości: damy w szerokich kapeluszach podobne do czapli, uszmkowane na biało dziewczęta w białych botkach, krzykliwych mężczyzn w prążkowanych garniturach, delikatnych młodzieńców, którzy robili znudzone miny i palili trawkę, a także inne, nieokreślone typy ludzkie, współników Charlesa, przylizanych, czujnych, posepnych, w błyszczących garniturach, w koszulach z kołnierzykami innego koloru i w półbutach z ostrym czubem, przetykanych po bokach nicią elastyczną. Charlie skakał koło nich, jego sina łepetyna błyskała w słońcu, a duma parowała z niego jak pot. Pod wieczór pojawiła się wśród nas niczym stado gołębi czereda mężczyzn o ciepłych oczach, powolnych ruchach, nieśmiałych i pulchnych, w turbanach i nieskazitelnie białych dżelabach. Jeszcze później przysadzista matrona w kapeluszu spiła się i legła jak długa, aż musiał ją wynieść jej szerokoszczęki szofer. Kiedy w koronach drzew zgęstniało już światło, a cień sąsiedniego budynku nachylił się nad ogrodem jak wieko zapadni i ostatnie pijane pary w błazeńsko białych strojach snuły się na prowizorycznym drewnianym parkiecie w ostatnim tańcu, złożywszy głowy na ramionach partnerów, zamknąwszy oczy i trzepocząc powiekami, stanęliśmy z Anną na skraju tego rumowiska i zobaczyliśmy czarną gromadę szpaków przelatujących nisko nad markizą, a trzepot ich skrzydeł zabrzmiał niczym nagła seria braw, przesadnych i sarkastycznych.

Jej włosy. Znowu dopadła mnie myśl o jej włosach, długich, ciemnych, lśniących lokach spadających jej na czoło, kiedy zamaszystym ruchem odsuwała je na bok. Nawet kiedy była już w średnim wieku, nie miała ani śladu siwizny. Pewnego dnia, w drodze do domu ze szpitala, zgarnęła włosy z ramienia, podniosła do oczu i, marszcząc czoło, dokładnie przyjrzała się każdemu kosmykowi.

– Czy kobyły rzeczywiście są łyse? – zapytała.

– Nie – powiedziałem z rozważą. – Łysina to biała plama na czole. A czemu pytasz?

– Podobno będę jak łysa kobyła za miesiąc czy dwa.

– Kto tak powiedział?

– Pewna kobieta w szpitalu, która poddała się zabiegom, jakie mnie czekają. Była prawie łysa, więc chyba wie, co mówi – przez chwilę patrzyła na domy i sklepy, przesuwane się za szybą samochodu ukradkiem i obojętnie, jak mają to w zwyczaju, po czym znów zwróciła się do mnie.

– Więc ta łysina to biała plama?

– Inaczej strzałka.

– Aha – zachichotała. – Będę wypisz, wymaluj jak Charlie, kiedy mi wypadną.

Była.

Zmarł ten nasz stary Charlie, zabił go zakrzep w mózgu kilka miesięcy po naszym ślubie. Anna odziedziczyła całą jego fortunę. Nie było tego tak dużo, jak się spodziewałem, choć mimo wszystko – sporo.

Dziwną rzeczą, jedną z wielu dziwnych rzeczy, w historii mojej namiętności do pani Grace, jest to, że wygasła w tej samej chwili, w której dokonała się, powiedzmy, jej apoteoza. A zdarzyło się to owego popołudnia, kiedy pojechaliliśmy na piknik. Chodziliśmy wtedy prawie wszędzie razem, Chloe, Myles i ja. Rozpierała mnie duma, że pokazuję się w ich towarzystwie, w pobliżu tych bóstw, bo oczywiście uważałem, że są bogami, tak bardzo się bowiem różnili od ludzi, których dotychczas znałem. Moi dawni koledzy z Niwy, gdy już przestałem się z nimi bawić, czuli do mnie urazę, że ich opuściłem. „Cały czas spędza z tymi nowymi przyjaciółmi z wyższych sfer”, usłyszałem, jak matka mówi matce jednego z nich. „A wie pani, ten ich chłopak to niemowa”, dodała cicho. Mnie zaś zadała pytanie, dlaczego nie poprosiłem Grace’ów, żeby mnie zaadoptowali. „Nie będę stawiała przeszkód”, powiedziała. „Będę cię miała z głowy”. Przeszyła mnie ostrym i nieruchomym spojrzeniem, którym często obdarzała mnie po odejściu ojca, jakby chciała powiedzieć: „A ty pewnie będziesz następnym w kolejce, który mnie zdradzi”. I tak się chyba stało.

Moi rodzice nie spotkali się, ani nie chcieli się spotkać, z państwem Grace. Ludzie z porządných domów nie spoufalali się z ludźmi z domków letniskowych, a my nie powinniśmy spoufalać się z nimi. Nie piliśmy dżinu, nie gościliśmy znajomych podczas weekendów, nie zostawialiśmy turystycznych map Francji na widoku, jakby nigdy nic, pod tylną szybą samochodu – zresztą niewielu mieszkańców Niwy miało samochody. Społeczna struktura naszego wakacyjnego świata była nienaruszalna, wspiąć się na jej szczyt było tak trudno, jak wejść na ziggurat. Kilka rodzin właścicieli domków zajmowało miejsce na samej górze, potem byli ci, których stać było na pobyt w hotelu – Hotel Plaża cieszył się większą renomą niż Golf – następnie szli najemcy domków, a wreszcie my. Ludzie, którzy mieszkali tu przez cały rok, nie liczyli się w tej hierarchii; mieszkańcy wioski, tacy jak Duignan mleczarz, albo głuchy Colfer, który zbierał piłki do gry w golfa, albo dwie protestantki, stare panny z Błuszczowego Domku, albo Francuzka, która opiekowała się kortami tenisowymi i regularnie, jak wieść niesie, kopulowała ze swoim wilczurem, wszyscy oni należeli do odrębnej klasy, tworząc zaledwie tło dla naszych coraz intensywniejszych, skąpanych w słońcu poczynań. To, że udało mi się wspiąć z samego dołu tej wysokiej drabiny społecznej na poziom Grace'ów, wydawało mi się, podobnie jak moja sekretna miłość do Connie Grace, oznaką wyjątkowości; wierzyłem, że jestem szczęśliwym wybrańcem spośród wielu, którzy nie dostąpili tego szczytu. Bogowie mnie jednego obdarzyli łaską.

Piknik. Tego popołudnia pojechaliśmy niezwykłym samochodem pana Grace'a w dalekie rejony Przekopu, gdzie kończyła się brukowana droga. Struna zmysłowości, napięta do granic, odezwała się we mnie, kiedy tylko poczułem skórzane obicie siedzenia przylegające do moich ud, poniżej spodenek. Pani Grace siedziała z przodu, obok męża, na pół do niego zwrócona, ramię położyła na oparciu, odsłaniając moim oczom pachę, podniecająco szczeciniastą, tak że od czasu do czasu, kiedy dolatywał do mnie podmuch wiatru z otwartego okna, czułem zapach jej wilgotnego od potu ciała przypominający cybet. Ubrana była w strój, który nawet w owych powściągliwszych czasach nazywał się, z plastyczną szczerością, bluzką bez ramiączek, a był niczym więcej jak tylko białą wełnianą rurą, obcisłą, podkreślającą zaokrąglenia ciężkiego spodu jej biustu. Miała okulary przeciwsłoneczne w białych oprawkach, jakie nosiły gwiazdy filmowe, i paliła opasłego papierosa. Przenikał mnie dreszcz podniecenia, kiedy zaciągała się głęboko i otwierała na chwilę lekko skrzywione usta, a gęsty zawijas dymu zawisał nieruchomo pomiędzy lśniącoymi jak wosk jasnoczerwonymi wargami. Paznokcie też umalowane miała na jasny, krwisty kolor. Siedziałem tuż za nią na tylnym siedzeniu, a Chloe usiadła pośrodku, między Mylesem a mną. Swoim gorącym, kościstym udem napierała niby od niechcenia na moją nogę. Brat i siostra oddawali się jednej ze swoich niezliczonych prywatnych, bezsłownych gier, szamotali się i skręcali, podszczyrywali długimi jak kleszcze palcami, kopali się wzajemnie w ograniczonej przestrzeni między siedzeniami. Nigdy nie mogłem zrozumieć reguł tej gry, jeśli w ogóle były jakieś reguły, choć wyłaniał się z niej zawsze zwycięzca, najczęściej Chloe. Przypominam sobie, odczuwając nawet dziś delikatny poryw litości dla biednego Mylesa, kiedy po raz pierwszy widziałem, jak bawią się w ten sposób, albo raczej biją. Popołudnie było deszczowe, siedzieliśmy jak w pułapce w Domu pod Cedrami. Jakie dzikie impulsy potrafił wywołać w nas, dzieciach, deszczowy dzień! Bliźniaki siedziały po turecku na podłodze w saloniku, zwrócone twarzą

do siebie, stykając się kolanami i wpatrując się sobie w oczy, palce miały splecione; kołysały się i prężyły, pochłonięte grą jak para walczących ze sobą samurajów, aż wreszcie coś się wydarzyło, nie wiedziałem, co, ale był to z pewnością ruch rozstrzygający i Myles natychmiast musiał się poddać. Wyrываяc palce z jej stalowych kleszczy, objął się – był wielkim obłapiaczem zranionego lub obrażonego ja – i zaczął płakać z powodu przegranej, z wściekłością, wydając z siebie wysoki, zduszony skowyt: dolna warga zaciśnięta na górnej, oczy szczelnie zamknięte, tryskające wielkimi, bezkształtnymi łzami, efekt w sumie nazbyt dramatyczny, aby zadziałać przekonująco. Zwycięska Chloe spojrzała na mnie przez ramię wzrokiem triumfalnie kocim, na jej twarzy malowała się nieprzyjemna zaciekłość, a górny kiel błyskał w otwartych ustach. Teraz w samochodzie znowu wygrała, wykręciwszy nadgarstek Mylesa tak mocno, że chłopak zaczął kwiczeć.

– Przestańcie już, jedno z drugim – powiedziała ich matka ze znużeniem, niemal wcale na nich nie spoglądając.

Chloe, która nadal uśmiechała się szeroko w poczuciu zwycięstwa, tym mocniej przyciskała udem moją nogę, gdy tymczasem Myles robił grymasy, wydymając usta na kształt litery O, tym razem wstrzymując łzy, ale ledwo, ledwo, i rozcierał zaczerwieniony nadgarstek.

W miejscu, gdzie kończy się droga, pan Grace zatrzymał samochód, z bagażnika wyjął kosz z sandwiczami, kubkami i butelkami wina, po czym ruszyliśmy szeroką piaszczystą ścieżką oznaczoną stojącym tu od niepamiętnych czasów płotem z zardzewiałego, na pół zanurzonego w roślinności drutu kolczastego. Nigdy nie lubiłem, a nawet bałem się nieco, tej dzikiej połąci bagien i mokradeł, gdzie wszystko zdawało się odwracać od ładu, patrzyło w dal, ku horyzontowi, jakby w cichej nadziei na znak nadciągającego ratunku. Bagno mieniło się niebiesko, jak świeży siniak, kołysały się pałki sitowia, a zapomniane boje, przywiązane do gnijących, pokrytych szlamem drewnianych pali, unosiły się na wodzie. Wysoka fala nie przekraczała tu nigdy kilku cali, woda pędziła po mieliźnie szybko i lśniła jak rtęć, przed niczym się nie zatrzymując. Pan Grace truchtał z przodu, ścisnął kurczowo pod pachami składane krzeselka, a zabawny kapelusz jak odwrócone wiadro zsunął mu się na ucho. Za zakrętem zobaczyliśmy po drugiej stronie cieśniny przygarbione miasteczko, które przykucnęło na wzgórzu, podobne do zabawki – lawendowy zestaw płaszczyzn i kątów zwieńczony wieżą. Sprawiając wrażenie, że wie, dokąd się udaje, pan Grace zszedł ze ścieżki na łąkę porośniętą wysokimi paprociami. Poszliśmy za nim, pani Grace, Chloe, Myles i ja. Paprocie sięgały mi do głowy. Pan Grace czekał na nas na skarpie na skraju łąki, pod parasolowatą sosną. Niezauważona, przydegnięta łodyga paproci wyźłobiła bruzdę nad moją nagą kostką.

Na trawiastej polance między niską, pokrytą trawą skarpą a ścianą paproci rozłożone było białe płótno. Pani Grace uklęknęła, w kąciku jej ust tkwił papieros, przymknęła przed dymem jedno oko, i rozkładała rzeczy na piknik, gdy tymczasem jej mąż, którego kapelusz zsuwał się coraz bardziej na bok, walczył ze stawiającym opór korkiem w butelce wina. Myles buszował wśród paproci. Chloe siedziała w kucki jak żaba i jadła kanapkę z jajkiem. Rose – no właśnie, gdzie jest Rose? Jest tam, w czerwonej koszuli, baletkach i w obcisłych czarnych getrach baletnicy z paskami, które przechodzą pod podeszwami stóp, a włosy, związane z tyłu jej kształtnej głowy, ma czarne jak skrzydło kruka. Ale skąd ona się tu wzięła? Nie było jej z nami w samochodzie. Rower, no tak, widzę rower porzucony w pośpiechu wśród paproci, kierownica skręcona w bok, a przednie koło sterczy pod niewyobrażalnym kątem, dziś można powiedzieć: chytra prefiguracja tego, co miało nastąpić. Pan Grace zaklinał między kolanami butelkę wina i ciągnął korkociąg, aż poczerwieniały mu płatki uszu. Za mną Rose przysiadła przy rogu obrusa, policzek oparła na ramieniu, nogi ułożyła ukośnie w pozie, która mogła wyglądać na nienaturalną, ale nie wyglądała. Słyszałem, jak Myles biega po polu paproci. Nagle korek wystrzelił z butelki z komicznym paf!, które przestraszyło nas wszystkich.

Zjedliśmy przygotowane na piknik jedzenie. Myles udawał, że jest dziką bestią, nadbiegał do nas z paproci, porywał kęski jedzenia i uciekał znowu, sadząc susami, hucząc i rżąc. Państwo Grace'owie wypili już wino, toteż pan Grace zaczął otwierać nową butelkę, tym razem bez większych trudności. Rose powiedziała, że nie jest głodna, ale pani Grace odparła, że mówi od rzeczy i kazała jej jeść, a pan Grace, uśmiechając się dwuznacznie, podał jej banana. Popołudnie było wietrzne pod niebem, którego jeszcze nie pokryły chmury. Krzywa sosna szumiała nad naszymi głowami, w powietrzu unosił się zapach sosnowych igieł, trawy i połamanych paproci, oraz posmak morskiej soli. Rose była w złym humorze, pewnie z powodu upomnienia, jakiego udzieliła jej pani Grace i tego lubieżnego banana, którego podał jej pan Grace. Chloe pochłonięta była wydłubywaniem skórki z okolicy rubinowej rany tuż pod łokciem, w miejscu, gdzie poprzedniego dnia zadrapał ją cierń. Obejrzałem ranę po paproci na mojej kostce, gniewny różowy rowek między półprzezroczystymi poszarpanymi krawędziami białawej skóry; rana nie krwawiła, ale głęboko w rowku lśnił wyraźnie wysięk ropny. Pan Grace siedział zapadnięty w składanym krześle, nogę założywszy na nogę, palił papierosa, kapelusz ściągnął nisko na czoło, ocieniając oczy.

Poczułem, jak jakaś miękka drobina uderza mnie w policzek. Chloe przestała skubać swój strup i rzuciła we mnie kulką z chleba. Spojrzałem na nią, a ona odpowiedziała mi beznamiętnym spojrzeniem i rzuciła kolejną kulką. Tym razem nie trafiła. Podniosłem kulkę z trawy i odrzuciłem ją, ale mnie też nie udało się trafić. Pani Grace przyglądała się nam leniwie, leżąc na boku, naprzeciwko mnie w płytkim wgłębieniu zielonej skarpy, podpierając ręką głowę. Postawiła na trawie kieliszek z winem, który wspierał się ukosem na jednej z jej zwisających piersi – zastanawiałem się, zresztą nie pierwszy raz, czy ich ciężar, ciężar dwóch dużych bulw mlecznego mięsa, nie sprawiał jej bólu – polizała koniuszek palca, przejechała nim po brzegu kieliszka, próbując dobyć z niego dźwięk, ale się nie udało. Chloe włożyła do ust kawałek chlebowego miąższu, zmoczyła go śliną, wyjęła, ugniotła palcami z niespiesznym namysłem, leniwie wycelowała i cisnęła nim we mnie, ale pocisk padł za blisko.

– Chloe! – blado upomniała ją matka.

Chloe zlekceważyła te słowa i posłała mi swój koci, triumfujący uśmiech. Ta moja Chloe była małą okrutnicą. Chcąc zapewnić jej codzienną rozrywkę, łapałem świerszcze, urywałem im tylne kończyny, żeby zdobycz nie uciekła, wkładałem drgające tułowia do cynowej puszki, oblewałem parafiną i podpalałem. Z jaką uwagą, siedząc w kucki, dłonie przyciskając do kolan, przyglądała się nieszczęsnym istotom, kiedy gotowały się i smażyły we własnym tłuszczu.

Zrobiła kolejną kulkę z chleba i śliny.

– Chloe, jesteś obrzydliwa – powiedziała pani Grace z westchnieniem, a Chloe, którą natychmiast dopadła nuda, wypluła to, co miała w ustach, strzepnęła okruchy z kolan, wstała i nadąsana odeszła, chowając się w cieniu sosny.

Czy Connie Grace uchwyciła moje spojrzenie? Czy to był uśmiech współniczki? Westchnęła ciężko i odwróciła się na plecy, kładąc głowę na trawie, podginając jedną nogę, tak że mogłem powędrować wzrokiem pod jej spódniczkę, wzdłuż wewnętrznej strony uda, wysoko, aż do wgłębienia jej łona, po zaokrąglony wzgórek osłonięty napiętą, białą bawełną. Natychmiast wszystko zwolniło obroty. Jej kieliszek przewrócił się w omdleniu, a ostatnia kropla wina spłynęła na krawędź, zawisała tam na chwilę, błysnęła i spadła. Przyglądałem się i przyglądałem, czoło zrosił mi pot, dłonie zwilgotniały. Wydawało się, że spod swojego kapelusza pan Grace uśmiecha się do mnie z wyższością, ale nie obchodziło mnie to: niech się uśmiecha, ile chce. Jego wielka żona, z każdą chwilą większa, skrócona o głowę olbrzymka, u której potężnych stóp kuliłem się z poczuciem, nazwijmy to, lęku, zachichotała i uniosła wyżej kolano, odsłaniając przy tym księżycowy półokrąg na tylnej, mięsistej stronie nogi, gdzie zaczynały się jej pośladki. Rytm, który dudnił mi w skroniach, przyćmił światło dnia. Czułem pulsujące kłucie w zadraśniętej kostce. A teraz z dalekich paproci dobiegł cienki, przejmujący dźwięk, archaiczny gwizd, który przeszył połyskliwe powietrze, a Chloe, stojąc pod drzewem, spojrzała spode łba, jakby usłyszała rozkaz, pochyliła się, wyrwała źdźbło trawy i, ściskając je między kciukami, dmuchnęła w odpowiedzi w konchę swoich stulonych dłoni.

Po beczasowej minucie lub dwu, kiedy czas się zatrzymał, moja Maja leżąca złączyła nogi, przewróciła się znowu na bok i zaskakująco nagle zasnęła – jej delikatne chrapanie przypominało cichy dźwięk silniczka, który po kilkakroć próbuje zaskoczyć – a ja się wyprostowałem, ostrożnie, jakby coś, co tkwiło we mnie w delikatnej równowadze, mogło rozpaść się przy najdrobniejszym ruchu. Miałem cierpkie poczucie, że uchodzi ze mnie powietrze. Podniecenie sprzed chwili znikło, w piersi poczułem niewyraźny ucisk, pot oblepiał mi powieki i górną wargę, a wilgotna skóra pod paskiem spodenek świerbiła i piekła. Czułem się zagubiony i dziwnie urażony, jak gdyby to moje, a nie jej prywatne terytorium padło ofiarą najazdu i gwałtu. Byłem świadkiem objawienia się bogini, nie miałem co do tego żadnych wątpliwości, ale ta chwila minęła niepokojąco szybko. Pod moim żarłocznym wzrokiem pani Grace przeistoczyła się z kobiety w demona, a następnie stała się znowu zwykłą kobietą. Była Connie Grace, żoną swojego męża, matką swoich dzieci, chwilę później zaś obiektem bezradnej czci, pozbawionym twarzy idolem, starożytnym i pierwotnym, przywołanym mocą mojego pożądania, i nagle coś się w niej skończyło, a ja poczułem atak wstrętu i wstydu, nie dlatego, że przywłaszczyłem sobie coś, co do niej należy, ale – choć nie jest to do końca jasne – z powodu tej kobiety; nie było mi wstyd za to, co uczyniła, ale za to, kim jest, kiedy z chrapliwym jękiem przewróciła się na bok i zasnęła, już nie jako demoniczna kusicielka, ale po prostu jako ona sama, śmiertelna kobieta.

A jednak, mimo zakłopotania, jakie we mnie wywołuje, przed oczyma nadal mam jej śmiertelną, a nie boską postać, która lśni choćby nawet i zmatowiałym blaskiem, pośród cieni tego, co minęło. W mojej pamięci jest swoim własnym wcieleniem. Która z nich jest realniejsza, kobieta, która rozłożyła się na trawiastej skarpie moich wspomnień, czy też ta powłoka kurzu i suchy szpik, jedyne jej ślady, które przechowała ziemia? Na pewno gdzieś trwa dla innych, ruchoma figura w gabinecie figur woskowych, jakim jest pamięć, ale ich obraz jest inny niż ten, który ja noszę w myślach, a wszystkie różnią się między sobą. W ten sposób człowiek rozgałęzia się i rozszczepia w umysłach innych ludzi. Nie trwa, nie może trwać, bo to nie jest nieśmiertelność. Nosimy w sobie postacie zmarłych do chwili, aż sami nie umrzemy, a wtedy to nas noszą przez krótką chwilę, a potem ci, co nas nosili, odchodzą, i tak dalej, aż po najdalsze, wymykające się wyobraźni pokolenia. Ja pamiętam Annę, nasza córka Claire będzie pamiętać i Annę, i mnie, potem Claire odejdzie, a pozostaną ci, którzy będą pamiętać ją, a nie nas, i to będzie naszym ostatecznym zanikiem. To prawda, coś po nas zostanie. Jakaś blaknąca fotografia, pukiel włosów, kilka odcisków palców, szczypta atomów w powietrzu w jakimś pomieszczeniu, w którym zacerpnęliśmy ostatni oddech, ale nic z tego nie będzie należało do nas, nie będzie nami, nie będzie tym, czym jesteśmy i byliśmy – zostaną prochy umarłych.

Byłem bardzo religijnym chłopcem. Nie pobożnym, ale nałogowo religijnym. Bóg, któremu oddawałem cześć, to Jahwe, niszczyciel światów, a nie delikatny Jezus, cichy i łagodny. W moim rozumieniu Bóg był groźny, budził we mnie strach oraz nieodłączne od niego poczucie winy. W młodości byłem istnym wirtuozem winy, zresztą do dziś nim jestem. W czasach przed moją pierwszą komunią, albo, co ważniejsze, pierwszą spowiedzią, która ją poprzedziła, codziennie przychodził do klasztornej szkoły ksiądz i wprowadzał nas, grupę początkujących pokutników, w tajniki doktryny chrześcijańskiej. Był szczupłym, bladym fanatykiem, w kącikach ust lśniła mu niezmiennie biała pianka śliny. Ze szczególną jasnością wspominam porwijącą rozprawę, którą wygłosił przed nami pewnego pięknego majowego poranka na temat grzechu patrzenia. Tak, patrzenia. Uczono nas o różnych kategoriach grzechu, o grzechach uczynku i grzechach zaniechania, o grzechach śmiertelnych i powszednich, siedmiu grzechach głównych i tych przerażających, o których było wiadomo, że rozgrzeszyć z nich może jedynie biskup, ale tu pojawiła się nowa kategoria: grzech bierny. Czy nam się wydaje, pytał nas szyderczo ojciec Ślinousty, krocząc porywczo od drzwi do okna, od okna do drzwi, jego sutanna szeleściła przy tym, a gwiazda światła lśniła na jego wąskim, łysiejącym czole jak odbłask boskiego wyziewu, czy nam się wydaje, że grzech musi wiązać się z działaniem? Nasze spojrzenie pożądliwe, zawistne lub nienawistne, samo w sobie jest już pożądaniem, zawiścią i nienawiścią; życzenie, po którym nie następuje uczynek, jak sam uczynek plami naszą duszę. Czyż bowiem sam Pan, perorował Ślinousty, podniecając się tematem, czyż Pan nasz nie nauczał, że mąż, który spogląda na niewiastę wzrokiem cudzołożnym, już popełnił grzech cudzołóstwa? W tym momencie klecha już całkiem o nas zapomniał, a my siedzieliśmy jak stadko myszy i wpatrywaliśmy się w niego z nabożnym niezrozumieniem. Choć sprawy te były dla mnie, jak i dla wszystkich w klasie nowością – czym jest cudzołóstwo, grzechem, który

popępniać mogą tylko sypiający w cudzych łózkach dorośli? – rozumiałem je całkiem nieźle, na swój sposób, i cieszyłem się, że to słyszę, gdyż nawet jako siedmiolatek byłem już starym wyjadaczem, a może powinienem powiedzieć, starym oglądaczem: podglądałem rzeczy, których nie powinienem być świadkiem, poznałem mroczną przyjemność obejmowania rzeczy zmysłem wzroku i jeszcze bardziej mroczny wstyd, jaki był jej następstwem. Kiedy więc napatrzyłem się już do syta, a napatrzyłem się niezgorzej i niezgorzej się nasyciłem, wodząc wzrokiem wzdłuż srebrnej linii uda pani Grace aż do kroku jej majteczek, po tę fałdkę na górnym odcinku jej pulchnej nogi pod pośladkiem, nic dziwnego, że natychmiast rozejrzałem się wokół ze strachu, że ktoś może podpatrywać mnie, podpatrywacza. Myles, który wynurzył się z paproci, łakomie przyglądał się Rose, a Chloe, wciąż w swoim świecie pod sosną, była nieobecna, ale pan Grace, właśnie, czy nie obserwował mnie, przez cały czas, spod krawędzi kapelusza? Siedział, jakby się w sobie zapadł, podbródkiem dotykał piersi, a jego futrzany brzuch wylewał się z rozpiętej koszuli, naga kostka spoczywała na nagim kolanie, tak że mogłem przesunąć wzrokiem również po wnętrzu jego nogi, aż do wielkiego krągłego nabrzmienia w spodenkach koloru khaki, ściśniętego tak mocno między grubymi udami, jakby miało lada chwila eksplodować. Przez całe to długie popołudnie, kiedy sosna rozścielała na trawie w jego kierunku fioletowy, pogłębiający się stopniowo cień, prawie wcale nie wstawał ze składanego krzeselka, z wyjątkiem chwili, kiedy dolewał żonie wina albo brał coś do jedzenia – widzę go, jak zgniata połówkę kanapki z szynką między ściśniętymi palcami a kciukiem, i powstała w ten sposób miazgę ładuje, na raz, w czerwony otwór w swojej brodzie.

Dla nas, w tych czasach naszego dzieciństwa, wszyscy dorośli byli nieprzewidywalni, a nawet lekko zwariowani, ale Carlo Grace wymagał wyjątkowej czujności. Miał skłonność do pozorowanych ataków i nieoczekiwanych skoków. Siedząc w fotelu, całkowicie pograżony, wydawałoby się, w lekturze gazety, wysuwał szybko rękę jak atakujący wąż w kierunku przechodzącej Chloe, łapał ją za ucho lub za kosmyk włosów, i skręcał z całą mocą, boleśnie, bez słowa, bez przerywania lektury, jakby ramię i dłoń działały samowolnie. Przerywał często w pół zdania i zamierał nieruchomy jak pomnik, z ręką zawieszoną w powietrzu, z pustym wzrokiem wlepionym w nicość za czymś nerwowo podrygującym ramieniem, jakby słuchał jakiegoś przerażającego alarmu albo dalekiego zgwieńku, który tylko on mógł dosłyszeć; a potem niespodziewanie chwycił kogoś za gardło i śmiał się, sycząc przez zęby. Zatrzymywał na przykład listonosza, wiejskiego przygłupa, rozpoczynał z nim poważną rozmowę na temat pogody albo wyniku meczu piłkarskiego, kiwając głową, marszcząc brew lub skubiąc brodę, jakby słowa, które słyszy, były najczystszyimi perłami mądrości, a kiedy biedny oszukany człowieczyna odchodził, pogwizdując dumnie, pan Grace odwracał się do nas, uśmiechał szeroko, unosił brwi i zaciskał wargi, potrząsając głową w bezgłośnej radości. Choć całą moją uwagę absorbowali inni członkowie rodziny, dziś nie mam wątpliwości: moje przekonanie, iż obcuje z bogami, wzięło początek z obserwacji Carla Grace'a. Mimo oschłego sposobu bycia i rozbawionej obojętności wydawał się panować nad nami wszystkimi, był śmiejącym się bóstwem, Posejdonem naszego lata, na którego skinienie nasz światek układał się grzecznie w akty i fragmenty.

Ale dzień swobody i potajemnych zachęt jeszcze się nie zakończył. Kiedy pani Grace, rozłożona na trawiastej skarpie, cicho pochrapywała, na resztę zstąpiło odrętwienie, uwięziła ich w tej zadrzewionej dolince niewidzialna sieć ospałości, która spada na grupę, kiedy jeden z jej członków oddziela się i zapada w sen. Myles leżał na brzuchu na trawie obok mnie, ale, zwrócony w przeciwnym kierunku, nadal przyglądał się Rose, która siedziała za mną przy rogu obrusa, jak zawsze nieświadoma łakomego wzroku chłopca. Chloe stała wciąż w cieniu sosny, trzymając w rękę jakiś przedmiot, głowę miała uniesioną, spoglądając z uwagą w górę, być może na ptaka, albo po prostu na kratownicę gałęzi na tle nieba i białe obłoczki znad morza, które rozpoczęły ślimaczą podróż w głąb łądu. Była bardzo zamyślona, a jednak wyrazista, z tą sosnową szyszką – chyba tak? – w dłoniach, z tym nabożnym spojrzeniem utkwionym w przesyconych słońcem konarach. Niespodziewanie stała się ośrodkiem tej sceny, punktem, w którym wszystko się zbiega; niespodziewanie to dla niej powstały te wzorce i cienie, wyrysowane z czujną skrupulatnością: ten biały obrus na lśniącej trawie, pochyłe niebieskozielone drzewo, pierzaste paprocie, a nawet chmurki udające bezruch, zawieszane wysoko na bezgranicznym, morskim niebie. Spojrzałem na śpiącą panią Grace, spojrzałem prawie z pogardą. W jednej chwili zamieniła się w wielki, archaiczny martwy kadłub, zrzucony z piedestału pomnik bogini, której już nie czci plemię, wyrzucony na kupę gnoju, cel dla wiejskich chłopaków uzbrojonych w proce, łuki i strzały.

Raptownie, jakby zbudzona zimnym dotykiem mojej pogardy, usiadła i rozejrzała się dokoła, mrugając zamglonymi oczyma. Zerknęła do kieliszka i wydawała się zdumiona, że jest pusty. Kropla wina, która spadła na jej białą bluzkę, zostawiła różową plamę; próbowała zmasać ją czubkiem palca, cmokając z niezadowolenia. Potem znowu obejrzała się na nas, odchrząknęła i zaproponowała, byśmy zabawili się w ganianego. Wszyscy się jej przyglądaliśmy szeroko otwartymi oczyma, nawet pan Grace.

– Ja tam nikogo nie będę goniła – powiedziała Chloe ze swojego miejsca w cieniu drzewa i zaśmiała się, prychnąwszy z niedowierzaniem, a kiedy matka powiedziała jej, że musi i że zawsze psuje zabawę innym, podeszła do ojca i stanęła przy jego krześle, oparła mu łokieć na ramieniu, zmrużyła oczy i patrzyła na matkę, a pan Grace, stary, uśmiechnięty kozi bóg, objął jej biodra ramieniem i przytulił ją do swojej owłosionej piersi. Pani Grace zwróciła się do mnie.

– Ale ty będziesz się ze mną bawił, prawda? – zapytała. – I Rose.

Dziś widzę tę zabawę w serii wyraźnych żywych obrazów, pochwycone ruchy, pośpieszne i barwne: Rose od pasa w górę biegnie przez paprocie w czerwonej koszuli, głowę ma wysoko uniesioną, a za nią płyną krucze włosy; Myles, ze śladem soku paproci na czole niczym w barwach wojennych, próbuje wyrwać się z moich objęć, kiedy wbijam szpony głębiej w jego ciało i czuję, jak kłęb jego kości ramiennej zgrzyta w panewce; kolejny obraz Rose w biegu, tym razem na twardym piasku za polaną, gdzie próbuje dogonić ją zanosząca się dzikim śmiechem pani Grace, dwie bosc menady w tymczasowej ramce, jaką tworzy pień z konarami sosny, poza nimi srebrzysty blask zatoki, a nad nimi niebo, głęboki, niezmienny, matowy błękit aż po horyzont. W kolejnym obrazie widzę panią Grace na polanie wśród paproci, przyklękłą jak sprinter gotowy do startu; kiedy ją zaskoczyłem, zamiast uciekać, zgodnie z regułami gry, szybkim ruchem ręki daje mi znak i każe przykucnąć obok siebie, obejmuje mnie, przyciska mocno do siebie, a ja czuję, jak delikatnie ugina się krągłość jej piersi, i słyszę bicie jej serca, i wdycham jej mleczno-octowy zapach.

– Ćśś – szepce i przykładła palec do warg. Nie swoich, moich.

Drży, a przez jej ciało przebiegają drobne fale tłumionego śmiechu. Nigdy, od czasu gdy w dzieciństwie przytulała mnie matka, nie byłem tak blisko dojrzałej kobiety, ale zamiast pożądania czuję tylko kwaśny strach. Rose odnajduje nas, jak siedzimy przykucnięci, i patrzy gniewnie. Pani Grace chwytą rękę dziewczyny i choć wydaje się, że chciałaby się podciągnąć i wstać, przyciąga Rose do siebie, przewraca ją na nas, a potem – prawdziwy młyn ramion, i nóg i rozpuszczonych włosów Rose, po którym wszyscy troje, podpierając się na łokciach, ciężko dysząc, leżymy, stykając się palcami u stóp, tworząc gwiazdę na pogniecionych paprociach. Zrywam się na nogi, gdy dopada mnie niespodziewany lęk, że pani Grace, która nagle stała się moją byłą oblubienicą, znowu lubieżnie odsłoni się przede mną, lecz ona przykładą dłoń do czoła, ocieniając oczy, patrzy na mnie z niemożliwym do przeniknięcia, twardym, nieciepłym uśmiechem. Rose także się zrywa, strzepuje koszulę i mamrocze gniewnie coś, czego nie rozumiem, po czym odchodzi w paprocie. Pani Grace wzrusza ramionami.

– Zazdrosna – mówi i prosi, żebym przyniósł jej papierosy, bo nagle zachciało jej się palić.

Kiedy wróciliśmy na trawiastą skarpe, pod sosnę, nie było tam ani Chloe, ani jej ojca. Resztki pikniku, rozrzucone na białym obrusie, kazały się domyślać jakiegoś przemyślanego gestu, jakby je ktoś świadomie poukładał, zostawił nam do rozszyfrowania wiadomość w tajemnym języku.

– To miłe – powiedziała kwaśno pani Grace – sprzątanie pozostawili nam.

Z paproci wyłonił się Myles, przykląkł, zerwał źdźbło trawy, umiejscowił zielony stroik między kciukami, zagrał na nim i czekał, nieruchomy, w skupieniu, jak gipsowy faun, gdy słońce polewało jego słomiane włosy światłem, a po chwili z daleka nadeszła odpowiedź Chloe, czysty, wysoki gwizd, który przebił się jak igła przez dobiegający schyłku dzień owego lata.

Wracając do tematu obserwowania i bycia obserwowanym, muszę wspomnieć o dzisiejszym ranku, kiedy przyglądałem się sobie w lustrze w łazience, długo i bez radości. Ostatnio nie mizdrzę się do swojego odbicia dłużej niż to konieczne. Był taki czas, kiedy całkiem podobało mi się to, co widziałem w lustrze, ale to już przeszłość. Dzisiaj jestem zaskoczony, bardziej niż zaskoczony, tym obliczem, które pojawia się tam raptownie, a jest to oblicze zawsze i całkowicie odmienne od tego, którego się spodziewam. Zastąpiła mnie jakaś karykatura mojej osoby, ta smętnie rozmamłana postać w masce Halloween z obwisłej, różowoszarej gumy, dalekie echo mojego wyglądu, który uporczywie przechowuję w pamięci. Jest jeszcze kłopot, jaki sprawiają mi lustra. To znaczy, mam dużo kłopotów z lustrami, ale w większości są to problemy natury metafizycznej, tymczasem ten, o którym tu mówię, ma wymiar czysto praktyczny. Z powodu mojego nadmiernego i absurdałnego wzrostu, lustra zazwyczaj umieszczone są jak dla mnie za nisko, przy goleniu muszę więc się pochylać, żeby objąć wzrokiem całą twarz. Ostatnimi czasy, kiedy patrzę na siebie, jak wpatruję się w lustro, pochylony w ten właśnie sposób, z tym wyrazem otępiełego zaskoczenia na twarzy i jakiegoś nieokreślonego, powolnego strachu, który teraz nieustannie mi towarzyszy, kiedy usta są półotwarte, a brwi wyginają się w łuk, w wyraz znużonego zadziwienia, czuję, że przedstawiam sobą obraz wisielca.

Kiedy tu przyjechałem, myślałem o zapuszczeniu brody, bardziej z inercji niż z jakiegokolwiek innego powodu, ale po trzech lub czterech dniach zauważyłem, że mój zarost ma szczególny ciemnordzawy kolor – teraz wiem, po kim Claire jest ruda – w niczym nie przypominający włosów na mojej głowie, i oszroniony srebrnymi plamkami. Ta rudawa szczecina, szorstka jak papier ścierny, w połączeniu z niebudzącym zaufania, przekrwionym spojrzeniem, zamieniła mnie w komikсового skazańca, naprawdę poważnego zbira, który jeśli jeszcze nie wisi, to z pewnością gnije w celi śmierci. Moje skronie, na których przerzedziły się siwiejące włosy, upstrzone są czekoladowymi piegami, przywodzącymi na myśl Avril, lub plamami wątrobowymi, bo tak się chyba nazywają, z których każda, jak jestem tego aż nazbyt świadomy, może lada chwila zacząć szaleć na życzenie jakiejś złośliwej komórki. Widzę też, że mój rumień rozprzestrzenia się w zawrotnym tempie. Skóra na moim czole naznaczona jest na całej powierzchni zmianami rumieniowymi, a na nozdrzach pojawiła się wściekła wysypka, nawet na policzkach wykwita mi szpetny czerwony rumieniec. Czczony i mocno już sfatygowany *Słownik medyczny Blacka*, autorstwa szacownego i nigdy nie mylącego się doktora nauk medycznych Williama A.R. Thomsona, Adam & Charles Black, Londyn, wydanie trzydzieste, z 441 ilustracjami czarno-białymi, lub szaro-szarszymi, i czterema kolorowymi tablicami, na których widok zawsze włosy stają mi dęba – powiadamia mnie, że *rosacea*, piękna nazwa nieprzyjemnej przypadłości, powstaje wskutek *chronicznego przekrwienia zarumienionych obszarów twarzy i czoła, doprowadzającego do powstania czerwonych guzów*, powstały w ten sposób rumień, nazwa, jaką my, ludzie z branży medycznej, nadajemy zaczerwienieniu skóry, ma tendencję do zwiększania się i zmniejszania, ale w końcu utrwała się i może, jak ostrzega nieprzemilczający niczego doktor, *towarzyszyć mu znaczące powiększenie gruczołów łojowych (zob. SKÓRA), co w efekcie doprowadza do znaczącego powiększenia nozdrzy znanego pod nazwą*

rhinophyma (zob. *GUZOWATOŚĆ NOSA*) albo jako *grogowa narośl*. To powtórzenie – *znaczące powiększenie (...) znaczącego powiększenia* – to nietypowa niezręczność w zazwyczaj miłym dla ucha, choć nieco trącącym myszką stylu doktora Thomsona. Zastanawiam się, czy składał wizyty domowe. Z pewnością miałyby dobry kontakt z chorym, byłby też źródłem informacji na przeróżne tematy, niekoniecznie związane ze zdrowiem. Ludzie medycyny są bardziej wszechstronni niż się zazwyczaj przypuszcza. Roget, autor słynnego tezaurusa, był lekarzem, prowadził ważne badania dotyczące suchot i gazu rozweselającego, a na dodatek na pewno udawało mu się uzdrowić tego lub owego pacjenta. Ale *grogowe narośla*, cóż, to przyjemna perspektywa na przyszłość.

Kiedy tak przyglądam się swojej twarzy, na myśl przychodzą mi, co oczywiste, późne studia Bonnarda, powstałe w końcowych miesiącach wojny po śmierci żony, na których przedstawiał swoje odbicia w lustrze w łazience w Le Bosquet – krytycy piszą o tych autoportretach, że są bezlitosne, ale nie wiem, co litość ma z tym wspólnego. Moje lustrzane odbicie przypomina mi przede wszystkim, jak sobie teraz to uzmysławiam, autoportret van Gogha, nie ten słynny z bandażem, fajką i niekształtnym kapeluszem, ale z wcześniejszej serii, wykonanej w Paryżu w 1887 roku, na którym widnieje z gołą głową, w wysokim kołnierzu i w krawacie błękitnym jak niebo Prowansji, a uszy ma nienaruszone, wygląda, jakby dopiero co wyszedł z karceru, czoło ma spadziste, skronie wklęsnięte, policzki zapadnięte jakby z głodu, patrzy bykiem spod ramy obrazu, z rezerwą, z gniewnym przecuciem jakiegoś nieszczęścia, oczekując najgorszego, zresztą słusznie.

Tego dnia rano najmocniej uderzył mnie stan moich oczu: białka poszatkowane siecią drobnych jasnoczerwonych żyłek, wilgotne dolne powieki zaczerwienione i odstające nieco od gałki. Zauważyłem, że prawie nie mam już rzęs, choć w młodości miałem jedwabny fryz, którego pozazdrościć mi mogła niejedna dziewczyna. W kąciku górnej powieki zagnieździł się niewielki guzek tuż przy spojeniu, który byłby prawie piękny, gdyby nie permanentna żółć na czubku, jakby ślad infekcji. A ten pączek w samym kącie oka, co on tam robi? Żaden szczególnie ludzkiego oblicza nie zniesie dłuższej obserwacji. Moje pokryte rumieniem blade policzki, które są, przyznaję, niestety, zapadnięte, jak u biednego Vincenta, stały się wyrazistsze i bardziej chorobliwe pod wpływem światła odbitego od białych ścian i emaliowanej umywalki. Ten blask nie był poświatą północnej jesieni, przypominał raczej twarde, nieustępliwie suche światło dalekiego południa. Błyskał na tafli przed moimi oczyma i wsiąkał w farbę ścian, nadając im spękaną, kruchą fakturę, jaką mają ości mątwy. Światło, skupione w plamce na krawędzi umywalki, wyciekało jak niewyobrażalnie daleka mgławica. Kiedy stałem w tej białej, wypełnionej światłem skrzyni, czułem, że przenoszę się na chwilę na inne dalekie wybrzeże, prawdziwe lub wyobrażone, nie wiem, choć szczegóły były zadziwiająco, jak to we śnie, wyraźne, siedziałem w słońcu na twardej fałdzie ilastego piasku, trzymałem w dłoni wielki, płaski i gładki niebieski kamień. Kamień był suchy i ciepły, przycisnąłem go chyba do ust, zdawało mi się, że ma słony smak morskich odmętów i przestrzeni, dalekich wysp, zapomnianych miejsc pod chyłącymi się liśćmi, kruchych rybich szkieletów, wodorostów i gnicia. Drobne fale przede mną na brzegu morza mówią ożywionym głosem, szepczą coś w podnieceniu o jakiejś starożytnej katastrofie, o splądrowaniu Troi, być może, albo o zatopieniu Atlantydy. Wszystko przelewa się, słonawe i lśniące. Wodne paciorki spadają srebrnym sznurem z krawędzi wiosła. W oddali widzę czarny statek, przybliżający

się niedostrzegalnie z każdą chwilą. Jestem tam. Słyszę pieśń waszej syreny. Jestem tam, już prawie jestem.

II

Mogło się wydawać, że my, Chloe, Myles i ja, spędzamy całe dnie w morzu. Pływaliśmy w słońcu i w deszczu; pływaliśmy nad ranem, kiedy morze było niemrawe jak gęsta zupa, pływaliśmy po zmroku, kiedy woda spływała nam z ramion jak fale czarnego ałtasu; pewnego popołudnia przeczekaliśmy w wodzie burzę z piorunami, a rozwidlona błyskawica uderzyła w morską taflę tak blisko nas, że usłyszeliśmy jej trzask i poczuliśmy swąd spalonego powietrza. Nie byłem dobrym pływakiem. Bliźniaki chodziły na lekcje pływania od najmłodszych lat i pruły przez fale bez wysiłku, jak dwie pary lśniących nożyc. Braki w technice i elegancji nadrabiałem wytrzymałością. Umiałem pokonywać długie dystanse bez odpoczynku, i często pokonywałem, jeśli miałem widownię; kiedy płynąłem kraulem, tak długo młóciłem ramionami i nogami, aż doprowadzałem do granicy wytrzymałości nie tylko siebie, ale i obserwatorów cierpliwie stojących na brzegu.

To właśnie podczas jednego z tych żalonych galowych pokazów uświadomiłem sobie po raz pierwszy, że zmienia się stosunek Chloe do mnie, a może powinienem powiedzieć inaczej: zrozumiałem, że Chloe miała do mnie jakiś stosunek i że zachodziła w nim zmiana. Był późny wieczór, przepłynąłem odległość jakichś stu lub dwustu jardów, między dwoma pokrytymi zielonym szlamem falochronami z betonu, które wiele lat wcześniej wybudowano w płońskiej nadziei, że powstrzymają pełzającą erozję nadbrzeża. Wyszedłem z wody i zobaczyłem, że Chloe na mnie czeka: stała na brzegu przez cały czas, kiedy pływałem. Skulona i owinięta ręcznikiem, trzęsła się w spazmach, a wargi miała lawendowe.

– Słuchaj, nie musisz się tak popisywać – rzuciła rozdrażniona.

Zanim zdążyłem jej odpowiedzieć – a co takiego mógłbym jej odpowiedzieć, skoro miała rację, bo przecież się popisywałem – z wydmy wznoszącej się za naszymi plecami skoczył Myles i obsypał nas piaskiem. Natychmiast przed moimi oczyma ukazał się obraz, doskonale czysty i dziwnie poruszający, obraz Chloe, którą widziałem po raz pierwszy owego dnia, kiedy skoczyła z krawędzi innej wydmy wprost do mojego życia. Teraz podała mi ręcznik. Poza naszą trójką nikogo na plaży nie było. Zamglone szare powietrze wieczoru pachniało jak wilgotny jesień. Widzę dobrze tę scenę: odwracamy się i odchodzimy w kierunku przejścia przez wydmy prowadzącego do Station Road. Rąbek ręcznika Chloe ciągnie się za nią po piasku. Idę obok, ręcznik zarzuciłem na ramię, mam przyglądzone, mokre włosy – rzymski senator w miniaturze. Myles biegnie przed nami. Ale kim jest ta postać, która sunie po plaży w półmroku, wzdłuż ciemniejącego morza, wyginającego grzbiet niczym dzikie zwierzę, gdy noc nadciąga raptownie znad zamglonego horyzontu? Co to za widmowe wcielenie mojej osoby, które przygląda się nam – przygląda się im – tej trójce dzieci, zanikających stopniowo w popielatym powietrzu i ginących w przejściu między wydmami, prowadzącym prosto do wylotu Station Road?

Nie opisałem jeszcze Chloe. Jeśli chodzi o wygląd, nie było w tym wieku między nami, to znaczy między nią a mną, wielkiej różnicy – myślę o rzeczach wymiernych.

Nawet jej włosy, prawie białe, o barwie lśniącej pszenicy, choć ciemniały pod wpływem wilgoci, nie były dłuższe od moich. Nosiła je obcięte na pazia, z grzywką zakrywającą jej piękne, wysokie, kopulaste i dziwacznie wypukłe czoło – podobne, teraz to widzę, bardzo podobne do czoła tej widmowej, ukazanej z profilu postaci na skraju *Stołu w pokoju jadalnym* Bonnard – mam na myśli obraz z misą owoców, książką i oknem, które wygląda jak widziane z tyłu płótno na sztalugach; wszystko staje się dla mnie czymś innym, ta prawidłowość wyraźnie się nasila. Jeden ze starszych chłopców z Niwy zapewnił mnie pewnego dnia, z uśmiechem, że grzywka, jaką nosi Chloe, to pewny znak, że dziewczynka zabawia się sama ze sobą. Nie wiedziałem, co miał na myśli, ale byłem pewien, że Chloe nie zabawia się ani ze sobą, ani z kimkolwiek. Nie dla niej palant, ani zabawa w polowanie, którymi umiiałem sobie czas z chłopakami z Niwy. A kiedy jej powiedziałem, że w domkach letniskowych niektóre dziewczynki w jej wieku nadal bawią się lalkami, zareagowała szyderczym uśmiechem, rozdzymając nozdrza. Większość rówieśniczek miała w głębokiej pogardzie. Nie, Chloe nie zabawiała się, chyba że z Mylesem, a to, co robili we dwoje, nie było właściwie zabawą.

Chłopak, który skomentował jej grzywkę – widzę go teraz, jakby stał tu przede mną, Joe jakiś tam, zwalisty, grubo ciosany typ, z odstającymi uszami i obrzydliwą fryzurą – powiedział też, że Chloe ma zielone zęby. Wściekłem się, ale miał rację; szkliwo jej siekaczy miało rzeczywiście ledwo widoczne, zielonkawe zabarwienie – przekonałem się sam, kiedy przy najbliższej okazji dobrze im się przyjrzałem – ale była to zieleń zduszona, szarawa, jak wilgotne światło pod drzewami w czasie deszczu, albo zmatowiały jabłkowy odcień spodniej strony liści, które odbijają się w stojącej wodzie. Jabłka... tak, jej oddech też miał jabłkowy zapach.

Byliśmy jak zwierzątka, co siebie nawzajem obwąchują. Podobał mi się zwłaszcza, gdy miałem sposobność delektowania się nim, serowy zapach ukryty w szczelinach jej łokci i kolan. Nie była, muszę przyznać, dziewczynką szczególnie dbającą o higienę i zazwyczaj wydzieliała, z intensywnością rosnącą wraz z upływem dnia, mdłąwą, płową woń, podobną do zapachu, który unosi się, który się unosił, w sklepie nad pustymi puszkami po biszkoptach – czy nadal można kupić na sztuki te biszkopty z dużych, kwadratowych puszek? Jej ręce. Jej oczy. Jej obgryzione paznokcie. Wszystko to pamiętam, pamiętam bardzo wyraźnie, a jednak nie da się tego połączyć, nie mogę zebrać tego w całość. Choćbym nie wiem jak próbował, choćbym nie wiem jak udawał, nie umiem jej sobie przedstawić tak, jak przedstawiam sobie, powiedzmy, jej matkę, albo Mylesa, a nawet Joego z Niwy, tego z odstającymi uszami. Nie umiem jej, jednym słowem, zobaczyć. Migocze przed oczyma mojej pamięci, gdzieś w oddali, w jednym niezmiennym punkcie, zawsze nieostra, odsuwa się ode mnie w dokładnie tym samym tempie, w jakim ja się przysuwam. Ale skoro obiekt, ku któremu się przysuwam, zaczął się raptownie kurczyć, dlaczego nie potrafię go dogonić? Nawet teraz zdarza się, że widuję ją na ulicy, to znaczy, widzę kogoś, kto mógłby nią być, jakąś postać z tym samym kopulastym czołem i jasnymi włosami, idącą tym samym zdecydowanym, a jednak dziwnie chwiejnym krokiem, ale zawsze jest zbyt młoda, o całe lata zbyt młoda. Ta właśnie tajemnica zbijała mnie z tropu wtedy i zbija do tej pory. Jak to możliwe, że w jednej chwili jest ze mną, a za chwilę już jej nie ma? Jak to możliwe, że jest gdzie indziej, całkowicie, bezwarunkowo gdzie indziej? Tego właśnie nie rozumiałem, z tym nie mogłem się pogodzić, nie mogę się pogodzić do dzisiaj. Kiedy znalazła się już poza moim światem, powinna była stać się czystym tworem mojej wyobraźni, moim wspomnieniem, snem, wszystko jednak wskazuje na to, że nawet kiedy jest daleko, pozostaje trwale, uporczywie i niezrozumiale sobą. A przecież ludzie odchodzą, znikają. To jest większa tajemnica –

największa. Ja też mógłbym odejść, ach, tak, bezzwłocznie, natychmiast, mógłbym odejść i byłoby tak, jakby mnie nie było, jedyny szkopuł w tym, że długotrwały nawyk życia snem zasnąć wiecznym mi nie pozwala, jak ujął to doktor Browne.

– Pacjent – powiedziała mi pewnego dnia Anna, już blisko końca – to dziwne słowo. „Cierpliwy”. A ja wcale nie jestem cierpliwa.

Nie pamiętam, kiedy dokładnie przenieśliśmy swoje afekty – te staroświeckie sformułowania nie przestają mnie fascynować! – z matki na córkę. Mogę wspomnieć, oczywiście, o tej chwili szczególnego wglądu i intensywności, której doświadczyłem na pikniku, kiedy Chloe stała pod sosną, ale nazwałbym ją chwilą krystalizacji raczej estetycznej niż miłosnej czy erotycznej. Nie, nie przypominam sobie żadnego ważnego momentu, w którym doszłoby do rozpoznania uczucia czy jego potwierdzenia, nie było żadnej chwili, w której Chloe nieśmiało wsunęłyby dłoń w moją – nie uściskaliśmy się namiętnie, nie wyjąkaliśmy sobie wzajem słów o wiecznej miłości. Prawdę mówiąc, musiały być jakieś chwile tego rodzaju, musiał być ten pierwszy raz, kiedy wzięliśmy się za ręce, objęli, wyznali sobie miłość, ale te pierwsze przypadki gubią się w fałdach coraz bardziej ulotnej przeszłości. Owego wieczoru, kiedy szcękając zębami wyszedłem z morza i zobaczyłem, jak czeka na mnie ze zsiniałymi wargami na pograżonej w półmroku plaży, nie odezwały się we mnie te bezdźwięczne detonacje, które podobno miłość uruchamia nawet w rzekomo niewrażliwych piersiach chłopięcia. Zobaczyłem, jak bardzo zmarzła, i zrozumiałem, że długo czekała, zauważyłem także tę szorstką czułość, z jaką przeciągnęła rącznikiem po moich kruchych, pokrytych gęsią skórką żebrach i zarzuciła mi go na ramię, ale zobaczyłem, zrozumiałem i zauważyłem to wszystko z niewielką zaledwie satysfakcją, jakby jakiś ciepły oddech owiał płomyk, który tlił się we mnie, gdzieś w okolicy serca, i podsycił go, zamieniając na krótko w gwałtowny płomień. A jednak cały czas dokonywała się, w całkowitej tajemnicy, jakaś transmutacja, by nie powiedzieć: transsubstancjacja.

Przypominam sobie pocałunek, jeden z wielu, o których już zapomniałem. Czy to był nasz pierwszy raz, nie wiem. Tak wiele wtedy znaczyły pocałunki, mogły wprowadzić w ruch cały ten kram, płomienie i fajerwerki, fontanny i tryskające gejzery, wszystko. Pocałunek, o którym myślę, miał miejsce – nie, został подарowany – nie, został skonsumowany, bo to właściwe słowo – w kinie z blachy falistej, powstającym ukradkiem, w tym właśnie celu, z wielu chytrych aluzji, które rozsiałem po stronicach tej książki. Była to budowla przypominająca stodołę, wzniesiona na porośniętej krzewami ziemi jałowej między Cliff Road a plażą. Miała pochyły, stromy dach, pozbawiona była okien, do środka prowadziły drzwi zasłonięte długą zasłoną ze skóry, jak sądzę, albo z podobnie sztywnego, ciężkiego materiału, żeby światło nie padało na ekran, kiedy wkradają się do sali widzowie spóźnieni na seanse przedpołudniowe, albo wieczorami, kiedy słońce śle zza kortów ostatnie oślepiające promienie. Zamiast foteli ustawiono drewniane ławy – nazywaliśmy je kozetkami – za ekran służyła wielka kwadratowa płachta lnu, którą zabłąkany podmuch mógł leniwie rozkołysać, wzmacniając tym samym falowanie przyodzianych w jedwabie bioder jakiejś heroiny albo wprowadzając w absurdałne drżenie dłoni ze spluwą nieustraszonego bandyty. Właścicielem kina był niejaki pan Reckett, albo Rickett, drobny mężczyzna w sweterku z Fair Isle, któremu pomagali w pracy dwaj przystojni nastoletni synowie”; wydawało mi się, że wstydzą się trochę tego rodzinnego interesu, przypominającego fotoplastykon i kabaret. Mieli tylko jeden projektor, wyjątkowo głośne urządzenie, które co rusz się przegrzewało – jestem przekonany, że pewnego razu widziałem wydobywający się z jego wnętrza dym – film pełnometrażowy wymagał więc co najmniej dwukrotnej wymiany szpul. Podczas tych przerw pan R., który był także operatorem, nie zapalał świateł, a tym samym pozwalał – świadomie, jestem tego pewien, bo kino pana Recketta lub Ricketta cieszyło się kusząco podejrzaną sławą – licznym parom na sali, nawet nieletnim,

oddawać się choćby przez minutę czy dwie potajemnym erotycznym
pieszczotom w czarnym jak sadza mroku.

Tego popołudnia, tej deszczowej soboty, kiedy wydarzył się pamiętny pocałunek, który zamierzam opisać, Chloe i ja siedzieliśmy na środku ławy w jednym z pierwszych rzędów, tak blisko ekranu, że jego górna część niemal wisiała nad nami i nawet najłagodniejsze z czarno-białych widm przemykających przez ekran majaczyły nad naszymi głowami z szaleńczą intensywnością. Tak długo trzymałem Chloe za rękę, że przestałem ją czuć – nawet pierwotne zespolenie nie mogłoby połączyć dwu ciał tak gruntownie, jak działo się to podczas pierwszych prób trzymania się za ręce – a kiedy projektor zaterkotał i obraz znikł, jej palce zdrząły jak rybki i ja też zdrząłem. Ponad nami ekran tlił się pulsującym, szarym, półmrocznym blaskiem, który trwał przez dłuższą chwilę, po czym wygasł, ale zdawał się pozostawać na ekranie, częściowo przynajmniej, jak widmo widma. W ciemności rozległy się zwykłe pohukiwania, gwizdy i tupot stóp. Jak na komendę, skryci pod baldachimem tego hałasu, Chloe i ja jednocześnie odwróciliśmy głowy i nabożnie, jak pielgrzymi u świętego źródła, nachyliliśmy twarze ku sobie, aż spotkały się nasze usta. Nic nie było widać, co tylko potęgowało nasze doznania. Czułem, jakbyśmy unosili się w powietrzu, bez wysiłku, powoli niczym we śnie, poprzez gęstą, sypką ciemność. Otaczający nas zgiełk wydawał się teraz nieskończenie odległy, zwykła pogłoska o dalekiej wrzawie. Usta Chloe były chłodne i suche. Poczulem smak jej przyspieszonego oddechu. Kiedy w końcu z dziwnym, cichym, przypominającym gwizd westchnieniem odsunęła twarz, po plecach przeszły mi ciarki, jakby coś gorącego roztopiło mi się nagle w kręgosłupie i spłynęło w dół. Potem pan Rickett albo Reckett – a może Rockett? – przywrócił projektor do charkotliwego życia, tłum uspokoił się i ucichł. Ekran rozbłysnął bielą, film zaczął ponownie terkotać, a na sekundę przed włączeniem się ścieżki dźwiękowej usłyszałem, że ulewa, której krople bębniły o żelazny dach nad naszymi głowami, nagle ustała.

W dzieciństwie szczęście wyglądało inaczej. W tamtych czasach było kwestią gromadzenia, zbierania rzeczy – nowych doświadczeń, nowych uczuć – i przyklejania ich niczym lśniących kamyczków mozaiki do elewacji budynku, który pewnego dnia będzie cudownie ukończonym pawilonem jaźni. Jeszcze niedowierzanie – ono też miało swój udział, i to niemały, w ówczesnym szczęściu – ta euforyczna nieumiejętność pełnej wiary w to, jak niewiarygodnie wszystko się układa. Bo oto ja, niespodziewanie, z dziewczyną w ramionach, w przenośni przynajmniej, robię rzeczy, które robią dorośli, trzymam ją za rękę, całuję w mroku, a po zakończeniu seansu stoję przy drzwiach, odchrząkuję z powagą i kurtuazją, i przepuszczam ją pod ciężką kurtyną, prosto w splukane deszczem światło letniego wieczoru.

Byłem sobą, a jednocześnie kimś innym, kimś całkowicie innym, całkowicie nowym. Kiedy siedłem za nią, we wlekącym się tłumie, w kierunku Strand Café, przytknąłem czubek palca do warg, do tych ust, które ją całowały, niemal wierząc, że zmieniły się w jakiś subtelny, ale doniosły sposób. Oczekiwałem, że wszystko się odmieni, tak jak ten dzień, który dla nas zaczął się ponuro – deszczem, zawieszając na niebie brzuchate chmurzyska, kiedy wybieraliśmy się do kina o ciągle jeszcze popołudniowej porze, a teraz, wieczorem, mieliśmy płowe słońce, cienie nachylały się nad nami, trawa lśniła od klejnotów, a czerwona żąglówka daleko na wodach zatoki zrobiła zwrot i ruszyła ku ciemniejszym w półmroku dalom horyzontu.

Kawiarnia. W kawiarni. W kawiarni nas dwoje.

Przyjechałem tu właśnie takiego wieczoru, owej niedzieli, po odejściu Anny. Choć była jesień, a nie lato, ciemnozłote słońce i atramentowe cienie, długie i wysmukłe w kształcie ściętych cyprysów, nic się nie zmieniły, panowało też to samo poczucie, że wszystko jest do cna przemoknięte, obwieszane klejnotami, a morze migotało intensywnym błękitem. Poczujęm się, nie wiedzieć czemu, lżejszy; jakby wieczór, w tej wilgoci i w kroplach błędnego patosu, na chwilę przejął ode mnie brzemień żałoby. Nasz dom – lub mój dom, jakim się ponoć teraz stał – jeszcze nie został sprzedany, nie miałem odwagi wystawiać go na sprzedaż, ale nie mogłem mieszkać w nim ani chwili dłużej. Po śmierci Anny opustoszał, zamieniając się w wielką kabinę pogłosową. Także w powietrzu było coś wrogiego, warcząca opryskliwość starego psa, który nie rozumie, dokąd odeszła jego ukochana pani i żywi urazę do pana, który pozostał. Anna nie chciała, żeby komukolwiek mówić o jej chorobie. Ludzie przypuszczali, że dzieje się coś złego, ale aż do ostatniego etapu choroby nie podejrzewali, że stawką jest życie. Nawet Claire musiała się domyślać, że matka umiera. A teraz, już po wszystkim, coś nowego się zaczęło, nowego dla mnie – trudna sztuka życia po śmierci.

Mój przyjazd podeksycytował pannę Vavasour, choć czuła się tym zawstydzona; dwie małe okrągłe plamki jak odciski różowej krepiny płuły wysoko na jej misternie pomarszczonych policzkach, miała zwyczaj splatania dłoni przed sobą i sznurowała wargi, żeby powstrzymać uśmiech. Kiedy otworzyła mi drzwi, pułkownik Blunden już był w korytarzu, podskakując za nią, popatrując na mnie to z jednej, to z drugiej strony; pojąłem od razu, że nie przypadłem mu do gustu. Mogę to zrozumieć: ten dumny kogut wodził przeciw rej w domostwie, a tu nagle ja się zjawiam i strącam go z grzędy. Patrząc cholerycznym wzrokiem, utkwionym w moim podbródku, który znajdował się na wysokości jego oczu, jest bowiem niski mimo kręgosłupa jak stempel, ujął moją dłoń i potrząsnął nią energicznie, odchrząknął, i obcesowo, po męsku, rzucił kilka uwag na temat pogody, grając rolę starego wiarusa z wyraźną, jak sądzę, przesadą. Jest w nim coś nie do końca uczciwego: ta elegancja, nadmierna troska o to, by wyglądać wiarygodnie. Lśniące półbuty, tweedowa marynarka ze skórzanymi łatami na łokciach i mankietach, kanarkowa kamizelka, którą zakłada w weekendy, to wszystko wygląda zbyt pięknie, żeby było prawdziwe. Przejawia szklistą nieskazitelność aktora, który od lat gra tę samą rolę. Zastanawiam się, czy rzeczywiście był żołnierzem. Nieźle udaje mu się ukryć akcent z Belfastu, ale jego ślady wrywają mu się jak wiatry. A tak w ogóle, dlaczego go ukrywa, czego się boi, co mógłby nam zdradzić? Panna Vavasour wyznała mi, że niejedną raz widziała, jak ukradkiem wchodził do kościoła w niedzielę na poranną mszę. Pułkownik katolikiem z Belfastu? Podejrzana sprawa, bardzo podejrzana.

W wykuszu okiennym w saloniku, który uprzednio był po prostu dużym pokojem, zastawiono stół myśliwski na podwieczorek. Pomieszczenie wyglądało tak, jak je zapamiętałem. Albo wyglądało, jak gdyby było takie, jakim je zapamiętałem, gdyż z reguły wspomnienia dopasowują się niezauważalnie do rzeczy i miejsc z odwiedzanej przeszłości. A ten stół, czy to ten sam mebel, przy którym pani Grace stała i układała kwiaty tego dnia, kiedy wpadł tu pies z piłką? Zastawiono go bardzo wystawnie, wielki srebrny imbryk z sitkiem od kompletu, najlepsza porcelana, staroświecki dzbanuszek na śmietankę, szczypta do cukru, koronkowe serwetki. Panna Vavasour, ubrana na japońską modłę, z włosami zebranymi w kok i przebitymi dwiema dużymi skrzyżowanymi szpilami, przywodziła mi osobliwie na myśl erotyczne grafiki osiemnastowiecznych mistrzów japońskich, na których opuchnięte matrony o porcelanowych twarzach ze spokojem znoszą grubiańskie awanse strojących dziwne miny dżentelmenów z członkami nadmiernych rozmiarów i, co zawsze mnie zaskakuje, niesamowicie zwinnymi palcami u stóp.

Rozmowa się nie kleiła. Panna Vavasour była jeszcze podenerwowana, a pułkownikowi burczało w brzuchu. Późne słońce przebijało się przez krzew w targanym wiatrem ogrodzie, oślepiało nas, a przedmioty na stole zdawało się wprawiać w ruch i przemieniać. Miałem wrażenie, że jestem przerośnięty, niezgrabny, że zachowuję się nienaturalnie, jak duży młodociany przestępca, dziecko wysłane przez zrozpaczonych rodziców na wieś, gdzie ma się nim zaopiekować para starszych krewnych. Czy to jakaś straszliwa pomyłka? Czy powinienem wymamrotać słowa przeprosin i uciec na noc do hotelu, albo wręcz wrócić do domu i jakoś radzić sobie z tą pustką i echem? Wtedy zdałem sobie sprawę, że przyjechałem tutaj w jednym celu: właśnie po to, by powrót był obrzydliwością, żeby okazał się pomyłką, żeby był, żeby ja się okazał, jak powiedziałyby to Anna, niestosowny.

– Jesteś szalony – skomentowała Claire. – Umrzesz tam z nudów.

Dla niej nie było problemu, odparłem, ma przecież nowe ładne mieszkanie – nie marnujesz czasu, chciałem dodać.

– No to zamieszkaj ze mną – powiedziała. – Jest dość miejsca dla dwojga.

Zamieszkać z nią! Dość miejsca dla dwojga! Ale podziękowałem tylko, powiedziałem, że nie, że wolę mieszkać sam. Nie mogę ścierpieć, jak na mnie ostatnio patrzy, wzrokiem czułym i pełnym troski, jaką winna jest ojcu córka, głowę przechyla na bok, jak robiła to Anna, unosi brew, a czoło marszczy na znak zatroskania, Nie, nie chcę, by ktokolwiek się o mnie troszczył. Chcę gniewu, złorzeczenia, gwałtu. Jestem jak człowiek, którego straszliwie boli ząb i który pomimo bólu czerpie mściwą przyjemność z wkładania czubka języka raz po raz głęboko w pulsujący ubytek. Wyobrażam sobie pięść, która nadlatuje nie wiadomo skąd i uderza mnie w twarz, czuję niemal ten głuchy odgłos i słyszę, jak pęka kość nosowa, już sama myśl o tym jest dla mnie źródłem drobnej satysfakcji. Po pogrzebie, kiedy goście przyszli do domu – to było straszne, prawie nie do zniesienia – schwyciłem kieliszek wina tak mocno, że skruszył mi się w dłoni. Zadowolony, patrzyłem, jak kapie z niej krew, jakby była krwią wroga, którego rozprułem śmiertelnym cięciem.

– A więc zajmuje się pan sztuką, tak? – zapytał nieufnie pułkownik.
– Dużo pan z tego ma?

Chodziło mu o forszę. Panna Vavasour zacisnęła usta i spojrzała na niego, groźnie marszcząc brwi, po czym z dezaprobatą pokręciła głową.

– On tylko pisze – powiedziała szeptem, połykając słowa, kiedy je wymawiała, jakby w ten sposób chciała mi ich zaoszczędzić.

Pułkownik szybko przeniósł wzrok ze mnie na nią i z powrotem, po czym osłupiały skinął głową. Nie zaskakuje go, że może coś źle zrozumieć, jest na to uodporniony. Pije herbatę, odginając mały palec. Ten sam palec jego drugiej ręki, permanentnie zagięty, spoczywa na wewnętrznej stronie dłoni, to wcale nie taki rzadki syndrom, którego nazwy zapomniałem; wygląda na bolesną dolegliwość, ale pułkownik temu zaprzecza. Wykonuje tą dłonią dziwnie eleganckie, zamaszyste gesty, jakby był dyrygentem, który każe się włączyć instrumentom dętym albo wymusza *fortissimo* na chórze. Ręce też lekko mu drżą, filiżanka z herbatą grzechocze o jego przednie zęby, to z pewnością proteza, są bowiem takie białe i równe. Skóra jego ogorzalej twarzy i na zewnętrznej stronie dłoni jest pomarszczona, brązowa i lśniąca, jak lśniący brązowy papier, w który zapakowano coś niedającego się łatwo opakować.

– Rozumiem – powiedział, niczego nie rozumiejąc.

Pewnego dnia w 1893 roku Pierre Bonnard zauważył dziewczynę, wysiadającą z paryskiego tramwaju, po czym, zachwycony jej kruchą figurą i bladą urodą, poszedł za nią do miejsca, gdzie pracowała, *pompes funèbres*, całe dni przyszywała perły do wieńców pogrzebowych. I tak śmierć od samego początku wplotła czarną wstążkę w ich życie. Szybko zaprzyjaźnił się z dziewczyną – podejrzewam, że w czasach *belle époque* sprawy te załatwiano z łatwością, bez krygowania się – i ona niedługo potem porzuciła pracę i dotychczasowe życie, i zamieszkała z artystą. Powiedziała mu, że nazywa się Marthe de Meligny i że ma lat szesnaście. Tak naprawdę, choć dowiedział się o tym dopiero trzydzieści lat później, kiedy w końcu się z nią ożenił, jej prawdziwe imię brzmiało Maria, nazwisko Boursin, a kiedy się poznali, nie miała szesnastu lat, lecz, jak Bonnard, prawie dziesięć lat więcej. Związali się ze sobą na dobre i na złe, a raczej na złe i na gorsze, i żyli razem aż do jej śmierci, niemal pięćdziesiąt lat później. Thadee Natanson, jeden z pierwszych mecenasów Bonnarda, we wspomnieniach o artyście odmalował szybkimi, impresjonistycznymi pociągnięciami pędzla zwiewną Marthe, pisząc o jej „dzikim, ptasim spojrzeniu, o chodzeniu na paluszkach”. Była skryta, zazdrosna, zaciekle zaborcza, cierpiała na manię prześladowczą i była wielką, zagorzałą hipochondryczką. W 1927 roku Bonnard kupił dom, Le Bosquet, w niczym nie wyróżniającym się miasteczku Le Cannet na Lazurowym Wybrzeżu, gdzie zamieszkał z Marthe i żył z nią w odosobnieniu sporadycznie zakłócanym sprzeczkami, aż do jej śmierci piętnaście lat później. W Le Bosquet Marthe nabrała zwyczaju wielogodzinnego wylegiwania się w wannie i właśnie w tej wannie portretował ją wielokrotnie Bonnard, malując kolejne obrazy nawet po jej śmierci. Cykl *Baignoires* to triumfalne zwieńczenie dzieła jego życia. W obrazie *Akt w wannie*, zaczęty w 1941 roku, kilka miesięcy przed śmiercią Marthe, który pozostał niedokończony aż do roku 1946, w wannie leży różowo-fioletowo-złota bogini zmiennego świata, smukła, istniejąca poza czasem, równie

martwa jak żywa, a obok niej na kafelkach leży brązowy piesek, jej duszek, chyba jamnik, zwinięty, czujny, na macie, a może na kwadracie łuszczącego się światła, które pada z niewidocznego okna. Wąska łazienka, jej schronienie, wibruje wokół, pulsuje kolorami. Wydaje się, że stopy, zwłaszcza lewa, obciążona na końcu niemożliwie długiej nogi, rozepchały wannę, aż wybrzuszył się pod ich naporem jej lewy koniec, zaś pod wanną, w tym samym polu sił, podłoga została przesunięta, jakby za chwilę miała wylać się w rogu, nie przypominając wcale podłogi, raczej ruchomą, plamistą kałużę. Wszystko tu się porusza, porusza się w bezruchu, w wodnej ciszy. Słychać krople, drobne fale, trzepoczące westchnienia. Rdzawa plama w wodzie obok prawego ramienia kąpiącej się może być rdzą, a nawet krwią. Jej prawa dłoń spoczywa na udzie, unieruchomiona w pozie na wznak, a ja myślę o dłoniach Anny na stole tego pierwszego dnia, kiedy wróciliśmy z wizyty u pana Todda, jej bezradne ręce odwrócone wnętrzem do góry, jakby o coś błagały siedzącą naprzeciwko niej osobę, której tam jednak nie było.

Ona też, moja Anna, kiedy zachorowała, zaczęła coraz częściej popołudniami przesiadywać w wannie. Miało to na nią, jak mówiła, kojący wpływ. Przez jesień i zimę jej dwunastu miesięcy powolnego konania siedzieliśmy zamknięci w naszym nadmorskim domu, jak Bonnard i jego Marthe w Le Bosquet. Pogoda była przyjemna, prawie niezauważalna, a pozornie niezniszczalne lato oddawało pole końcówce roku, temu zamglonemu bezruchowi, który mógł uchodzić za każdą porę. Anna bała się nadejścia wiosny, tego zgiełku nie do zniesienia i krzątania, jak mówiła, „całego tego życia”. Głęboka, senna cisza wzrastała wokół nas, miękka i gęsta, jak szlam. Kiedy Anna leżała w kąpeli w łazience na półpiętrze, było tak cicho, że czasami się niepokoiłem. Wyobrażałem sobie, że osuwa się bezdźwięcznie na dno tej olbrzymiej starej wanny na nóżkach z pazurami, aż jej twarz zanurza się pod powierzchnię wody, a ona bierze ostatni, długi, wodnisty wdech. Schodziłem po schodach i stawałem na półpiętrze w całkowitej ciszy, jakbym to ja był pod wodą, nasłuchując rozpaczliwie najdrobniejszych choćby dźwięków życia dochodzących zza drzwi. Oczywiście, w jednej z plugawych i zdradliwych komór mego serca życzyłem jej tego, chciałem, żeby to się już wreszcie skończyło, przynosząc ulgę i mnie, i jej. Po chwili jednak słyszałem delikatne wzburzenie wody, znak, że się poruszyła, cichy plusk, kiedy wyciągała dłoń po mydło lub ręcznik, wtedy odwracałem się i człapałem z powrotem do swojego pokoju, zatrząskiwałem za sobą drzwi, siadałem za biurkiem i wpatrywałem się w jaskrawą szarość wieczoru, próbując o niczym nie myśleć.

– Mój biedny Max – powiedziała do mnie pewnego dnia. – Musisz zwracać uwagę na to, co mówisz i cały czas być dla mnie miły.

Była już wtedy w hospicjum, leżała na końcu długiego korytarza starego skrzydła budynku, w pokoju z narożnym oknem, z którego roztaczał się widok na trójkątny kawałek pięknie zapuszczonego trawnika i na niespokojny, a w moich oczach niepokojący, szereg rozłożystych, wysokich, czarnozielonych drzew. Wiosna, której nadejścia tak się obawiała, nadeszła i minęła, a ona była zbyt chora, żeby zważać na jej poruszenia; wkrótce nastąpiło wilgotne, upalne i lepkie lato, ostatnie, które miała przeżyć.

– Co masz na myśli – zapytałem – mówiąc, że muszę być miły?

Mówiła teraz tyle dziwnych rzeczy, jakby była już gdzie indziej, poza mną, gdzie nawet słowa mają inne znaczenie. Poruszyła głowę na poduszce, uśmiechnęła się do mnie. Jej twarz, tak wycieńczona, że niemal prześwitywały przez nią kości, jaśniała przerażającym pięknem.

– Już nawet nie wolno ci ani trochę mnie nienawidzić – powiedziała.
– Jak kiedyś ci się zdarzało.

Spojrzała przez okno na drzewa, po czym odwróciła się do mnie, uśmiechnęła znowu i poklepała mnie po ręce.

– Nie rób takiej zmartwionej miny – powiedziała. – Ja też ciebie nienawidziłam, troszeczkę. Byliśmy przecież ludźmi.

W owych dniach używała już tylko czasu przeszłego.

– Czy chciałby pan teraz obejrzeć pokój? – zapytała panna Vavasour.

Ostatnie ostrza promieni słonecznych padały przez okno przed nami jak kawałki potłuczonych szyb w płonącym budynku. Pułkownik z rozdrażnieniem tarł przód żółtej kamizelki, na który wylała mu się herbata. Wydawał się obrażony. Być może coś do mnie mówił, a ja nie słuchałem. Panna Vavasour poszła przodem. Bałem się tej chwili, kiedy będę musiał wdziąć ten dom, włożyć go na siebie, jak coś, co nosiłem w innym życiu, przed wygnaniem z raj, jak, powiedzmy, modny ongiś kapelusz, staroświeckie buty, garnitur weselny pachnący kulkami naftaliny, już za ciasny w pasie, i pijący pod pachami, ale o kieszeniach wypchanych wspomnieniami. Holu wcale nie poznałem. Jest krótki, wąski, źle oświetlony, podzielony zasłoną z koralików, a ściany oklejone ma do połowy wysokości anaglyptą, która wygląda, jakby liczyła co najmniej ze sto lat. Nie pamiętałem, że jest tam przedsionek. Myślałem, że przez drzwi frontowe wchodzi się bezpośrednio do – no właśnie, nie wiem dokładnie, co mi się wydawało. Do kuchni? Kiedy dreptałem za panną Vavasour z torbą w dłoni, jak zachowujący nieposzlakowane manieri morderca w starym, czarno-białym dreszczowcu, zdałem sobie sprawę, że obraz tego domu przechowywany w mojej pamięci, choć próbował dopasować się do oryginału, napotykał uporczywy opór. Wszystko było odmiennych rozmiarów, wszystkie kąty zdawały się z lekka nieprawdziwe. Schody były bardziej strome, półpiętro ciaśniejsze, okno w łazience wychodziło nie na ulicę, jak sądziłem, ale na pola. Doświadczyłem uczucia paniki, kiedy rzeczywistość, po chamsku pewna siebie rzeczywistość, przejęła władzę nad rzeczami, które, wydawało mi się, zachowałem w pamięci, i przerobiła na swoją modłę. Coś cennego rozpyływało się, przelewało mi się pomiędzy palcami. A jednak, łatwo się z tym rozstałem. Przeszłość, to znaczy prawdziwa przeszłość, ma mniejsze znaczenie, niż to fałszywie głosimy. Kiedy panna Vavasour zostawiła mnie w pomieszczeniu, które od tej chwili miało być moim pokojem, rzuciłem płaszcz na krzesło, usiadłem na skraju łóżka i wziąłem głęboki oddech, wdychając stęchłe powietrze, w którym nikt

nie mieszkał, i poczułem, że podróżowałem długo, całymi latami, i że wreszcie dotarłem do miejsca przeznaczenia, gdzie, nawet sobie z tego nie zdając sprawy, miałem dotrzeć, i gdzie muszę zostać, gdyż jest ono dla mnie, na dziś, jedynym możliwym miejscem, jedynym możliwym schronieniem.

Zaprzyjaźniony rudzik pojawił się przed chwilą w ogrodzie, a ja natychmiast uświadomiłem sobie, co przypomniały mi piegi Avril w dniu, kiedy spotkałem ją na podwórzu Duignana. Ptak przysiadł jak zwykle na trzeciej gałęzi ostrokrzewu i bacznie przygląda się ukształtowaniu terenu zadzierzystem, błyszczącym jak koralik okiem. Rudzik to znany z nieustraszoneści gatunek ptaka, ten zaś osobnik wydaje się całkiem obojętny, kiedy przychodzi tu po sąsiedzku Tiddles i skrada się w wysokiej trawie; ptaszek nawet kwili sardonicznie i stroszy piórka, rozdyma krwisto-pomarańczową pierś, jakby chciał pokazać, przekornie, jakim to mógłby być kąskiem, tłustym i apetycznym, gdyby koty umiały fruwać. Kiedy zobaczyłem tego ptaka, od razu przypomniłem sobie, z bólem, który miał ten sam rozmiar i był równie wyjątkowy, co sam ptak, obrabowane gniazdo w krzewach kolcolistu. W dzieciństwie pasjonowałem się ptakami. Ale nie należałem do tych miłośników przyrody, którzy lubią ptaki obserwować, nie interesowało mnie wypatrywanie, śledzenie i klasyfikowanie, to wszystko przekraczałyby moje możliwości, a poza tym nudziłoby mnie; nie potrafiłem odróżnić jednego gatunku od drugiego, niewiele na ich temat wiedziałem, niewiele też obchodziły mnie ich historia czy zwyczaje. Wyszukiwałem jednak gniazd, to była moja specjalność. Do tego potrzebna była cierpliwość, uwaga, spostrzegawczość i coś jeszcze – umiejętność utożsamiania się z tymi drobnymi stworzonkami, które tropiłem aż do ich legowisk. Pewien mędrzec, którego nazwiska teraz nie pamiętam, stwierdził, polemizując z czymś stanowiskiem, że to niemożliwe, by człowiek mógł wyobrazić sobie w pełni, jak to jest być nietoperzem. W zasadzie przyznaję mu rację, ale mógłbym mu wiele opowiedzieć, jak to jest należeć do innego gatunku niż *homo sapiens*, kiedy byłem młody i należałem jeszcze, częściowo przynajmniej, do królestwa zwierząt.

Nie byłem okrutnikiem, nie zabiłbym ptaka, ani nie skradł mu jaj, na pewno. Powodowała mnie ciekawość, zwykła namiętność poznania pewnych przynajmniej tajemnic innych, obcych stworzeń.

Zawsze zadziwiał mnie kontrast między gniazdem a jajkiem; mam na myśli przypadkowość tego pierwszego, bez względu na to, jak sprawnie czy nawet jak pięknie zostało ukształtowane, oraz kompletność tego drugiego, jego nieskazitelną pełnię. Jajko, zanim zostanie początkiem, jest absolutnym końcem. A to przecież definicja samowystarczalności. Serce mi się kroilo, kiedy widziałem rozbite jajko, tę drobną tragedię. W przypadku, o którym teraz mówię, musiałem nieumyślnie zaprowadzić kogoś do gniazda. Tkwiło ukryte w kępie kolcolistu na pochyłym wzniesieniu w samym środku pola. Łatwo było mnie zobaczyć, jak tam idę, bo chodziłem tak od kilku tygodni, aż samiczka przyzwyczała się do mnie. Co to był za ptak: drozd, a może kos? W każdym razie jakiś większy gatunek. Kiedy pewnego dnia tam przyszedłem, jajek już nie było. Zabrano dwa, a trzecie leżało rozbite na ziemi pod krzewem. Została z niego tylko rozmazana plama z żółtka i białka i kilka kawałków skorupki, każdy nakrapiany drobnymi, ciemnobrązowymi plamkami. Nie przeceniałbym znaczenia tej chwili, na pewno byłem tak samo sentymentalnie bezduszny jak każdy chłopiec w tym wieku, ale wciąż mam przed oczyma ten kolcolist, czuję maślany zapach jego kwiecica, dobrze pamiętam dokładny odcień tych brązowych kropek, tak bardzo podobnych do piegów na policzkach Avril i nasadzie jej nosa. Nosilem w sobie wspomnienie tej chwili przez pół stulecia, jak gdyby był to symbol czegoś ostatecznego, cennego i bezpowrotnie straconego.

Anna leży na boku, wychylona za krawędź szpitalnego łóżka, wymiotuje na podłogę, jej rozpalone czoło wciśnięte jest w moją dłoń – pełne i kruche jak strusie jajo.

Jesteśmy z Chloe w Strand Café, po filmie i pamiętnym pocałunku. Usiedliśmy przy plastikowym stoliku, pijemy nasz ulubiony napój, musujący sok ze świeżych pomarańczy w wysokiej szklance, z porcją lodów waniliowych unoszącą się na powierzchni. Niesłychana jest ta klarowność, z jaką, jeśli się skoncentruję, potrafię zobaczyć nas tam oboje. Naprawdę, życie można przeżyć ponownie, wystarczy się tylko postarać i wszystko sobie przypomnieć. Nasz stolik stał w pobliżu otwartych drzwi, przez które przedostawał się gruby promień słońca i kładł się u naszych stóp. Od czasu do czasu lekki powiew wiatru wpadał w roztargnieniu do środka, ścieląc szlak drobnego piasku na podłodze, albo niosąc ze sobą pustą papierową torbę po cukierkach, która wlatywała, opadała i znów ruszała, szurając po posadzce. W lokalu prawie nikogo poza nami nie było, kilku chłopców, a raczej młodzieńców siedziało w kącie za nami i grało w karty, a za ladą żona właściciela, duża, płowowłosa, niebrzydka, wpatrywała się w rozmarzeniu pozbawionymi wyrazu oczyma w świat za drzwiami kawiarni. Nosila bładoniebieski fartuszek, czy kitel, wykończony białą falbanką. Jak miała na imię? Nie, nie przypomnę sobie – tyle, jeśli chodzi o genialną pamięć Pamięci. Pani Strand. Będę ją nazywał panią Strand, jeśli już ma mieć jakieś nazwisko. W sposobie, w jaki stała, było coś niezwykłego, to pamiętam znakomicie – stała solidnie i stanowczo, wyciągnęła piegowate ramię, a pięść knykciami wbiła w wysoką obudowę kasy. Pomarańczowy napój z lodami w naszych szklankach zwieńczony był żółtawą pianą. Piliśmy przez papierowe słomki, unikając patrzenia sobie w oczy, w nowym przyпыlywie nieśmiałości. Miałem niejasne poczucie miękkiego lądowania, jakby prześcieradło rozwinęło się i opadło na łóżko, albo namiot osiadł na poduszce własnego powietrza. Ten pocałunek w mroku kina – teraz wydaje mi się, że jednak musiał to być nasz pierwszy pocałunek – tkwił jak dziwowisko między nami, tak wielki, że nie do zlekceważenia. Chloe miała delikatny, jasny meszek nad górną wargą, czułem na ustach jego

sobolowy dotyk. Moja szklanka była już niemal pusta i bałem się, że resztki napoju w słonce zaczną bulgotać, wydając ten żenujący jelitowy dźwięk. Ukradkiem, spod opuszczonych powiek, spojrzałem na dłonie Chloe; jedna spoczywała na stoliku, druga trzymała szklankę. Palce były grube aż do pierwszego knykcia, a stamtąd zwężały się ku czubkom: uzmysłowiłem sobie, że to dłonie jej matki. Z radioodbiornika pani Strand płynęła jakaś piosenka, a Chloe w zamyśleniu nuciła sobie jej omdlewającą melodię. Piosenki były wtedy bardzo ważne, to biadolenie o tęsknocie i utracie, to brzdąkanie, które braliśmy za miłość. Nocą, kiedy leżałem w łóżku w domku letniskowym, docierały do mnie dalekie, dęte dźwięki, niesione na morskiej bryzie z sal balowych Hotelu Plaża lub Golf, i myślałem sobie o parach krążących w zakurzonej, gorącym półmroku, o dziewczętach z trwałą, w bladych błękitach i kwaśnych zieleniach, o młodych mężczyznach z czubami, w wywatowanych sportowych kurtkach i butach na miękkich, wysokich na cal podeszwach.

O „najmilejsza moja o czar twych pocałunków samotność w świetle księżycy serce me i dusza”! A kilka kroków dalej plaża spowita mrokiem, piasek chłodny na powierzchni, ale pod spodem trzymający ciepło dnia, i długie linie białych fal, rozbijających się o falochron, rozświetlone jakimś cudem od środka, a ponad tym wszystkim noc, cicha, tajemna, skupiona.

– Film był głupi – powiedziała Chloe.

Nachyliła twarz nad brzegiem szklanki, grzywka spadła jej na oczy. Włosy miała jasne, jak promień słońca na podłodze u jej stóp... ale zaraz, nie tak. To nie mógł być dzień pocałunku. Kiedy wyszliśmy z kina, był już wieczór, wieczór po deszczu, a teraz jest późne popołudnie, stąd też to słabe światło, stąd ta meandrująca bryza. A gdzie jest Myles? Był z nami w kinie, dokąd więc mógł się udać, przecież nigdy nie odstępował siostry, chyba że go ktoś przegonił? Naprawdę, Madame Pamięci, odwołuję swój pean na twoją cześć, jeśli rzeczywiście działa tu Pamięć, a nie inna, bardziej kapryśna muza. Chloe prychnęła.

– Przecież było jasne, że ten rozbójnik to kobieta.

Znowu spojrzałem na jej ręce. Ta, którą trzymała wysoko szklankę, opadła, zakreśliła podstawę, w której spiczasty czubek białego światła palił się równomiernie, podczas gdy druga ręka, trzymająca słomkę delikatnie między kciukiem a palcem wskazującym, i naginająca ją w stronę ust, rzucała na stolik blady cień w kształcie ptasiego łba z dziobem i bujnym czubem. Znowu pomyślałem o jej matce i tym razem poczułem przez chwilę coś ostrego, co ukłuło mnie i rozpałiło w piersi, jakby rozgrzana igła dotknęła mi serca. Czy to wyrzut sumienia? Co czułaby pani Grace, co by powiedziała, gdyby mnie tu znalazła, jak siedzę przy stoliku i pożeram wzrokiem różowy cień we wgłębieniu policzka jej córki, gdy wciąga przez słomkę resztkę napoju z lodami? Nie przejmowałem się tym, na pewno nie w głębi duszy, głębiej niż poczucie winy czy inne tego typu afekty. Miłość, jak ją nazywamy, ma nieprzewidywalną tendencję do przenoszenia się z jednego jasnego obiektu na drugi, jaśniejszy, a czyni to bezdusznym, ukradkowym ruchem w najbardziej niestosownych okolicznościach. Ile to dni weselnych zakończyło się nieszczęśliwym spojrzeniem wstawionego i cierpiącego na niestrawność pana młodego, który w twarzy świeżo poślubionej małżonki, podrygującej pod nim na królewskim łożu w apartamencie dla nowożeńców, dostrzegł rysy jej najlepszej przyjaciółki, albo piękniejszej siostry, a nawet, Boże uchoвай, jej jurnej matki?

Tak, zaczynałem kochać Chloe – nie, już się w niej zakochałem, rzecz już się dokonała. Odczuwałem tę niepokojącą euforię, to szczęśliwe, bezradne rozchybotanie, które zawsze odczuwa człowiek, mający za chwilę obdarzyć kogoś miłością, na stromym początku tego uczucia. Gdyż nawet w tak młodym wieku wiedziałem, że zawsze jest ktoś kochany i ktoś kochający, wiedziałem też, która z tych ról jest w tym wypadku mnie pisana. Te tygodnie z Chloe były dla mnie serią czarownych upokorzeń. Przyjęła mnie jako pokornego wyznawcę u stóp swej świątyni, okazując zenujące samozadowolenie. Kiedy zapadała się w sobie, niemal nie zauważała mojej osoby, a nawet kiedy darzyła mnie uwagą, rysowała się na niej zawsze jakaś skaza, drobina zaabsorbowania czym innym, ślad nieobecności. Ta świadoma obojętność była dla mnie źródłem cierpienia, doprowadzała mnie wręcz do szału, ale gorsza była myśl, że może być obojętnością nieumyślną. Gotów byłem przyjąć, że postanowiła mną gardzić, sprawiało mi to nawet jakąś niejasną wprawdzie, ale prawdziwą satysfakcję, a jednak myśl, że są chwile, kiedy po prostu stawałem się dla niej przezroczysty... nie, tego znieść nie mogłem. Często, kiedy wyrывałem ją z tej nieobecności i milczenia, podrywała się, rozglądała szybko wokół, spoglądała w sufit, spoglądała w kąt pokoju, spoglądała wszędzie, tylko nie na mnie, w poszukiwaniu źródła tego głosu, który był do niej skierowany. Czy w ten bezlitosny sposób próbowała mnie dręczyć, czy może te chwile pustki były autentyczne? Doprowadzony do skrajnej wytrzymałości, chwytalem ją za ramiona, wstrząsałem nią, domagałem się, żeby dostrzegala mnie i tylko mnie, ale ona wtedy wiotczała, robiła zeza, kiwała głową bezwładnie jak szmaciana lala i zanosila się gardłowym śmiechem, irytującym jak śmiech Mylesa, a kiedy brutalnie, z odrazą, odsuwałem ją od siebie, padała na piasek lub na kanapę i leżała z rozrzuconymi nogami i rękoma, i udawała, że jest – na swój groteskowy, prześmiewczy sposób – martwa.

Dlaczego przyzwalałem jej na te kaprysy, na tę wyniosłość? Nigdy łatwo nie znosiłem spotykających mnie afrontów, robiłem wszystko, żeby się odegrać, nawet na osobach mi drogich, a może szczególnie na osobach mi drogich. Moja wyrozumiałość w przypadku Chloe brała się, jak sądzę, z silnego impulsu opiekuńczego, wierzyłem bowiem, że winien jej jestem opiekę. Pozwólcie mi to wyjaśnić, bo to ciekawe. Wydaje mi się, że to ciekawe. Działo tutaj wyjątkowe, wspaniałe poczucie taktu. Skoro była osobą, którą postanowiłem (albo coś postanowiło za mnie) obdarzyć miłością, musiała pozostać bez skazy, w sferze ducha i w tym, co robi. Nie ulegało wątpliwości, że koniecznie muszę ją chronić przed nią samą i przed jej wadami. Zadanie to w sposób naturalny spadło na mnie, gdyż jej wady były jej wadami, nie mogłem więc oczekiwać, że uniknie niekorzystnych konsekwencji swoich zachowań jedynie siłą własnej woli. Nie tylko musiałem chronić ją przed tymi wadami i ich konsekwencjami, ale chciałem też zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby o nich nie wiedziała. I nie chodzi tylko o jej czynne wady. Niewiedza, nieumiejętność przewidywania, tępa pewność siebie, takie rzeczy również należy kamuflować, a ich przejawom zaprzeczać. Weźmy choćby rzecz następującą: Chloe nie wiedziała, że w moim sercu pojawiła się jako druga, po własnej – uwierzyłyby kto? – matce. Fakt ten wzbudzał moją litość do niej jako wyjątkowo kruchej istoty. Zauważcie, nie chodziło mi o to, że pojawiła się późno jako obiekt moich uczuć, ale że nie zdawała sobie z tego sprawy. Gdyby jakimś cudem poznała moją tajemnicę, znikłoby jej wysokie mniemanie o sobie, uznałaby siebie za naiwniaczkę, która nie dostrzegła moich uczuć do jej rodzonej matki, a nawet mogłaby poczuć się kimś od niej gorszym, gdyż nie ją jako pierwszą wybrałem. A tak nie mogło się stać.

Na wypadek gdyby się okazało, że kreślę swój portret w nazbyt przychylnych sobie słowach, spieszę wyjaśnić, że z mojej troski o Chloe i z przejęcia się jej wadami płynęły pożytki nie tylko dla niej. Jej samoocena była dla mnie znacznie mniej istotna niż moja ocena jej osoby, choć ta druga zależała od pierwszej. Gdyby jej poczucie własnej wartości zostało zmałowane przez zwątpienie lub obawę, że jest śmieszna, albo przez wyrzuty z powodu braku przenikliwości, mój szacunek do niej również by się zachwiaił. Nie może więc dojść do żadnych konfrontacji, brutalnych ujawnień, żadnego odkrywania przerażających prawd. Mogłem potrząsać ją za ramiona, aż grzechotały kości, mogłem z pogardą przewracać ją na ziemię, ale nie mogłem powiedzieć jej, że zanim ją wybrałem, kochałem jej matkę, albo że pachnie czerstwymi biskoptami, albo że Joe z Niwy zauważył zielony odcień jej zębów. Kiedy szedłem za nią potulnie, śladem jej dumnych kroków, mój czuły i czule udręczony wzrok wbijał się w jasny przecinek jej włosów na karku, albo w cienkie rysy na porcelanowej skórze w zgięciu jej kolan, czułem się, jakbym niósł w sobie fioletkę cennego i delikatnego materiału łatwopalnego. Nie, tylko bez nagłych ruchów, żadnych nagłych ruchów.

Jest jeszcze jeden powód, dla którego musiała pozostać nienaruszona, nieskalana nadmierną samowiedzą, ani też zbyt dogłębną wiedzą o mnie samym. To jej różnica. To dzięki niej doświadczyłem po raz pierwszy całkowitej odrębności innych ludzi. Nie przesadzę, twierdząc – no cóż, na pewno przesadzę, ale powiem, co miałem powiedzieć – że w osobie Chloe świat po raz pierwszy objawił mi się jako byt obiektywny. Ani ojciec, ani matka, ani nauczyciele, ani inne dzieci, a nawet nie Connie Grace, nikt nie był w tym stopniu rzeczywisty, co Chloe. A jeśli ona była rzeczywista, to niespodziewanie ja też. Była dla mnie prawdziwym źródłem samoświadomości. Uprzednio istniała jedna tylko rzecz, a ja stanowiłem jej część, teraz zaś byłem ja i wszystko, co nie jest mną. Ale tu kryje się pewna zawilóść. Kiedy już Chloe odcięła mnie od świata i doprowadziła do tego, że uzmysłowiłem sobie siebie samego jako istotę w ten sposób od świata odciętą, położyła kres poczuciu immanencji wszystkiego, co istnieje, włączając w to mnie, w którym to poczuciu aż do tego czasu tkwiłem całkiem błogo i bezwiednie. Uprzednio miałem dach nad głową, teraz znalazłem się pod gołym niebem, na przesiece, bez żadnego schronienia w zasięgu wzroku. Nie wiedziałem, że już nie dostanę się do środka, przez te coraz ciaśniejsze wrota.

W jej towarzystwie nigdy nie wiedziałem, na czym stoję, ani jak się będzie ze mną obchodzić, i to właśnie, jak podejrzewam, było głównym powodem jej atrakcyjności w moich oczach – taka jest donkiszotowska natura miłości. Pewnego dnia, kiedy spacerowaliśmy po plaży, nad samym brzegiem morza, szukając szczególnej odmiany różowych muszelek, które były jej potrzebne do naszyjnika, zatrzymała się nagle, odwróciła, i, nie zwracając uwagi na kąpiących się w wodzie i piknikujących na piasku, schwyciła mnie za koszulkę, przyciągnęła do siebie i pocałowała z taką mocą, że moja górna warga rozgniotła się na zębach i poczułem smak krwi, a Myles, za naszymi plecami, zarechotał gardłowym śmiechem. Po chwili odepchnęła mnie, okazując wyraźną wzgardę, i szła dalej, marszcząc czoło, jej wzrok jak wcześniej przebiegał żwawo po linii wody, gdzie bezbarwny, zbity piasek łączywie wchłaniał pierwszą pianę każdej nadciągającej fali, tak że słychać było westchnienie i odgłos zasysanego powietrza. Zaniepokojony, rozejrzałem się. A gdyby była tu moja matka i widziała to wszystko, albo pani Grace, albo nawet Rose? Ale Chloe wydawała się o nic nie dbać. Wciąż przywołuję pamięcią to ziarniste wrażenie, kiedy nasze zęby meły miękką miazgę naszych warg.

Lubiła rzucać wyzwania, ale drażniło ją, kiedy ktoś je podejmował. Pewnego złowrogo spokojnego ranka, gdy daleko na horyzoncie piętrzyły się burzowe chmury, a morze było płaskie i szaro-klarowne, stałem przed nią do pasa w ciepławej wodzie, chciałem zanurkować i przepłynąć między jej nogami, gdyby mi na to pozwoliła, co się czasami zdarzało.

– Teraz, szybko – powiedziała, mrużąc oczy. – Właśnie się wysikałam.

Ja, mały dżentelmen z ambicjami, nie miałem wyjścia, musiałem zrobić, czego ode mnie oczekiwała. Ale kiedy wypłynąłem na powierzchnię, powiedziała, że jestem obrzydliwy, zanurzyła się w wodzie po brodę i odpłynęła powoli.

Miała skłonność do nagłych, wytrącających z równowagi wybuchów agresji. Myślę tu o pewnym deszczowym popołudniu, kiedy siedzieliśmy sami w saloniku w Domu pod Cedrami. Powietrze w pokoju było wilgotne i zimne, owiewał nas smutny zapach sadzy i kretonowych zasłon. Chloe przysła z kuchni i skierowała się do okna, wstałem z kanapy i podszedłem do niej, chyba po to, by objąć ją ramionami. A ona na mój widok natychmiast się zatrzymała, zrobiła szybki, półokrągły ruch ręką i zdzieliła mnie po twarzy. Cios był tak nagły, tak całkowity, jakby definiował jakąś drobną niepowtarzalną i istotną rzecz. Słyszałem jego echo, z kąta pod sufitem. Przez chwilę staliśmy w bezruchu, ja – z odwróconą twarzą; Chloe zrobiła krok w tył i zaśmiała się, a potem obrażona wydeła wargi, podeszła do okna, wzięła coś ze stolika i przyjrzała się temu z groźną, nachmurzoną miną.

Pamiętam też dzień, który spędziliśmy na plaży, kiedy Chloe postanowiła popastwić się nad jakimś miastowym. Było porywiste, szare popołudnie, koniec wakacji, ledwo słyszalne nuty jesieni rozlegały się już w powietrzu, Chloe była znudzona i w złowrogim nastroju. Ten mieszczuch był bladym, zziębniętym chłopakiem, w obwisłych czarnych kąpielówkach, z zapadniętą klatką piersiową, z sutkami nabrzmiętymi i zsiniałymi z zimna. Osaczyliśmy go, cała nasza trójka, za betonowym falochronem. Górował nad bliźniakami, ale ja byłem od niego wyższy, a ponieważ chciałem zaimponować mojej dziewczynie, z całej siły pchnąłem go, przyparłem do pokrytego zielonym śluzem muru, a Chloe stanęła przed nim w rozkroku i, robiąc królewską minę, zażądała, by się przedstawił i wyjaśnił, co tutaj robi. Spojrzał na nią w powolnym zadziwieniu, nie potrafiąc chyba zrozumieć, dlaczego właśnie jego wybraliśmy, ani czego od niego chcemy, co dla nas samych było też, oczywiście, wielką niewiadomą.

– No, słucham! – krzyknęła Chloe, ręce wsparła na biodrach, a stopa podrygiwała jej niecierpliwie.

Uśmiechnął się niepewnie, raczej skonfundowany niż przestraszony jej natarczywością. Przyjechał tu na jeden dzień, wymamrotał, z mamusią, pociągami.

– Och, z mamusią, tak? – szyderczo zapytała Chloe, a Myles, jakby na sygnał, postąpił krok do przodu, zdzielił go mocno po głowie otwartą dłoń, czemu towarzyszył imponująco głośny, przenikliwy dźwięk: tok!

– Widzisz? – wrzasnęła przeraźliwie Chloe – to właśnie cię czeka, jak będziesz się nam stawiał!

Mieszczuch, to biedne ociężałe ciele, był tylko zaskoczony, podniósł dłoń i dotknął swojej twarzy, jakby chciał zweryfikować ten zadziwiający fakt, jakim był zadany mu cios. Potem nastąpił podniecający moment ciszy, kiedy wszystko mogło się wydarzyć. Ale nic się nie wydarzyło. Mieszczuch tylko wzruszył ramieniem w smutnym geście rezygnacji i poszedł sobie, powłócząc nogami, rękę wciąż trzymając przy policzku, a Chloe odwróciła się do mnie wyzywająco, ale nic nie powiedziała, Myles zaś się roześmiał.

Po tym incydencie pozostał w mojej pamięci nie gniewny wzrok Chloe, ani nie chichot Mylesa, ale spojrzenie, którym obdarzył mnie ten mieszcuch, zanim odwrócił się i ze smutkiem od nas odszedł. Znał mnie, wiedział, że też jestem z miasta, choć bardzo się starałem wyglądać na kogoś innego. Gdyby w tym spojrzeniu tkwiło oskarżenie o zdradę, gniew, że stanąłem po stronie obcych przeciw niemu, gdyby było tam coś takiego, nie przejąłbym się wcale, przeciwnie, poczułbym się usatysfakcjonowany, choćby miał temu towarzyszyć wstyd. Nie, zaniepokoił mnie wyraz zgody w jego spojrzeniu, zdradzający jakąś ociężałość brak zadziwienia moją perfidią. Poczulem chęć pobiegnięcia za nim, położenia mu ręki na ramieniu, nie po to, żeby go przeprosić, ani żeby się usprawiedliwić, że pomagałem bliźniakom go upokorzyć, ale żeby znowu na mnie spojrział, albo raczej, żeby wycofał to poprzednie spojrzenie, unieważnił je, wymazał jego ślad z oczu. Trudno mi bowiem było znieść, że ktoś zna mnie tak dobrze jak on. Lepiej niż sam siebie znałem. Gorzej.

Nigdy nie lubiłem, kiedy mnie fotografowano, ale szczególnie, kiedy zdjęcia robiła mi Anna. Dziwne to wyznanie, wiem, ale kiedy stała z aparatem, wydawała mi się ślepcem, coś umierało w jej oczach, gasło jakieś ważne światło. Prawie nie patrzyła przez obiektyw na przedmiot, który fotografowała, raczej zaglądała do wewnątrz, w siebie samą, w poszukiwaniu znaczącej perspektywy, jakiegoś istotnego punktu widzenia. Trzymała aparat nieruchomo na wysokości oczu, wystawiała z boku głowę, patrzyła przez chwilę, jakby ślepo, jakby rysy fotografowanej osoby zostały zapisane alfabetem Braille'a, który potrafiła czytać na odległość; kiedy naciskała migawkę, ruch ten wydawał się czymś całkowicie pozbawionym znaczenia, zaledwie gestem mającym na celu ugłaskanie aparatu. W pierwszych latach naszego związku byłem na tyle nierozważny, że kilka razy dałem się jej namówić do pozowania; wyniki były szokująco surowe, szokująco odkrywcze. W tych jej kilku czarno-białych zdjęciach, kiedy mnie zdjęła od ramion wzwyż – zdjąć, jakże odpowiednie tu słowo – wydawało mi się, że jestem bardziej nagi, bardziej wystawiony na pokaz, niż byłbym w portrecie przedstawiającym całą rozebraną do rosołu postać. Byłem młody, gładki, całkiem przystojny – przemawia przeze mnie skromność – ale na tych zdjęciach wyglądam jak wyrośnięty homunkulus. Nie chodzi o to, że próbowała pokazać mnie jako człowieka brzydkiego czy oszpeconego. Ludzie, którzy widzieli te zdjęcia, mówili, że wyszedłem wyjątkowo korzystnie. Ale ja nie czułem się korzystnie, wcale a wcale. Na tych zdjęciach wyglądałem raczej, jakby mnie ktoś schwycił i przytrzymał, kiedy ja próbowałem się wyrwać, słysząc wokół okrzyki „Łap złodzieja!” Na mojej twarzy malował się wyraz konsekwentnie czarujący i przymilny, spojrzenie szubrawca, który boi się, że zostanie oskarżony o zbrodnię, i dobrze wie, że tę zbrodnię popełnił, choć nie może jej sobie dokładnie przypomnieć, przygotowuje więc na wszelki wypadek usprawiedliwienia i wyjaśnienia. W jakim rozpaczliwym, błagalnym uśmiechu tonąłem! Jakie miałem chytre spojrzenie! Obiektyw

jej aparatu wymierzony był w rokującego nadzieje młodzieńca, ale wywołane odbitki przypominały zdjęcia policyjne wypacykowanego starego oszusta. Naga prawda. Nagość – tak, to też odpowiednie słowo.

Miała dobre oko, rozczarowane, rozczarowujące – prawdziwy dar. Myślę o zdjęciach, które zrobiła w szpitalu, pod koniec, na początku końca, kiedy chodziła jeszcze na zabiegi i miała dość siły, żeby wstać sama z łóżka. Na jej prośbę Claire odszukała aparat, którego długo już nie używała. Perspektywa powrotu do dawnej pasji wywołała we mnie silne, choć niewytłumaczalne obawy. Niepokoiło mnie coś jeszcze, choć znowu nie umiałbym powiedzieć dlaczego: to, że Anna poprosiła nie mnie, a Claire, o przyniesienie aparatu, na dodatek z cichym zastrzeżeniem, że się o tym nie dowiem. Co to miało znaczyć, ta cała konspiracja i potajemne działanie? Claire, która właśnie wróciła na trochę ze studiów za granicą, we Francji, w Holandii, w Vaublin, i gdzieś jeszcze – doznała wstrząsu, kiedy zobaczyła, jak bardzo chora jest matka, zła była na mnie, oczywiście, że nie wezwałem jej wcześniej. Nie powiedziałem jej, że to Anna nie chciała jej powrotu. To też mogło dziwić, bo w przeszłości zawsze były ze sobą blisko. Czyżbym był zazdrosny? Tak, trochę, a jeśli mam być szczery, to nawet bardziej niż trochę. Doskonale zdaję sobie sprawę, czego oczekiwałem, czego oczekuję, po córce, wiem też, jak bardzo samolubne i żalosne jest to oczekiwanie. Wiele się żąda od potomstwa dyletanta. Osiągnie, czego ja nie osiągnąłem, zostanie wielką uczoną, jeśli mam coś w tej kwestii do powiedzenia, a mam. Matka zostawiła jej jakieś oszczędności, ale niewielkie. To ja jestem wielką, tłustą kurą, ciężką od złotych jajek.

Był to czysty przypadek, że zobaczyłem, jak Claire ukradkiem wynosi z domu aparat. Próbowwała wynieść go jak gdyby nigdy nic, ale Claire nie umie udawać, że nic się nie dzieje. Nie twierdzę, że wiedziała, w odróżnieniu ode mnie, dlaczego cała rzecz ma być owiana tajemnicą. Anna zawsze załatwiała nawet najprostsze sprawy w pokrętny sposób, pozostało to jej, jak sądzę, po ojcu i po ich wspólnym krętackim życiu. Miała w sobie coś z dziecka. Była uparta, skryta, a najdrobniejsza ingerencja czy sprzeciw wzbudzały w niej głęboką urazę. I kto to mówi! Wiem, wiem. To dlatego, jak teraz sobie myślę, że byliśmy oboje jedynymi dziećmi. Zabrzmiało to dziwnie. Chciałem powiedzieć, że oboje byliśmy jedynymi dziećmi naszych rodziców. To też brzmi dziwnie. Czy dawałem do zrozumienia, że nie pochwalam jej artystycznych aspiracji (jeśli robienie zdjęć można nazwać zajęciem artystycznym)? Tak naprawdę nie przywiązywałem wagi do jej fotografii, nie miała żadnych podstaw do przypuszczeń, że mógłbym nie udostępnić jej aparatu. Wszystko to jest wielką zagadką.

Ale wróćmy do przerwane go wątku – dzień lub dwa po tym, jak przyłapałem Claire z aparatem, wezwano mnie do szpitala, gdzie powiadomiono mnie z całą powagą, że moja małżonka robiła zdjęcia innym pacjentom i że wpłynęły na nią skargi. W imieniu Anny zarumieniłem się ze wstydu, stojąc przed biurkiem pielęgniarki oddziałowej, czując się jak uczeń zawleczony przed oblicze dyrektora w celu poniesienia kary za cudze występki. Podobno Anna wędrowała po oddziałach, bosa, w spranym białym fartuchu szpitalnym, ciągnąc za sobą stojak z kroplówką – nazywała go pomocnikiem na kółkach – w poszukiwaniu pacjentów dotkliwiej naznaczonych i okaleczonych, a potem przy ich łóżkach parkowała kroplówkę, wyciągała leikę i robiła zdjęcia, dopóki nie zobaczyła jej jakaś pielęgniarka i nie nakazała wracać do sali.

– Powiedzieli ci, kto składał te skargi? – zapytała obrażona. – Na pewno nie pacjenci, najwyżej krewni, ale co oni mogą wiedzieć?

Poprosiła, żebym zaniósł film jej przyjacielowi. Jej przyjaciel Serge, który w dalekiej przeszłości mógł być kimś więcej niż przyjacielem, to krzepki kulejący mężczyzna z piękną czarną grzywą, którą odrzuca z czoła pełnym gracji ruchem swoich wielkich, szorstkich dłoni. Na poddaszu jednego z wysokich i wąskich starych budynków na Shade Street, nad rzeką, ma swoją pracownię. Robi zdjęcia do magazynów mody i sypia z modelkami. Twierdzi, że jest uchodźcą z jakiegoś kraju i lekko sepleni, czemu podobno dziewczęta nie mogą się oprzeć. Nie używa nazwiska, a nawet imię Serge, z tego co wiem, może być jedynie *nom d'appareil*. Należy do tego typu ludzi, z którymi kiedyś się zadawaliśmy, Anna i ja, w dawnych czasach, które wtedy były jeszcze nowe. Dziś nie rozumiem, jak mogłem go znosić; nic tak jak tragedia nie ukazuje blichtru i fałszu naszego świata, naszego byłego świata.

Jest we mnie coś, co nieodparcie rozbawia Serge'a. Wylewa się z niego nieprzerwany strumień wcale niezabawnych dowcipów, które, jestem o tym przekonany, są dla niego pretekstem, żeby mógł się pośmiać, nie sprawiając wrażenia, że śmieje się ze mnie. Kiedy przyszedłem odebrać odbitki, rozpoczął poszukiwania w malowniczym bałaganie pracowni – nie zdziwiłoby mnie, gdybym się dowiedział, że aranżuje ten nieład jak wystawę sklepową – poruszając się zwinnie na nieproporcjonalnie drobnych stopach, pomimo niebezpiecznego przechyłu w lewo przy co drugim kroku. Siorbał kawę z kubka, który wydawał się bez dna, i rozmawiał ze mną, spoglądając przez ramię. Kawa to jego kolejny znak szczególny, obok włosów, kuśtykania i workowatych, białych koszul, jakby zdjętych z Tołstoja, które tak sobie upodobał.

– Jak się ma piękna Annie? – zapytał.

Zerknął na mnie ukradkiem i roześmiał się. Zawsze mówił o niej „Annie”, inaczej niż wszyscy; nie chcę myśleć, że to miłosne zdrobnienie, którym się kiedyś do niej zwracał. Nie powiedziałem mu o chorobie – czemu miałbym mu mówić? Grzebał w chaosie panoszącym się na wielkim stole, który służy mu za biurko. Octowy zapach wywoływacza dolatujący z ciemni drażnił mi nozdrza i oczy. „Powie mi pan, powie pani, co słyhać u Annie”, podśpiewywał sobie, jakby to był jakiś reklamowy dżingiel, i zaśmiał się ponownie stłumionym, nosowym śmiechem. Wyobraziłem sobie, że z krzykiem rzucam się na niego, popycham go pod okno i zrucam na ulicę. Wydał z siebie triumfalny pomruk, podszedł do mnie z grubą szarą kopertą, ale kiedy po nią sięgnąłem, cofnął rękę, taksując mnie wesołkowato badawczym wzrokiem i przekrzywiając głowę.

– Te jej zdjęcia, to wiesz, całkiem, całkiem – powiedział, jedną dłonią waząc kopertę, drugą wymachując niemrawo w ten swój wystudiowany środkowoeuropejski sposób. Przez świetlik nad nami promienie lata spływały na biurko, rozpalając rozrzucone papiery fotograficzne do gorącej białości. Serge potrząsnął głową i zagwizdał bezgłośnie przez zaciśnięte usta.

– Całkiem, całkiem.

Anna, leżąc na szpitalnym łóżku, z niecierpliwością wyciągnęła rękę, rozcapierzając po dziecięcemu palce, i bez słowa wyrwała mi kopertę. Sala była przegrzana i wilgotna, na czole Anny i jej górnej wardze dostrzegłem lśniąca szarą warstewkę potu. Włosy zaczęły jej odrastać, ale bez przekonania, jakby wiedziały, że długo nie będą potrzebne: odrastały kępkami, proste, czarne, tłuste, jak wylizane kocie futerko. Siedziałem na skraju łóżka, patrzyłem, jak rozcina paznokciami zakładkę koperty. Co jest takiego w salach szpitalnych, że potrafią wabić i uwodzić, pomimo tych strasznych rzeczy, które się w nich dzieją? Nie przypominają pokoi hotelowych. Pokoje hotelowe, nawet te urządzone z największym przepychem, są anonimowe; nic nie wskazuje na troskę o gościa, ani łóżko, ani lodówka z alkoholami, ani nawet prasownica do spodni, która z takim szacunkiem stoi na baczność, odwrócona plecami do ściany. Pomimo starań architektów, projektantów, menadżerów, pokoje hotelowe niecierpliwie wyczekują chwili, kiedy je opuścimy; sale szpitalne, przeciwnie, bez niczyjej pomocy są po to, byśmy w nich przebywali, chcieli przebywać, byli zadowoleni. Kojąco przywodzą na myśl pokój dziecienny, z grubą warstwą kremowej farby na ścianach, z gumowanymi podłogami, z miniaturowymi umywalkami w kącie, ze skromnym ręczniczkiem na wieszaku, i z łóżkiem, oczywiście, na kółkach i dźwigienkach, które wygląda jak skomplikowane łóżeczko dla dziecka, można w nim spać i śnić, stać się przedmiotem czyjejś troski, opieki, i nigdy, ale to przenigdy nie umrzeć. Ciekaw jestem, czy mógłbym wynająć taką szpitalną salę, pracować w niej, nawet mieszkać. Warunki wymarzone. Nad ranem wyrzywałaby mnie ze snu radosna pobudka, posiłki wydawane z żelazną regularnością, pościel na łóżka schludna i precyzyjnie naciągnięta jak długa biała koperta, a zespół lekarzy trwa w pogotowiu, by w razie konieczności przystąpić do działania. Tak, byłoby mi tam dobrze, w jednej z tych białych cel, moje okratowane okno, nie, nie okratowane, ponosi mnie, moje okno wyglądałoby na ulicę, na kominy fabryczne, zatłoczone drogi,

przysadziste domki, i te wszystkie figurki biegnące nieustannie tam i z powrotem.

Anna rozłożyła fotografie przed sobą na łóżku i nachyliła się nad nimi namiętnie, jej oczy rozbłysnęły, te oczy, które w tym czasie zdawały się już ogromne i wychodziły wprost z armatury czaszki. Pierwszą niespodzianką było to, że użyła filmu kolorowego, zawsze bowiem wolała zdjęcia czarno-białe. No i same fotografie. Mogłyby zostać zrobione w szpitalu polowym podczas wojny, albo na pogotowiu w jakimś pokonanym i zniszczonym mieście. Na jednym z nich widniał jakiś stary mężczyzna z nogą amputowaną poniżej kolana, gruba linia szwów jak prototyp zamka błyskawicznego przecinała lśniący kikut. Otyła kobieta w średnim wieku pozbawiona piersi, a skóra w miejscu, z którego ją niedawno usunięto, była pomarszczona i zapadnięta jak olbrzymi pusty oczodół. Uśmiechnięta piersiasta matka w koronkowej koszuli nocnej pokazuje dziecko z wodogłowiem, z wyrazem zadziwienia w oku wylupiastym, jak u wydry. Artretyczne palce staruszki zrobione w zbliżeniu były powykręcane i guzowate jak korzeń imbiru. Chłopiec z wytłoczonym na policzku rakiem skóry, o fakturze skomplikowanej jak mandala, uśmiechał się do obiektywu, uniósł dwie pięści i pokazał dwa uniesione do góry kciuki, i impertynencko wystawił gruby język. Było też zdjęcie metalowego kubła z kawałkami i włóknami niemożliwego do zidentyfikowania, ciemnego, wilgotnego mięsa – resztki z kuchni czy z sali operacyjnej?

Najbardziej jednak w ludziach przedstawionych na tych fotografiach uderzyło mnie, że tak spokojnie i z uśmiechem demonstrują swoje rany, szwy, zaropiałe miejsca. Pamiętam szczególnie dobrze duże i na pierwszy rzut oka formalne studium w wyrazistych odcieniach plastikowego różu, fioletoów, brązów oraz lśniących szarości, zrobione z naprzeciwna wezglowia łóżka, grubej, starej rozczochranej kobiety z uniesionymi niekształtnymi nogami pokrytymi żyłakami i rozstawionymi kolanami, pokazującej coś, co wziąłem za wypadłą macicę. Kompozycja była tak uderzająca i starannie wykonana, że przypominała frontysepis jednej z profetycznych ksiąg Blake'a. Centralne miejsce, odwrócony trójkąt, ograniczony z dwu stron uniesionymi nogami kobiety, a u góry skrajem jej białej koszuli nocnej naciągniętej mocno między kolanami, mogło być białą przepaską z pergaminu, która za chwilę ma być pokryta płomienną inskrypcją, zwiastującą być może niby narodziny tego różowo-ciemnofioletowego czegoś, co zaczęło wyłaniać się spomiędzy jej ud. Ponad tym trójkątem głowa kobiety, przypominająca głowę Meduzy, zdawała się dzięki subtelnemu skróceniu perspektywy odcięta i uniesiona, przesunięta do przodu i złożona na tej samej płaszczyźnie co jej kolana, a wyrazisty pniak jej szyi zdawał się balansować na prostej linii brzegu koszuli, która tworzyła podstawę odwróconego trójkąta. Mimo pozycji, w jakiej się znalazła, twarz wydawała się doskonale spokojna, może się nawet uśmiechała, w dowcipnie lekceważący sposób, z pewnym zadowoleniem, i, tak, tak, z pewną zdecydowaną dumą. Przypomniałem sobie, jak pewnego dnia szliśmy z Anną, kiedy wypadły jej już wszystkie włosy, a ona zobaczyła na chodniku po drugiej stronie ulicy kobietę, która też była łysa. Nie wiem, czy Anna dostrzegła, że przyglądam się wymianie spojrzeń między nimi dwiema, martwych spojrzeń, a jednocześnie ostrych, chytrych, współwinnych. W ciągu niekończących się dwunastu miesięcy jej choroby, nigdy, jak sądzę, nie

czułem się od niej dalszy niż w tamtej chwili, brutalnie odepchnięty na bok przez poczucie solidarności dotkniętych nieszczęściem sióstr.

– No i? – zapytała, nie odrywając wzroku od zdjęć, nie próbując nawet spojrzeć na mnie. – Co o tym myślisz?

Nie obchodziło jej, co myślę. Już przekroczyła próg, za którym nie było ani mnie, ani moich sądów.

– Pokazywałaś je Claire? – zapytałem.

Dlaczego to pytanie przyszło mi pierwsze do głowy?

Udała, że nie słyszy, a może rzeczywiście nie słuchała. Gdzieś w budynku brzęczał dzwonek, jak mały nieustający ból, który stał się słyszalny.

– Są moim dossier – powiedziała. – Moim oskarżeniem.

– Twoim oskarżeniem? – zapytałem bezradnie, odczuwając niejasną panikę. – Oskarżeniem czego?

Wzruszyła ramionami.

– Ech, wszystkiego – powiedziała łagodnie. – Wszystkiego.

Chloe, jej okrucieństwo. Plaża. Pływanie o północy. Jej zaginiony sandał, tej nocy w drzwiach sali tańców, pantofelek Kopciuszka. Wszystko minęło. Wszystko stracone. Nie ma znaczenia. Zmęczenie, zmęczenie, alkohol. Nie ma znaczenia.

Przeżyliśmy burzę. Szalała przez całą noc, do późnego ranka, coś niezwykłego, jeśli chodzi o gwałtowność i długość, niczego takiego wcześniej nie doświadczyłem w tych regionach o umiarkowanym klimacie. Sprawiała mi wielką przyjemność, siedziałem na zdobionym łóżku jak na katafalku, jeśli rzeczywiście o to słowo mi chodzi, pokój wokół mnie migotał, a niebo dudniło z wściekłością, wyłamując sobie kości. W końcu, pomyślałem, w końcu, żywioły osiągnęły ten stan wspaniałości, który odpowiada mojemu wewnętrznemu wrzeniu! Czułem się przepoczwarzony, czułem się, jakbym był jednym z wagnerowskich półbogów, jakbym siedział wysoko na chmurze i ciskał pioruny, dyrygując grzmiącymi akordami, brzękiem niebiańskich cymbałów. W tym nastroju teatralnej euforii, naelektryzowany od oparów brandy i wyładowań, zastanawiałem się nad swoim położeniem w nowym, okrepionym świetle. Chodzi mi o moją ogólną pozycję. Zawsze towarzyszyło mi przekonanie, odporne na wszystkie racjonalne argumenty, że w pewnej nieokreślonej chwili w przyszłości ta niekończąca się próba generalna, jaką jest moje życie, z tyłoma błędami, pomyłkami, potknięciami, skończy się i że prawdziwy dramat, do którego od zawsze i z taką powagą się przygotowywałem, w końcu się rozpocznie. To powszechna iluzja, wiem o tym, każdy ją w sobie hołubi. Ale ostatniej nocy, w samym środku tego widowiskowego pokazu rozdrażnionych mieszkańców Walhalli, zastanawiałem się, czy czasem ta chwila mojego, powiedzmy, „wejścia na scenę” nie zbliża się już dużymi krokami. Nie wiem, jak się ono dokona, jak będzie wyglądał ten dramatyczny skok w sam środek akcji, ani co konkretnie może się wydarzyć na scenie. Ale przewiduję swego rodzaju apoteozę, jakiś wspaniały punkt kulminacyjny. Nie mówię tu o pośmiertnej transfiguracji. Nie wierzę w możliwość życia po życiu, ani w żadne bóstwo, które mogłoby mi je zaoferować. Biorąc pod uwagę stworzony przez Boga świat, wiara w Niego byłaby oznaką braku szacunku. Nie, czekam na chwilę ziemskiej ekspresji. Właśnie na to, dokładnie na to; na

moment, kiedy wyrażę się całkowicie. Zostanę wygłoszony, jak szlachetna mowa wieńcząca dzieło. Będę, jednym słowem, wypowiedziany. Czy nie to było od zawsze moim celem, a wręcz: czy nie to jest ukrytym celem nas wszystkich, żeby nie być już istotami cielesnymi, ale przekształcić się całkowicie w pajęczynę niepodlegającego cierpieniu ducha? Trzask, huk, wstrząs, trzęsienie ziemi.

À propos: łóżko, moje łóżko. Panna Vavasour twierdzi, że zawsze tu było. A państwo Grace'owie? Spali w nim, w tym właśnie łóżku? Takie myśli przychodzą człowiekowi do głowy, nie wiem, co z nimi zrobić. Przestać myśleć, to najlepsze rozwiązanie; a raczej, najmniej niepokojące.

Kolejny tydzień już za mną. Jak szybko mija czas, kiedy nadciąga nowa pora roku, ziemia pędzi w swojej koleinie ku raptownie zstępującemu finałowi. Pomimo niezmiennej łagodności pogody pułkownik czuje, że nadchodzi zima. Ostatnio nie czuł się najlepiej, mówi, nabawił się kataru nerek. A ja, że na to samo cierpiała moja matka – „to była jedna z jej ulubionych chorób”, tego nie dodaję – ale obrzuca mnie dziwnym spojrzeniem, podejrzewając zapewne, że sobie z niego dworuję, i być może ma rację. Czym jest katar nerek? Mama, podobnie jak pułkownik, nie precyzowała tego określenia, a nawet *Słownik medyczny Blacka* nie służy tu żadnym wyjaśnieniem. Może chce mi w ten sposób powiedzieć, że jego częste wizyty w ubikacji w dzień i w nocy są właśnie skutkiem tej przypadłości, a nie czegoś poważniejszego, czego się mogę domyślać.

– Nie jestem w najlepszym stanie – mówi. – To fakt.

Na posiłki zaczął przychodzić opatulony grubym, ciepłym szalem. Apatycznie dziobie sztuccami w jedzeniu, a nawet najbardziej niewinne żarty kwituje smętnym, cierpiętniczym spojrzeniem, które opada przy akompaniamencie ledwo słyszalnego westchnienia, prawie jęku. Czy już opisałem jego fascynująco chromatyczny nos? Zmienia barwę z każdą porą dnia i z najdrobniejszą nawet zmianą pogody, przechodząc od bladej lawendy poprzez burgund do głębokiej monarszej purpury. Czy to *rhinophyma*, zacząłem się zastanawiać, czy to te słynne grogowe narośla doktora Thomsona? Panna Vavasour sceptycznie podchodzi do jego dolegliwości i robi do mnie miny, kiedy pułkownik nie patrzy. Chyba traci wiarę w to, że zdobędzie jej względy. W jasnożółtej kamizelce, której dolny guzik jest zawsze skrupulatnie odpięty, a ostro zakończony poły odsłaniają jego kształtny brzuszek, jest równie skupiony i ostrożny, jak jeden z tych cudacznie upierzonych ptasich samców, paw lub bażant, które w całej krasie paradują tam i z powrotem, w pewnym oddaleniu, w oku mają błysk desperacji, ale udają obojętność, kiedy bura samiczka nie zwraca na nich uwagi i wydziobuje ze źwiru pędraki. Panna V. odtrąca jego ociężałe, wstydlive zaloty z rozdrażnieniem i zażenowaniem. Ze zranionych spojrzeń, jakie jej rzuca, wnoszę, że wcześniej dawała mu jakieś podstawy do nadziei, ale te podstawy, ten grunt zaczął usuwać mu się spod stóp, kiedy ja się pojawiłem i zostałem świadkiem jej szaleństwa, i że teraz zła jest na siebie samą, i chce, bym przekonał się, że to, co pułkownik brał za oznaki zachęty, tak naprawdę było tylko przejawem zawodowej grzeczności gospodyni domu.

Sam często nie bardzo wiedząc, co począć z czasem, zastanawiałem się, jak może wyglądać typowy dzień pułkownika. Wstaje rano, męczy go bowiem bezsenność, a chwile wymownej ciszy, wzruszanie ramion i zaciśnięte usta mają być dla nas dowodem istnienia skarbnicy koszmarów z pola bitwy, które powstrzymałyby przed zaśnięciem nawet nieszczęśnika cierpiącego na narkolepsję, choć podejrzewam, że złe wspomnienia, które go dręczą, to wspomnienia doświadczeń zdobytych wcale nie w dalekich koloniach, ale gdzieś bliżej domu, na przykład na gościńcach i podziurawionych od pocisków drogach bocznych na południu hrabstwa Armagh. Śniadanie spożywa sam, siedząc przy małym stoliku w niszy kominkowej w kuchni – nie, nie pamiętałem kominka, że już o niszy nie wspomnę – samotność była preferowanym sposobem spożywania posiłku, który często i pompatycznie nazywał „najważniejszym posiłkiem dnia”. Panna Vavasour z przyjemnością zostawia go w spokoju, podaje mu plasterek boczku, jajka i kaszankę w ironicznym milczeniu. Ma własny zestaw przypraw, nieopatrzony etykietami buteleczki z brązową, czerwoną i ciemnozieloną mialką zawartością, którą sypie na pożywienie z alchemiczną precyzją miary. Ma też pastę, którą sam przygotowuje, nazywa ją klapsem – to breja w kolorze khaki, która składa się z anchois, curry, sporej dawki pieprzu i innych nienazwanych składników; pachnie, co dziwne, jak pies. Świetnie przeczyści mi torbę, stwierdza. Dopiero po jakimś czasie zdaje sobie sprawę, że ta torba, o której tak często mówi, choć nigdy w obecności panny V., to żołądek i otoczenie. Nigdy nie zapomina o stanie swojej torby.

Po śniadaniu przychodzi pora na poranną przechadzkę, która odbywa się bez względu na pogodę, po Station Road i wzdłuż Cliff Walk, obok baru Na Molo i z powrotem długą okrężną drogą koło domków przy latarni i kiosku, gdzie zatrzymuje się, żeby kupić poranną gazetę i opakowanie ekstramocnych miętówek, które ssie przez cały dzień i których słaby, mdlący zapach przenika cały dom. Stąpa bardzo energicznie, starając się, jestem tego pewien, przybrać posturę wojskowego, chociaż kiedy zobaczyłem go pierwszego dnia rano, gdy zbierał się do wyjścia, zauważyłem ze zdziwieniem, że przy każdym kroku wyrzuca lewą stopę w bok i zatacza nią małe półkole, dokładnie tak, jak robił to mój dawno utracony ojciec. Przez pierwszy tydzień lub dwa mojego pobytu zawsze przynosił pannie Vavasour z tych marszobiegów pamiątkę, nic wymyślnego, ani słodkiego, wachlarz rdzawych liści lub zieloną gałązkę, po prostu przyrodniczą ciekawostkę, którą kładł bez słowa na stoliku w holu obok ogrodowych rękawic i dużego pęku kluczy. Teraz wraca z pustymi rękoma, jeśli nie liczyć gazety i miętówek. To moja sprawka: mój przyjazd położył kres ceremonii bukietów.

Gazeta pożera resztę jego poranka, czytają od deski do deski, zdobywając informacje, niczego nie pomijając. Siedzi przy kominku w salonie, gdzie zegar na gzymsie tyka niepewnie, w geriatrycznym rytmie, i zatrzymuje się co piętnaście minut, by rozbrzmieć pojedynczym, kalekim dzwonkiem, ale o każdej pełnej godzinie zachowuje mściwą, jak się wydaje, ciszę. Ma swój fotel, szklaną popielniczkę do fajki, pudełko zapalek Swan Vesta, podnózek, stojak na gazety. Czy zauważa miedziane promienie słońca, które wpadają przez szyby w ołowianych ramkach wykuszowego okna, czy widzi bukiet suszonych hortensji o kolorze morza i czułego krwistego brązu postawiony na palenisku, gdzie mimo pory roku nie trzeba było jeszcze rozpalać pierwszego ognia? Czy widzi, że świat, o którym czyta w gazecie, nie jest już światem, który znał? Być może teraz całą energię, podobnie jak ja, zużywa na usilne próby, żeby tego nie dostrzegać? Zauważyłem raz, przypadkiem, jak żegna się po kryjomu na głos dzwonu bijącego na Anioł Pański z kamiennego kościółka przy Strand Road.

W porze lunchu pułkownik i ja musimy radzić sobie sami, bo panna Vavasour codziennie między południem a trzecią udaje się do swojego pokoju, żeby się przespać, lub poczytać, lub popracować nad swoimi wspomnieniami – nic by mnie nie zdziwiło. Pułkownik należy do gatunku przeżuwaczy. Siedzi przy stole kuchennym w koszuli i staromodnym bezrękawniku, przeżuwając nienajlepiej zrobioną kanapkę – jest to zazwyczaj bryła sera lub plaster pieczeni między kromkami grubymi jak podkładki pod drzwi, posmarowane jego „klapsem” lub udekorowane bohomazem najostrożniejszej musztardy Colemana, a czasami i jedno, i drugie, jeśli pułkownik poczuje potrzebę czegoś bardziej wybuchowego – i robi podchody do rozmowy ze mną, jak przebiegły dowódca połowy szukający wysuniętych pozycji obronnych nieprzyjaciela. Trzyma się neutralnych tematów, pogoda, imprezy sportowe, wyścigi konne, choć zarzeka się, że nie bawią go zakłady. Mimo że zachowuje wobec mnie rezerwę, widać jak na dłoni, jakie są jego potrzeby: boi się wieczorów, tych pustych godzin, tak jak ja boję się bezsennych nocy. Nie może mnie rozpracować, chciałby wiedzieć, co tak naprawdę tu robię, ja, który mógłbym być wszędzie, gdybym chciał, a przynajmniej tak mu się wydaje. Który mógłbym pozwolić sobie na wyrzewanie się na upalnym południu – „Słońce to jedyny lek na bóle i przypadłości”, twierdzi pułkownik – a przyjeżdża, by pogрузić się w żałobie w Domu pod Cedrami? Nie powiedziałem mu o dawnych czasach, kiedy tu przyjeżdżałem, o Grace’ach, o całej tej historii. Nie twierdzą zresztą, że cała ta historia to jakieś wytłumaczenie. Wstaję, żeby wyjść – „Praca czeka”, oznajmiam uroczyście – a on spogląda na mnie rozpaczliwym wzrokiem. Nawet moje powściągliwe towarzystwo jest dla niego czymś lepszym niż własny pokój i radio.

Przypadkowa wzmianka o mojej córce pobudziła go do opowieści. On także ma córkę, zamężną, która, jak mówi, ma dwa maleństwa. Lada dzień zjadą tu z wizytą, córka, mąż inżynier i dziewczynki, siedem lat i trzy. Czuję, że za chwilę pojawią się fotografie i rzeczywiście z tylnej kieszeni wydobyty zostaje portfel, pokazane są zdjęcia, a na nich młoda kobieta o szorstkiej powierzchowności, z miną niezadowolenia, nie przypomina w niczym pułkownika, i mała dziewczynka w strojnej sukience, która, niestety, go przypomina. Zięć szczyrzy zęby na plaży, trzymając niemowlę na rękach, zaskakująco przystojny, szeroki w barach, typ południowca z oleistym czubem i podsiniaczonymi oczyma – jak udało się tej myszce, pannie Blunden, zdobyć takiego krzepkiego chłopca? Inne światy, inne losy. Nagle czuję, że nie mogę już dłużej na nich patrzeć, na córkę pułkownika, jej męża, ich córki, i oddaję szybko zdjęcia, kręcąc głową.

– Och, bardzo mi przykro – mówi pułkownik, chrząkając z zażenowania.

Wydaje mu się, że rozmowa o rodzinie rozbudziła we mnie bolesne wspomnienia, ale to nie to, a może: nie tylko to. Ostatnio muszę przyjmować to, co świat ma mi do zaoferowania, w małych i uważnie odmierzonych dawkach, to swego rodzaju homeopatyczna kuracja, którą przechodzę, choć nie jestem pewien, co miałyby wyleczyć. Być może ucę się znowu żyć pośród żywych. Ćwiczę się w tym. Ale nie, to nie to. To, że tu jestem, wynika po prostu z potrzeby, żeby nigdzie nie być.

Panna Vavasour, która w pewnych aspektach tak pracowicie wywiązuje się z obowiązku opieki nad nami, jest kapryśna, by nie powiedzieć wprost: niefrasobliwa, nie tylko jeśli chodzi o lunchy, ale też ogólnie o posiłki, zwłaszcza kolacja w Domu pod Cedrami może być zupełnie nieprzewidywalną ucztą. Na stole może pojawić się wszystko.

I pojawia się. Dziś wieczorem, na przykład, podała nam wędzone śledzie z jajkami w koszulkach i gotowaną kapustę. Pułkownik prychał ostentacyjnie i bawił się buteleczkami pełnymi przypraw. W odpowiedzi na te jego bezsłowne protesty panna Vavasour przybierała arystokratyczną pozę osoby roztargnionej lub nieprzytomnej, co było oczywistym wyrazem lekceważenia. Po śledziach podano gruszki w ziarnistej, szarej, ciepławej substancji, która to kaszka, jeśli nie zwodzą mnie wspomnienia z dzieciństwa, nazywa się semolina. Semolina, wielki Boże! Kiedy próbowaliśmy uporać się z tą papką, a ciszę przerywał tylko brzęk sztućców, wyobraziłem sobie siebie samego jako jakąś wielką, ciemną, małą istotę rozwaloną na krześle przy stole, a może nie istotę, ale jako wielkie nic, jako dziurę w pokoju, dotykającą nieobecność, ciemność widzialną. Bardzo dziwne. Widziałem całą scenę, jakbym się jej przyglądał z zewnątrz: jadalnia w półmroku, oświetlona tylko dwiema zwykłymi lampami, ohydny stół z toczonymi nogami, panna Vavasour o nieobecnych spojrzeniu, pułkownik nachylony nad talerzem, odsłaniający górną szczękę podczas przeżuwania, i ja, ten wielki, ciemny, niewyraźny kształt, jak postać, której nie widzi żaden uczestnik seansu spirytystycznego, dopóki nie wywołany zostanie dagerotyp. Myślę, że staję się swoim własnym duchem.

Po kolacji panna Vavasour sprząta ze stołu w kilku teatralnych, fantastycznych wypadach – jest zdecydowanie za dobra na tego typu niewdzięczne obowiązki – pułkownik zaś i ja siedzimy pogrążeni w niejasnym jakimś bólu, słuchając, jak nasze układy trawienne poradzą sobie ze zniewagą, którą właśnie je potraktowano. Potem panna Vavasour dostojnym krokiem prowadzi nas do pokoju telewizyjnego. To przygnębiające, źle oświetlone pomieszczenie, w którym panuje podziemny klimat, zawsze wilgotne i zimne. Nawet meble mają podziemny charakter, przypominając przedmioty, które zsunęły się tu z biegiem lat z jakiegoś jaśniejszego miejsca nad nami. Kanapa pokryta perkalem wygląda jakby ją ktoś przeraził, jej ramiona są rozłożone szeroko, a poduszki zwisają po bokach. Stoi tu też fotel obity tartanem, mały trzypożny stolik z zakurzoną roślinką w doniczce – przypuszczam, że to prawdziwa aspidistra, nie widziałem takiej od niepamiętnych czasów, a może nigdy. Pianino panny Vavasour z zamkniętą kłapą stoi na tle ściany, jakby z zaciśniętymi ustami ukazywało pogardę swojemu jarmarczemu rywalowi po drugiej stronie pokoju, potężnemu telewizorowi Pixilate Panorامية w kolorze armatniego spiżu, na który właścicielka patrzy z mieszaniną dumy i lekko zawstydzonej obawy. Na tym odbiorniku oglądamy seriale komediowe, wybierając co łagodniejsze, które powtarzane są od dwudziestu lub trzydziestu lat. Siedzimy w milczeniu, w naszym imieniu śmieje się nagrana w studiu widownia. Rozedrgane barwne światło z monitora bawi się na naszych twarzach. Jesteśmy urzeczeni, bezmyślni jak dzieci. Dziś wieczorem był program o Afryce, o równinie Serengeti, jeśli dobrze pamiętam, i żyjących tam wielkich stadach słoni. Co to za niezwykle zwierzęta, bezpośredni łącznik z czasem, który dawno minął, zanim nastał nasz czas, kiedy olbrzymy większe nawet niż one wyły i szalały w lasach i na trzęsawiskach. W sposobie bycia są melancholikami, ale wydaje się, że ukradkiem śmieją się – z nas. Człapią spokojnie gęsiego, końcówka trąby jednego z nich wdzięcznie zwinięta wokół śmiesznego świńskiego

ogonka krewniaka idącego przodem. Młode, bardziej owłosione niż dojrzałe osobniki, drepczą z zadowoleniem między nogami matek. Gdybyśmy mieli znaleźć pośród innych ziemskich stworzeń, a przynajmniej pośród stworzeń lądowych, nasze przeciwieństwo, nie musielibyśmy szukać dalej. Jak to się stało, że pozwoliliśmy im przetrwać tak długo? Te smutne, wszystkowiedzące oczy wydają się domagać od nas, byśmy poszukali rusznicy. Tak, niech trafi w nie wielka kula, albo w jedno z tych olbrzymich, absurdalnie łopoczących uszu. Tak, tak, wyćpić wszystkie te bestie, wyciąć wszystkie konary tego drzewa życia, aż zostanie tylko pniak, a w końcu z miłością przyłożyć siekiere także do niego. Niech nic nie zostanie.

Ty pizdo, ty jebana pizdo, jak mogłaś odejść i zostawić mnie tak, żebym się pławił we własnym plugastwie, gdzie nikt mnie przede mną samym nie uratuje. J a k m o g ł a ś .

A skoro mowa o pokoju telewizyjnym, nagle zrozumiałem, że nie mam pojęcia, dlaczego nie uderzyło mnie to wcześniej, przecież to takie oczywiste, że przypomina mi on, że cały ten dom mi przypomina – dlatego właśnie przyjechałem tu się ukryć – wynajęte pokoje, w których z matką mieszkaliśmy, musieliśmy mieszkać, przez całe moje szczeniące lata. Kiedy porzucił nas ojciec, musiała szukać pracy, żeby nas oboje utrzymać, i opłacić moją edukację, jakakolwiek ona była. Przenieśliśmy się do miasta, gdzie wydawało jej się, że otworzy się przed nią więcej możliwości. Nie miała żadnego przygotowania zawodowego, wcześniej zakończyła szkołę, pracowała krótko jako ekspedientka, zanim spotkała mojego ojca i poślubiła go, żeby uciec od swojej rodziny, a mimo to wierzyła, że gdzieś czeka na nią wymarzona posada, praca nad pracami, którą ona i tylko ona mogłaby wykonywać, ale której nigdy nie mogła znaleźć, co doprowadzało ją do szaleństwa. Przenosiliśmy się więc z miejsca na miejsce, z jednego mieszkania do drugiego, a do nowego lokum wprowadzaliśmy się zawsze, jak mi się wydawało, w deszczowe niedzielne popołudnie zimą. Wszystkie wyglądały tak samo, mówię o tych pokojach, a przynajmniej wyglądają tak samo w mojej pamięci. Stał w nich zawsze fotel ze złamanym podłokietnikiem, ospowate linoleum leżało na podłodze, przysadzisty czarny piecyk gazowy tkwił ponuro w kącie, wydzielając zapach smażenia poprzedniego lokatora. Toaleta była na końcu korytarza, z odrapanym drewnianym sedesem i podłużną, rdzawobrazową plamą w tylnej części muszli, i z łańcuszkiem, na którym brakowało metalowego kółka. Zapach, jaki unosił się w korytarzu, przypominał mi zapach dochodzący z moich ust, kiedy wydychałem i wdychałem powietrze w stulone dłonie, próbując poznać, czym byłaby śmierć przez uduszenie. Błat stołu, przy którym jedliśmy, był zawsze wyczuwalnie lepki, choćby szorowała go z całej siły. Po podwieczorku odnosiła do kuchni naczynia i rozkładała „Evening Mail”, na stole, pod słabym światłem sześćdziesięciowatówki, i szpilką do

włosów przesuwała po stronie z ogłoszeniami o pracy, zaznaczając każde, mrużąc gniewnie pod nosem:

– Wymagane doświadczenie... prosimy załączyć referencje... wyższe wykształcenie... Ech!

Potem tłusta talia kart, zapalki równo podzielone na dwie kupki, cynowa popielniczka, z której sypały się niedopałki, kakao dla mnie, kieliszek taniej sherry dla niej. Graliśmy w oczko, w wojnę, w makao. Potem trzeba było rozłożyć kanapę, naciągnąć mocno skwaśniałe prześcieradło i zawiesić jakimś cudem koc u sufitu, żeby strzegł prywatności jej części łóżka. Leżałem i słuchałem w bezradnym gniewie jej westchnień, pochrapywań, serii puszcanych przez nią wiatrów. Co drugą noc, wydawało mi się, budził mnie jej płacz. Łkała z pięścią przyciśniętą do ust, z twarzą zagrzebaną w poduszce. Niemal nie wspominaliśmy ojca, chyba że spóźniał się z miesięcznymi alimentami. Nie mogła zdobyć się na wymówienie jego imienia, był Panem Jimem, albo jego Lordowską Mością, albo, kiedy wpadała we wściekłość lub wypła za dużo sherry, Palantem Muzykantem, a nawet Skurczygrajkiem. Chodziło o to w tych określeniach, że odniósł wspaniały sukces, w „tamtych stronach”, sukces, którego ten brutal nie chciał z nami dzielić, jak powinien i jak na to zasługiwaliśmy. Na kopertach z przekazami pieniężnymi – nigdy nie były to listy, czasem tylko kartka na Gwiazdkę, albo na moje urodziny, z życzeniami starannie wykaligrafowanymi pismem, z którego zawsze był dumny – były stemple z nazwami, które nawet dzisiaj, kiedy jestem w „tamtych stronach”, i widzę je na ustawionych przy szosie tablicach, do których powstania się przyczynił, wywołują we mnie mieszane uczucia: trudny smutek, gniew, albo jego następstwa, oraz dziwną tęsknotę bliską nostalgii, nostalgii za dalekim miejscem, gdzie nigdy nie byłem. Watford. Coventry. Stoke. On też z pewnością poznał obskurne pokoje, linoleum na podłodze, piecyki gazowe, zapachy w korytarzu. Potem przyszedł ostatni list, od nieznanym kobiecie – Maureen Strange, czyli „obca”, co za nazwisko! – z tą „smutną wiadomością, którą z bólem muszę się z wami podzielić”. Gorzkie łzy matki były tyleż wyrazem gniewu, co rozpaczy.

– Kim jest ta osoba? – krzyczała. – Ta Maureen? – Pojedyncza kartka papieru w błękitną linię drżała w jej dłoni. Niech go zaraza – powiedziała przez zaciśnięte zęby. – Niech go zaraza, tego sukinsyna!

Zobaczyłem go przez chwilę w wyobraźni, w domku letniskowym, nocą, jak odwraca się na tle otwartych drzwi w gęstej, żółtej poświacie lampy naftowej i spogląda na mnie dziwnie badawczym wzrokiem, niemal z uśmiechem, plamka światła od lampy świeci się na jego czole, a za nim, za drzwiami, aksamitny bezdenny mrok letniej nocy.

Ostatni punkt dnia: kiedy stacje telewizyjne szykują się do emisji swoich absurdalnie chorych programów nocnych, odbiornik zostaje wyłączony, a pułkownik dostaje filiżankę herbaty ziołowej, którą przygotowała mu panna Vavasour. Mówi, że nie cierpi tego naparu – „Ale o tym ani słowa!” – boi się jednak jej odmówić. Kiedy pije, panna Vavasour stoi nad nim. Twierdzi, że to dobre na sen, ale on, tkwiąc w ponurym nastroju, jest przekonany, że jest wprost przeciwnie, nie protestuje jednak i wypija wywar z miną straceńca. Pewnego wieczoru namówiłem go, żeby poszedł ze mną do baru Na Molo na jednego mocniejszego przed snem, ale to była pomyłka. W moim towarzystwie czuł się niepewnie – nie mam mu tego za złe, też często unikam ludzi – majstrował coś przy swojej fajce, kręcił kuflem portera i co chwila dyskretnie odsuwał mankiet, żeby zerknąć na zegarek. Kilku miejscowych gapiło się na nas spode łba, wkrótce więc wyszliśmy i pomaszzerowaliśmy do Cedrów w ciszy pod rozległym październikowym niebem z gwiazdami, latającym księżycem i postrzępionymi chmurami. Nocą zazwyczaj upijam się do snu, albo przynajmniej próbuję się upić, kilkoma kieliszkami brandy z wielkiej butli najlepszego napoleona, którą trzymam w pokoju. Mógłbym zaproponować mu kieliszeczek, ale nie mam ochoty. Perspektywa nocnych pogawędek z pułkownikiem na temat życia i podobnych spraw jakoś do mnie nie przemawia. Noc jest długa, a mój rozum, cóż, bywa krótki.

Mówiłem już o moim pijaństwie? Piję jak ryba. Nie, mówi się „jak szewc”, ryby przecież nie piją, tylko oddychają, na swój sposób oddychają. Piję jak człowiek niedawno owdowiały – owdowiecony? – jak człowiek o niewielkim talencie i jeszcze mniejszej ambicji, któremu wiek przyprószył skronie, jak ktoś niepewny, zagubiony, potrzebujący pociechy i krótkiej chwili wytchnienia w alkoholowym zapomnieniu. Brałbym prochy, gdybym je miał, ale nie mam, i nawet nie wiem, gdzie mógłbym je zdobyć. Nie sądzę, żeby Ballyless mogło poszczycić się jakimś dilerem. Może pomógłby mi Ptaszek Devereux. Ten Ptaszek to przerażający gość o wielkich barach i klatce piersiowej jak beczka, z wielką, prostacką, ogorzałą twarzą i krzywymi rękoma jak u goryla. Twarz ma dziobatą po dawnym trądziku lub ospie, w każdy dzień wżarła się drobina świecącego, czarnego brudu. Był kiedyś marynarzem pływającym po dalekich morzach i, jak mówią, zabił człowieka. Ma sad, w którym mieszka w pozbawionej kół przyczepie, wprost pod drzewami z tą swoją chudą jak chart żoną. Sprzedaje jabłka i potajemnie, zawieszając, siarkową księżycówkę, zrobioną z jabłek ze spadów, która w sobotnie wieczory doprowadza wioskowych młodzieńców do szaleństwa. Dlaczego tak o nim mówię? Czym jest dla mnie ten Ptaszek Devereux? W tych stronach wymawia się x, dlatego mówią *Devreks*. Nie mogę przestać. Jak szybko rozbisurmania się niestrzeżona wyobraźnia.

Dzisiaj pojaśniało, jeśli to właściwe określenie, z powodu wizyty przyjaciółki panny Vavasour, Bun, która przyjechała do nas na niedzielny lunch. Natknąłem się na nią w południe w holu, wypełniała do cna wiklinowy fotel przy wykuszowym oknie, bujając się i cicho sapiąc. Miejsce, w którym usiadła, zalane było promieniami słońca, gęstymi jak dym, i początkowo nie dostrzegłem jej sylwetki, choć po prawdzie trudno było ją przeoczyć, jak zmarłą niedawno królową Tonga. To olbrzymka w nieokreślonym bliżej wieku. Ubrana była w workową tweedową suknię mocno ściągniętą w talii paskiem, dzięki czemu wyglądała, jakby ją ktoś napompował i lada chwila jej piersi i biodra miały wybuchnąć, na domiar tego wystawiła przed siebie krótkie, grube nogi o korkowej barwie, jak dwa gigantyczne szpunty. Drobną, słodką twarzyczką, o delikatnych rysach i różowych rumieńcach, tkwi w wielkim szarym cieście, jakim jest jej głowa, to cudownie zachowane skamieniałości dziewczęcia, którym niegdyś była, bardzo dawno temu. Jej popielatosiwe włosy uczesane były w staroświeckim stylu, przedzielone pośrodku i ściągnięte do tyłu w eponimiczny koczek (wszak jej imię, Bun, oznacza kok). Uśmiechnęła się do mnie, skinęła głową na powitanie, a upudrowane fałdy jej szyi zatrzęsły się jak korale zdobiące indyczkę. Nie wiedziałem, kim jest, myślałem, że jest nowym gościem – o tej porze roku, po sezonie, panna Vavasour ma do wynajęcia kilka wolnych pokoi. Kiedy wstała, wiklinowy fotel jęknął z ulgi. Naprawdę ma niesamowite cielsko. Pomyślałem sobie, że gdyby sprzączka nie wytrzymała i pasek się nagle odpiął, jej ciało wydełoby się i przybrało idealnie sferyczną postać, zwieńczoną głową jak wielka wiśnia na ciasteczku (czy dlatego, że *bun* znaczy także ciasteczko?). Ze spojrzenia, którym mnie obdarzyła, z tej mieszaniny współczucia i wścibskiego zainteresowania, domyśliłem się, że wie, kim jestem, i że powiadomiono ją o mojej udręce. Przedstawiła mi się, podała jakieś wspaniale brzmiące dwuczłonowe nazwisko, które natychmiast wyleciało mi z głowy. Dłoń miała drobną, miękką, wilgotną i ciepłą, jak

rączka małego dziecka. Pułkownik Blunden wszedł w tym momencie do pokoju, z niedzielnym wydaniem gazety pod pachą, spojrzął na nią i zmarszczył czoło. Kiedy to robi, żółtawe białka jego oczu wydają się ciemnieć, a usta, wysuwając się, przybierają kształt kanciastego kagańca.

Jedną z koszmarnych konsekwencji żałoby jest krępujące uczucie, że nie jestem tym, za kogo się podaję. Po śmierci Anny wszędzie się raną zajmowano, spełniano moje życzenia, darzono mnie szczególnymi względami. Otaczały mnie stłumione rozmowy, kiedy przebywałem wśród ludzi, którzy wiedzieli o moim nieszczęściu, nie miałem więc innego wyboru, jak tylko zachowywać w zamian dostojną i refleksyjną ciszę, która wkrótce zaczęła mnie irytować. Zaczęło się to szczególnie traktowanie już na cmentarzu, jeśli nie wcześniej. Z jaką czułością patrzyli na mnie znad otwartego grobu, i jak delikatnie, a jednak stanowczo brali mnie pod rękę, kiedy uroczystość dobiegła końca, jakbym lada chwila miał zemdleć i też wylądować w grobie. Myślałem nawet, że rozpoznaję coś, coś spekulatywnego, w serdeczności, z jaką niektóre kobiety mnie obejmują, w nietypowo długim ściskaniu mojej dłoni, w zaglądaniu mi w oczy, w kręceniu głową na znak niemego współczucia, z tym topniejącym kamiennym wyrazem twarzy, który przybierały staroświeckie aktorki tragiczne w finale dramatu, kiedy udręczony bohater wchodził ciężkim krokiem na scenę z ciałem heroiny na rękach. Czułem, że muszę to przerwać, muszę podnieść rękę, powiedzieć tym ludziom, że doprawdy nie zasłużyłem na ten ich szacunek, bo czułem, że to właśnie był szacunek, że byłem zaledwie postronnym obserwatorem, aktorem od ról epizodycznych, podczas gdy Anna odegrała główną rolę – zmarła. Przez cały lunch Bun wytrwale zwracała się do mnie tonem ciepłej troski przenikniętym niemą trwogą, a ja, choć próbowałem, jak mogłem, nie potrafiłem ustawić głosu tak, by w odpowiedzi nie brzmiał na przemian odważnie i nieśmiało. Widziałem, że dla panny Vavasour ten potok słów był nie do strawienia, co chwila próbowała wprowadzić mniej żalobną, żywszą atmosferę przy stole, ale bezskutecznie. Pułkownik też nic nie pomógł, choć starał się przerwać niepohamowany wylew troskliwości uwagami o pogodzie i aktualnościami wyczytanymi w gazetach, ale za każdym razem napotykał odpór. Po prostu nie mógł konkurować z Bun. Odsłaniając

żółtą protezę w upiornym grymasie, przybierał wygląd hieny, która pręży się i płaszczy przed niezważającym na nic hipopotamem.

Bun mieszka w mieście, w mieszkaniu nad sklepikiem, w warunkach, które, jak mnie zapewniała, są poniżej jej godności, jest przecież córą ziemiańskiego rodu o podwójnym nazwisku. Przypomina mi jedną z tych rubasznych dziewic z dawnej, minionej epoki, powiedzmy siostrę prowadzącą dom jakiegoś nieznanego duchownego albo owdowiałego dziedzica. Kiedy tak sobie świergotała, wyobraziłem ją sobie w bombazynie, cokolwiek to słowo znaczy, i w trzewikach zapinanych na guziczki, jak siedzi na granitowych stopniach przed wielkimi frontowymi drzwiami, a za nią ustawiała się piętro w szerokim szeregu zezująca służba; widziałem ją, jako lisią nemezis, w czerwonym rajtroku i myśliwskim meloniku z welonem, jak siedzi okrakiem na wklęsłym grzbiecie wielkiego czarnego galopującego konia; albo jeszcze gdzie indziej: w przestronnej kuchni z piecem, przy stole z porządnie wyszorowanym blatem z miękkiego drewna i wśród wiszących szynek, jak instruuje lojalną starą kuchmistrzynie, które kawałki wołowiny podać podczas dorocznego obiadu z okazji otwarcia sezonu polowań. Zabawiając się w ten nieszkodzący nikomu sposób, nie zauważyłem, że między nią a panną Vavasour toczy się walka, dopóki nie rozgorzała na dobre, a ja nie miałem pojęcia, o co w niej chodzi, ani jak się to wszystko zaczęło. Dwie zazwyczaj stonowane różowe plamki na policzkach panny Vavasour płonęły z całą mocą, a Bun, która zdawała się rozdymać do księżycowych rozmiarów wskutek pneumatycznego działania rosnącego w niej oburzenia, siedziała naprzeciwko przyjaciółki, taksując ją wzrokiem, z nieruchomym, żabim uśmiechem, wdychając powietrze w szybkim, wybuchowym rytmie. Rozmawiały z mściwą grzecznością, wpadając na siebie jak nieuczciwie dobrana para drewnianych koników. „Doprawdy? Nie mogę pojąć, jak możesz coś takiego powiedzieć... mam rozumieć, że ty... nie chodzi o to, że ja... chodzi o to, że ty... no tak, to po prostu... z całą pewnością nie... wybac, ale z całą pewnością tak!” Pułkownik, coraz bardziej zaniepokojony, patrzył szaleńczym wzrokiem to na jedną, to na drugą, a

oczy terkotały mu w oczodołach, jakby oglądał mecz tenisowy, który zaczął się w przyjaznej atmosferze, by wkrótce zamienić się w mordercze starcie.

Wydawałoby mi się, że z tego pojedynku panna Vavasour wyjdzie zwycięsko bez żadnych trudności, ale tak się nie stało. Nie wytoczyła całej swojej broni, którą, jestem przekonany, ma do dyspozycji. Coś, widziałem to, powstrzymywało ją, coś, czego Bun była w pełni świadoma, na czym się wsparła swoim niebagatelnym ciężarem i co dało jej znaczącą przewagę. Choć mogło się wydawać, że w ferworze sporu zapomniały o pułkowniku i o mnie, wkrótce uzmysłowiłem sobie, że prowadzą tę walkę, częściowo przynajmniej, dla moich uszu, żeby mi zaimponować, żeby zdobyć moje względy, żebym opowiedział się po jednej lub drugiej stronie konfliktu. Mogłem się tego domyślić po rozpalonych czarnych oczkach Bun, które z fałszywą skromnością łyptały w moim kierunku, gdy panna Vavasour postanowiła nie spoglądać w moją stronę ani razu. Nagle zrozumiałem, że nie doceniałem Bun, dużo bardziej przebiegłej i przezornej niż sądziłem. Bezmyślnie przypisujemy ludziom grubym głupotę. Ta otyła kobieta rozgryzła mnie jednak; jestem przekonany, że wiedziała dobrze, kim tak naprawdę jestem. No, a co konkretnie wiedziała? Nigdy mi w życiu nie przeszkadzało, że utrzymuje mnie bogata, lub całkiem niebiedna, żona. Urodziłem się, żeby być dyletantem, brakowało mi tylko środków, dopóki nie spotkałem Anny. Nie obchodzi mnie też, skąd wzięły się pieniądze Anny, które należały najpierw do Charliego Weissa, a teraz należą do mnie, ani jaką ciężką maszynę, ani ile, musiał kupić i sprzedać Charlie, kiedy budował swoją fortunę. A tak w ogóle, czym jest pieniądź? Prawie niczym, kiedy go człowiekowi nie brakuje. Czemu więc wiłem się pod badawczym, przemożnym spojrzeniem Bun, zawoalowanym, ale znaczącym?

Daj sobie spokój, Max, daj spokój. Nie będę zaprzeczał, zawsze wstydziałem się swojego pochodzenia, nawet teraz wystarczy, żeby ktoś taki jak Bun spojrzął na mnie, unosząc brwi, lub wypowiedział jakieś protekcyjne słowo, a ja w środku drzę cały z oburzenia i czuję się urażony. Od początku dążyłem do tego, by poprawić własną pozycję. Bo czego tak naprawdę chciałem od Chloe Grace? Tylko tyle, żeby dzięki niej wzbić się na wysoki poziom społeczny jej rodziny, choćby na trochę, choćby z oddali? Ciężkie to zadanie, ta wspinaczka na olimpijskie szczyty. Siedząc w pokoju z Bun, przypomniałem sobie, z nieodpartym delikatnym dreszczem, inny niedzielny lunch w Domu pod Cedrami, pół wieku wcześniej. Kto mnie wtedy zaprosił? Na pewno nie Chloe, może jej matka, kiedy wciąż jeszcze byłem jej admiratorem i bawiło ją, że siedzę naprzeciwko niej przy stole, nie mogąc wykrztusić słowa. Jaki byłem roztrzęsiony, jaki przerażony. Na stole stały przedmioty, których wcześniej nie widziałem, mieniący się o dziwnym kształcie, porcelanowe sosjerki, srebrna podstawka pod nóż do krojenia mięsa, widelec do porcjowania mięsa z kościaną rączką i zainstalowaną z tyłu zabezpieczającą dźwigienką. Kiedy wnoszono kolejne dania, patrzyłem, jakie sztuczki biorą inni, zanim sam gotów byłem zaryzykować. Ktoś podał mi miseczkę z sosem miętowym i nie wiedziałem, co z nim zrobić – z sosem miętowym! Carlo Grace, żując zawzięcie, co chwila kierował ku mnie swoje wesołe spojrzenie z drugiego krańca stołu.

– Jak mieszka się w domku letniskowym? – chciał wiedzieć. Na czym gotujemy?

– Na prymusie – odparłem.

– Ha! – krzyknął. – *Primus inter pares!*

I zaśmiał się, a potem Myles się roześmiał, nawet usta Rose drgnęły, choć nikt poza nim, jestem tego pewien, nie rozumiał dowcipu, a Chloe miała niezadowoloną minę, nie z powodu ich naigrawania się, ale mojej niedoli.

Anna nie rozumiała mojego uwrażliwienia na te sprawy, była przecież wytworem klasy bezklasowej. Uważała, że moja matka jest osobą rozkoszną – wiadomo, była potworna, bezlitosna i bezwzględna, ale mimo wszystko na swój sposób rozkoszna. Matka, nie muszę tego mówić, nie odwzajemniała jej serdecznego szacunku. Spotkały się dwa lub trzy razy i zawsze była to według mnie katastrofa. Mama nie przyszła na nasz ślub – przyznaję, że jej nie zaprosiłem – i niedługo po nim umarła, niemal w tym samym czasie co Charlie Weiss. „Jakby nam ofiarowali wolność, oboje”, powiedziała Anna. Nie podzielałem tej korzystnej dla nich interpretacji, ale nie skomentowałem jej słów. Tego dnia w domu opieki, ni stąd, ni zowąd, zaczęła mówić o mojej matce, nie sprowokowało jej do tego nic, o czym bym wiedział; postaci z dawnych lat wracają pod koniec, domagając się tego, co im się należy. Był poranek po burzy, a świat za oknem w narożnym pokoju wydawał się rozmamłany i półprzytomny, zaniedbany trawnik zaśmiecony był opadłymi liśćmi, a drzewa kołysały się jak pijacy na kacu. Na jednym nadgarstku Anna miała plastikową opaskę, na drugim jakiś przyrząd podobny do zegarka, z guzikiem, który po naciśnięciu wydzielał odmierzoną dawkę morfiny do jej skażonego już krwiobiegu. Pierwszy raz, kiedy przyszliśmy do domu z wizytą – dom: to słowo jest jak pchnięcie, a ja się potykam – moja matka ledwo się do niej odezwała. Wynajmowała mieszkanie przy kanale, ciemne, niskie pomieszczenie, w którym rozchodził się zapach kotów gospodyni. Przynieśliśmy jej podarunki: papierosy ze sklepu wolnocłowego i butelkę sherry, przyjęła je z prychnięciem. Mam nadzieję, powiedziała, że nie liczycie na nocleg. Zakwaterowaliśmy się w marnym hotelu nieopodal, gdzie woda w łazience była rdzawa, i gdzie skradziono Annie torebkę. Poszliśmy z matką do zoo. Roześmiała się przy pawianach, złośliwie, dając nam do zrozumienia, że kogoś jej przypominają – mnie, co oczywiste. Jeden z nich się właśnie masturbował, z dziwnie niefrasobliwą miną, spoglądając przez ramię.

– Zbereznik – powiedziała matka lekceważąco i odwróciła się.

W kawiarence na terenie zoo wypiliśmy herbatę przy akompaniamencie porykiwania słoni, które mieszało się z hałasem tłumu przybyłego tu w ten wolny od pracy poniedziałek. Matka paliła wolnocłowe papierosy, ostentacyjnie gasząc każdy po trzy- lub czterokrotnym sztachnięciu się, pokazując, co myśli na temat gałazki oliwnej, którą jej przyniosłem.

– Czemu mówi do ciebie Max? – syknęła do mnie, kiedy Anna podeszła do lady, żeby kupić jej babeczkę. – Nie nazywasz się Max.

– Teraz tak się nazywam – powiedziałem. – Nie czytałaś tych książek, które ci przysyłałem, tych, które napisałem, z moim nazwiskiem na okładce?

Odpowiedziała tym swoim gigantycznym wznoszeniem ramion.

– Myślałam, że to kto inny napisał.

Umiała pokazać swój gniew nawet w sposobie, w jaki siadała na krześle, zawsze lekko przekrzywiona w bok, plecy miała sztywno wyprostowane, ręce zaciśnięte na leżącej na kolanach torebce, kapelusz w kształcie brioszki, z kawałkiem czarnego woalu wokół denka przekrzywiony na bakier na jej rozczochranych siwych lokach. Także na jej brodzie był drobny siwy meszek. Rozejrzała się dookoła ze wzgardą.

– Hm – powiedziała. – Co za miejsce. Pewnie chciałbyś mnie tu zostawić, zamknąć wśród tych małp i patrzeć, jak karmią mnie bananami.

Anna wróciła z babeczką. Matka pogardliwie zmierzyła ją wzrokiem.

– Nie chcę tego – powiedziała. – Nie prosiłam.

– Mamusiu – powiedziałem.

– Nie mów do mnie mamusiu.

Ale kiedy wyjeżdżaliśmy, płakała, cofając się, żeby ukryły ją otwarte drzwi mieszkania, podnosząc ramię, żeby zakryć oczy, jak dziecko, złe na siebie. Zmarła owej zimy, siedziała na ławce przy kanale pewnego nietypowo jak na tę porę roku łagodnego popołudnia w środku tygodnia. *Angina pectoris*, nikt nie wiedział, że na to chorowała. Gołębie jeszcze zajmowały się okruszkami, które rozsypała dla nich na ścieżce, a kiedy usiadł koło niej włóczęga i zaproponował łyk z butelczyny w brązowej papierowej torebce, nie zauważył, że nie żyje.

– Dziwne – powiedziała Anna – że się tu jest, tak po prostu, a potem się nie jest.

Westchnęła, wyjrzała przez okno na drzewa. Fascynowały ją te drzewa, chciała wyjść i stanąć między nimi, usłyszeć wiatr wyjący pośród konarów. Już jednak nigdy nie wyjdzie na dwór, już nigdy.

– Że się tu było – powiedziała.

Ktoś się do mnie odezwał. Bun. Jak długo mnie tu nie było, jak długo wędrowałem przez tę komnatę grozy, te moje skłębione myśli? Lunch się skończył i Bun zęgnęła się z nami. Kiedy się uśmiecha, jej twarzyczka maleje, marszczy się, ściąga wokół drobnego guziczka, jakim jest jej nos. Przez okno widziałem zbierające się chmury, choć mokrawe słońce wiszące nisko na zachodzie nadal lśniło na tle bladego okrawka zielonego jak por nieba. Przez chwilę znowu zobaczyłem siebie samego, jak siedzę wielki i zgarbiony na krześle, różowa dolna warga zwisa, a olbrzymie dłonie leżą bezradnie przede mną na stole, wielka mała, schwytana, odurzona, wyczerpana. Zdarzają się chwile, ostatnio coraz częściej, kiedy zdaje mi się, że nic nie wiem, że wszystko, co kiedyś wiedziałem, wyciekło mi z pamięci jak deszcz, i przez moment opanowuje mnie paraliżujący niepokój, czekam, aż to wszystko wróci, ale nie ma pewności, że wróci. Bun zbierała swoje rzeczy w przygotowaniu do wielkiego wysiłku wywalenia tych potężnych nóg spod stołu i dźwignięcia się. Panna Vavasour już wstała z miejsca, i przy ramieniu przyjaciółki – a było równie wielkie i okrągłe co kula do gry w kręgle – niecierpliwie wyczekiwała, aż ta sobie pójdzie, ale próbowała tego nie pokazywać. Pułkownik stał obok Bun, pochylony do przodu pod dziwnym kątem, wykonywał rękoma jakieś niewyraźne finty w powietrzu, jak robotnik przy przeprowadzce przymierzający się do ciężkiego i szczególnie nieforemnego mebla.

– No dobrze! – powiedziała Bun, uderzając w stół, i spojrzała radośnie najpierw na pannę Vavasour, potem na pułkownika, a oboje podeszli krok bliżej, jakby rzeczywiście mieli ją ująć pod ręce i podnieść.

Wyszliśmy na dwór, na miedziane światło późnojesiennego wieczoru. Silne porywy wiatru grasowały na Station Road, czochrając korony drzew i rzucając w niebo zeschnięte liście. Gawrony krakały nieprzyzwoicie. Rok już niemal dobiegł kresu. Czemu wydaje mi się, że coś nowego nadejdzie i zajmie jego miejsce, co byłoby czymś innym niż tylko numerem w kalendarzu? Samochód Bun, zrywny mały czerwony model, błyszczący jak biedronka, stał na żwirowym podjeździe. Sapnął na resorach, kiedy Bun władowała się do niego, wpychając wpierw kolosalny zad na siedzenie kierowcy, a potem wciągając nogi i opadając ciężko, z jękiem na tapicerkę ze sztucznego tygrysiego futra. Pułkownik otworzył jej bramę, stanął pośrodku drogi i dyrygował wyjazdem szerokimi dramatycznymi ruchami ramion. Zapach spalin, morza, jesiennego rozkładu ogrodu. Czasowe spustoszenie. Nie wiem nic, nic, jak na starą małpę przystało. Bun zatrąbiła radośnie, pomachała nam, jej ściągnięta twarz uśmiechała się do nas przez szybę, a panna Vavasour pokiwała przyjaciółce, ale nie radośnie, i samochód, terkocząc, odjechał krzywo drogą, przejechał przez most kolejowy i zniknął.

– No i spokój – powiedział pułkownik, zacierając dłonie i kierując się z powrotem do środka.

Panna Vavasour westchnęła.

Nie mieliśmy dostać kolacji, skoro lunch ciągnął się długo i przebiegł w tak napiętej atmosferze. Panna V. wciąż była podenerwowana, widziałem, tą wymianą zdań z przyjaciółką. Kiedy pułkownik poszedł za nią do kuchni, przymawiając się przynajmniej o podwieczorek, potraktowała go ostro, szybko więc podreptał do swojego pokoju i do radioodbiornika, który nadawał transmisję z meczu piłkarskiego. Ja też wycofałem się, do saloniku, z książką – Bell o Bonnardzie, nudne jak flaki z olejem – ale nie mogłem czytać i odłożyłem tę lekturę. Wizyta Bun naruszyła delikatną równowagę domostwa, w jego atmosferze zabrzmiał bezdźwięczny tryl, jakby włączyła się przez przypadek wyjątkowo czujna instalacja alarmowa i wciąż wibrowała. Siedziałem w wykuszu okna, patrzyłem na mroczniejący dzień. Nagie drzewa po drugiej stronie drogi czerniały na tle ostatnich rozbłysków zachodzącego słońca, a wrzaskliwe stado gawronów kołowało i nurkowało, w głośnych swarach szykując się na noc. Myślałem o Annie. Zmuszam się do tego, ćwiczę się w tym. Utkwiła we mnie jak nóż, a jednak zaczynam ją zapominać. Jej wizerunek, który mam w pamięci, zaczyna się już strzępić, łuszczyć się kawałki farby, odpadają złote listki. Czy pewnego dnia całe płótno będzie puste? Zacząłem zdawać sobie sprawę, jak mało ją znałem, to znaczy, jak powierzchownie ją znałem, jak skąpo. Nie winię siebie za to. Może powinienem. Byłem za leniwy, za mało uważny, zbyt zajęty sobą? Tak, wszystko to razem, a jednak nie wydaje mi się, żebym z tego powodu miał obarczać się winą, za to zapomnienie. Za tę powierzchowną, złudną znajomość. Chyba jednak za dużo oczekiwałem, jeśli chodzi o to, co powinienem wiedzieć. Tak mało siebie samego znam, jak mógłbym uważać, że potrafię poznać kogoś innego?

Ale zaraz, to nie to. Nie jestem szczery – to coś nowego, powiecie, tak, tak. Prawdą jest, że nie chcieliśmy się wzajem poznać. Co więcej, tego właśnie chcieliśmy: nie znać siebie nawzajem. Powiedziałem to już wcześniej – nie ma teraz czasu na powroty, ani na poszukiwania, jestem bowiem pochłonięty mozolnym rozpracowywaniem tej myśli – od pierwszego spotkania z Anną wiedziałem, że urzeczywistnia moją wizję siebie. Nie wiedziałem dokładnie, co chciałem przez to powiedzieć, ale dziś wracam do tego myślą i nagle wszystko staje się jasne. A może nie? Spróbuję to rozplątać, mam mnóstwo czasu, te niedzielne wieczory ciągną się w nieskończoność.

Od samego początku chciałem być kimś innym. Napomnienie *nosce te ipsum* ma dla mnie posmak popiołu, od kiedy nauczyciel kazał mi powtarzać tę formułę. Znałem siebie, aż za dobrze, i nie podobało mi się to, co o sobie wiem. Ale znowu muszę poczynić tu pewne zastrzeżenia. Nie do siebie samego czułem awersję, nie do „ja” pojedynczego, esencjalnego – choć przyznaję, że nawet samo pojęcie esencjalnego, pojedynczego „ja” jest czymś problematycznym – ale do nagromadzenia afektów, skłonności, prawd branych na wiarę, klasowych uprzedzeń, którymi moje pochodzenie i wychowanie obdarowały mnie w miejsce osobowości. W miejsce, tak. Zamiast. Nigdy nie miałem osobowości, nie w tym sensie, w jakim inni ją mają, lub zdaje im się, że mają. Byłem zawsze wyróżniającym się nikim, którego bezwzględny życzeniem było stać się niewyróżniającym się kimś. Wiem, co mówię. Anna, od razu to zrozumiałem, posłużyłaby mi za medium mojej transmutacji. Była jak krzywe zwierciadło, w którym wszystkie moje zniekształcenia wróciłyby do normy. Dlaczego nie być sobą? – zapytała mnie pewnego dnia, na początku naszej znajomości. „Być sobą”, zwróćcie na to uwagę, nie „znać siebie” – z litości nad moimi nieporadnymi próbami zrozumienia wielkiego świata. Bądź sobą! Co oczywiście znaczyło: bądź kimkolwiek chcesz być. Taki zawarliśmy pakt, że uwolnimy się nawzajem od tego ciężaru, jakim jest konieczność bycia ludźmi, którymi jesteśmy w oczach innych. A przynajmniej ona uwolniła mnie od tego ciężaru, ale co ja dla niej zrobiłem? Być może nie powinienem włączać jej do podróży ku niewiedzy, być może tylko ja pragnąłem niewiedzę osiągnąć.

A problem, z którym teraz zostaję, jest właśnie problemem wiedzy. Kim, jeśli nie samymi sobą, byliśmy? Dobrze, nie wplątujemy w to Anny. Kim, jeśli nie sobą samym, byłem? Filozofowie mówią, że to inni nas określają, że inni kształtują nasze bycie. Czy róża jest czerwona w ciemności? Czy w lesie na dalekiej planecie, gdzie nie ma uszu, które mogłyby słuchać, drzewo pada z łoskotem? Pytam: kto miał mnie znać, jeśli nie Anna? Kto miał znać Annę, jeśli nie ja? Pytania niedorzeczne. Byliśmy razem szczęśliwi, albo raczej nie byliśmy nieszczęśliwi, a to więcej niż się udaje większości ludzi – czy to nie dość? Były napięcia, były konflikty, jak w każdym związku takim jak nasz, jeśli takowe w ogóle istnieją. Krzyki, wrzaski, rzucanie talerzami, rzadki policzek, jeszcze rzadszy cios pięścią, przez to wszystko przeszliśmy. Poza tym był ten Serge i jemu podobni, żeby już nie wspominać o moich Sergessach, nie, po co wspominać. Ale nawet najdziksze nasze walki to była tylko brutalna zabawa, jak zapasy Chloe i Mylesa. Kończyliśmy nasze kłótnie śmiechem, gorzkim śmiechem, ale był to mimo wszystko śmiech, speszzeni, nawet nieco zawstydzeni, nie naszą brutalnością, ale jej brakiem. Walczyliśmy ze sobą, żeby czuć, i żeby czuć się rzeczywistymi ludźmi, byliśmy bowiem ludźmi, którzy stworzyli się sami od zera. Ja takim byłem.

Czy mogliśmy, czy mogłem, postępować inaczej? Czy mogłem żyć w inny sposób? Jałowe dociekanie. Oczywiście, że mogłem, ale nie żyłem, i w tym tkwi cały bezsens samego pytania. A poza tym, gdzie są te wzorce autentyczności, względem których mógłbym zmierzyć swoje spreparowane ja? Na tych ostatnich płótnach, na których Bonnard malował siedemdziesięcioletnią Marthe w łazience, nadal przedstawiał ją jako nastolatkę, za którą ją wziął, kiedy się spotkali po raz pierwszy. Dlaczego miałbym domagać się większej zgodności z prawdą od moich własnych wizerunków niż od wielkiego, tragicznego artysty? Bardzo się staraliśmy, ja i Anna. Przebaczyliśmy sobie wszystko to, czym nie byliśmy. Czegóż więcej można oczekiwać na tym padole cierpienia i łez? „Nie rób takiej zmartwionej miny – powiedziała Anna – ja też ciebie nienawidziłam, troszkę, byliśmy przecież ludźmi”. A mimo to nie mogę pozbyć się myśli, że coś nam umknęło, że mnie coś umknęło, z tym że nie wiem, co to mogło być.

Pogubiłem się. Wszystko się pomieszało. Czemu dręcę się tymi nierozwiązywalnymi paradoksami, czy mało mi było kazuistyki? Daj sobie spokój, Max, daj sobie spokój.

Weszła panna Vavasour, ruchoma zjawą w cieniu pogrążonego w półmroku pokoju. Zapytała, czy mi ciepło, czy ma zapalić w kominku. Zapytałem ją o Bun, kim jest, jak się poznały, po to, by o cokolwiek zapytać. Dopiero po chwili odpowiedziała, a wtedy udzieliła mi odpowiedzi na pytanie, którego nie zadałem.

– Widzi pan – powiedziała – dom ten jest własnością rodziny Vivienne.

– Vivienne?

– Bun.

– Aha.

Pochyliła się nad kominkiem i podniosła z paleniska chrzęszczący już bukiet suchych hortensji.

– A może to ona jest już jedyną właścicielką – dodała.

– Niemal wszyscy jej krewni odeszli z tego świata.

Powiedziałem, że jestem zaskoczony, myślałem bowiem, że dom należy do niej.

– Nie – odparła, z marsem na czole patrząc na kruche kwiaty, które trzymała w dłoniach, potem podniosła wzrok, prawie szelmowski, wystawiając drobnuteńki koniuszek języka. – Ale, powiedzmy, należą do jego wyposażenia.

Z pokoju pułkownika usłyszeliśmy wiwatujący tłum i podniecony wrzask komentatora – ktoś strzelił gola. Muszą grać już prawie w ciemności. Czas urazów.

– Pani nigdy nie wyszła za mąż? – zapytałem.

Uśmiechnęła się oszczędnie, spuszczać znowu oczy.

– Och, nie – odpowiedziała. – Nigdy nie byłam mężatką – rzuciła na mnie szybkie spojrzenie i uciekła wzrokiem. Rumieńce na jej policzkach pały. – Vivienne była moją przyjaciółką. Bun, znaczy się.

– Aha – powiedziałem ponownie.

A co innego mogłem powiedzieć?

Gra teraz na pianinie. Schumann, *Kinderszenen*. Jakaś aluzja pod moim adresem.

Dziwne, prawda, jak te pozornie niezauważalne sceny potrafią zagnieździć się w pamięci. Za Domem pod Cedrami, gdzie narożnik budynku styka się z placem porośłym kępami trawy, pod zakrzywioną czarną rynną stał zbiornik na deszczówkę, dziś już, oczywiście, dawno nieistniejący. Była to drewniana beczka, prawdziwa, pełnowymiarowa, której klepki ściemniały z czasem, a żelazne obręcze niemal doszczętnie zżarła rdza. Krawędź była starannie fazowana, gładka, że trudno było wyczuć złącza między klepkami; to znaczy, była gładko spiłowana i oheblowana, ale wilgotne ziemiste drewno było w dotyku nadal lekko puszyste, albo raczej kosmate, jak pałka sitowia, choć bardziej szorstkie, chłodniejsze i wilgotniejsze. Musiała zawierać nie wiem ile galonów deszczówki, ale zawsze była pełna po brzegi dzięki częstym tutaj opadom, nawet, a może zwłaszcza, w lecie. Kiedy do niej zaglądałem, woda zdawała się czarna i tłusta jak oliwa. Ponieważ beczka miała niewielki przechył, powierzchnia wody ukształtowała się w tłustą elipsę, która drżała przy najmniejszym oddechu i pokrywała się zmarszczkami przerażenia, kiedy obok przejeżdżał pociąg. W tym zapuszczonym zakątku ogrodu panował łagodny, wilgotny klimat, głównie za sprawą tej beczki. Pleniły się tu rozliczne chwasty, pokrzywy, szczaw, powój, inne rośliny, których nazw nie znam, a dzień miał zielonkawą poświatę, zwłaszcza nad ranem. Woda w beczce po deszczu była miękka, albo twarda, jedno z dwojga, dlatego uważano, że doskonale nadaje się do mycia włosów, albo głowy, albo czegoś jeszcze, dokładnie nie wiem. I tam właśnie pewnego mieniącego się słońcem poranka natknąłem się na panią Grace, kiedy pomagała Rose myć włosy.

Pamięć nie cierpi ruchu, woli zatrzymywać wszystko w kadrze: niczym wiele zapamiętanych scen, i ta jawi się moim oczom jak *tableau vivant*. Rose stoi nachylona, zgięta w pasie, dłonie opiera na kolanach, włosy, ociekające mydlinami, tworzą długi czarny klin. Jest bosa, widzę palce jej stóp w wysokiej trawie, ma na sobie tę z lekka tyrolską białą lnianą bluzkę z krótkimi rękawkami, które były wtedy modne, luźną w talii i obcisłą w ramionach, w poprzek biustu biegnie abstrakcyjny wzór haftowany nicią w czerwieni i pruskim błękicie. Dekolt obrębiony jest grubym ścięgiem, a wewnątrz widzę jej piersi, drobne i spiczaste, jak czubki dwu bąków dziecięcych. Pani Grace ma na sobie niebieski satynowy szlafrok i delikatne niebieskie pantofelki, wnosząc do tej sceny pod gołym niebem niepasujący do niej akcent buduaru. Włosy ma spięte przy uszach dwiema szylkretowymi klamerkami, lub grzebieniami, bo chyba tak się one nazywają. Widać wyraźnie, że właśnie wstała z łóżka, a w porannym słońcu jej twarz ma surowe, rzeźbiarskie rysy. Stoi w pozie dziewczyny z dzbankiem na mleko z obrazu Vermeera, głowę i lewe ramię ma lekko odchylone, jedną rękę podsunęta pod ciężki spadek włosów Rose, a drugą wylewa gęstą jak śluz, srebrną wodę z wyszczerbionego, szklwionego dzbanka. Woda, spadając na głowę Rose, tworzy pustą płamę, która drży i pełga jak światło księżycy na rękawie Pierrota. Rose cichutko pohukuje, usiłując protestować – Uuu! Uuu! Uuu! – kiedy czuje zimno wody lejącej się jej na głowę.

Biedna Rosie. Zawsze kiedy przypominam sobie jej imię, towarzyszy mu ten epitet. Miała wtedy, zaraz, dziewiętnaście lat, góra dwadzieścia. Całkiem wysoka, wyjątkowo szczupła, wąska w talii, długonoga, miała w sobie jedwabny, nadąsany wdzięk, który rozlewał się od bladego, płaskiego czoła po jej zgrabne, kształtne stopy z odstającym nieco dużym palcem. Podejrzewam, że ktoś, kto chciałby być dla niej niemiły – na przykład Chloe – mógłby uznać jej rysy za ostre. Jej nos, z nozdrzami jak u faraonów, w kształcie łez, wydatny u nasady, ze skórą mocno naciągniętą na kość i przezroczystą. Skrzywiony jest odrobinę na lewo, tak że kiedy się patrzy na nią wprost, ma się wrażenie, że widzi się ją jednocześnie *en face* i z profilu, jak na tych zdeformowanych portretach Picassa. Ten defekt wcale nie zakłócał jej proporcji, raczej podkreślał wyraz smutku, jaki malował się jej na twarzy. Podczas odpoczynku, kiedy nie wiedziała, że ktoś ją szpieguje – a byłem niezłym małym szpiegiem! – głowę pochylała do przodu pod kątem ostrym, oczy zamykały się za opadłymi powiekami, a podbródek z płytkim dołkiem kładł się na ramieniu. Przypominała wtedy Madonnę Duccia, melancholijną, wyniosłą, zatopioną w swoim świecie, zagubioną w ponurych rozmyślaniach o tym wszystkim, co nadejdzie, o tym wszystkim, co – dla niej – miało nigdy nie nadejść.

Spośród trzech głównych postaci tego wybielonego solą tryptyku to paradoksalnie ona pozostaje najbardziej wyraziście zarysowana na ścianie mojej pamięci. Jest tego, jak sądzę, jasna przyczyna: dwie pierwsze postaci na scenie, to znaczy Chloe i jej matka, są wytworem mojej wyobraźni, podczas gdy Rose wyszła spod ręki innego, nieznanego artysty. Podchodzę do nich, do obrazów Grace'ów, raz do matki, raz do córki, dokładając jakąś barwną plamę tu, dodając jakiś szczegół tam, a wynikiem tej mojej detalicznej pracy jest raczej zamęcenie ostrości niż jej zaostrenie, nawet kiedy robię kilka kroków do tyłu, żeby obejrzeć dzieło własnych rąk. Ale Rose, Rose to portret niewymagający już pracy, Rose jest skończona. Nie znaczy to, że była prawdziwsza, albo że miała dla mnie większe znaczenie niż Chloe czy jej matka, z pewnością nie, chodzi o to, że ją widzę bezpośrednio, najbardziej naocznie. Nie z tego powodu, że nadal tu jest, gdyż w swojej obecnej postaci jest tak odmienna, że aż nierozpoznawalna. Widzę ją w tenisówkach i czarnych spodniach, i w koszuli o pąsowym odcieniu – choć miała na pewno inne ubrania, właśnie takie nosi niemal w każdym z moich wspomnień – widzę ją pośród błahostek, przypadkowych rekwizytów tej malarskiej pracowni: nijaka draperia, zakurzony kapelusz słomkowy z kwiatem na wstążce, fragment omszałej ściany, wykonanej prawdopodobnie z dykty, a wysoko w jednym z kątów umbrowe drzwi, gdzie w tajemniczy sposób ciemne cienie ustępują miejsca biało-złotej feerii pustego światła. Jej obecność nie była dla mnie tak żywa jak obecność Chloe czy pani Grace, bo przecież nie mogła być, a jednak było w niej coś, co ją od innych odróżniało, tę dziewczynę z czarnymi jak północ włosami, białą skórą, której pudrowego rumieńca nawet najbardziej intensywne słońce ani najburzliwsze morskie wiatry nie mogły rozmazać.

Była, jak przypuszczam, kimś, kogo w dawnych czasach, a chodzi mi o czasy nawet dawniejsze niż te, o których tu mówię, nazywano guwernantką. Guwernantka jednak powinna mieć swój obszar władzy, choćby najskromniejszy, biedna Rosie zaś była bezradna wobec bliźniaków i ich obojętnych rodziców. Dla Chloe i Mylesa była oczywistym wrogiem, celem najokrutniejszych dowcipów, przedmiotem niechęci i nieskończonych szyderstw. Traktowali ją na dwa sposoby. Byli wobec niej albo obojętni, i to do tego stopnia, że równie dobrze mogła być dla nich niewidzialna, albo też poddawali wszystkie jej czyny i słowa, bez względu na to, jak bardzo były błahe, bezwzględnemu badaniu i śledztwu. Kiedy poruszała się po domu, deptali jej po piętach, obserwowali bacznie każdą jej czynność – jak kładzie talerz na stole, bierze do ręki książkę, usiłuje nie przeglądać się w lustrze – jakby to, co robiła, było najbardziej cudacznym i niezrozumiałym zachowaniem, jakie kiedykolwiek przyszło im oglądać. Próbowwała nie zwracać na nich uwagi tak długo, jak tylko mogła, ale w końcu odwracała się do nich, zarumieniona i rozdygotana, i błagała, żeby dali jej spokój, a ze strachu, że państwo Grace mogą usłyszeć w jej głosie zdenerwowanie, uważała, żeby nie mówić głośniejsz niż zboliałym szeptem. Takiej właśnie reakcji oczekiwały bliźnięta, nacierały więc na nią coraz mocniej, zaglądały jej w twarz, udając zadziwienie, a Chloe bombardowała ją pytaniami – co było na talerzu? czy to była ciekawa książka? dlaczego nie chciała przejrzeć się w lustrze? – aż jej oczy szklily się łzami, usta wykrzywiały się w smutku i bezsilnej wściekłości, a oni oboje uciekali rozbawieni, rycząc ze śmiechu jak demony.

Poznałem tajemnicę Rose pewnego sobotniego popołudnia, kiedy przyszedłem po Chloe do Domu pod Cedrami. Chloe właśnie wsiadała do samochodu, miała jechać z ojcem do miasteczka. Zatrzymałem się przy bramie. Umówiliśmy się wcześniej na tenisa – czyżby zapomniała? Oczywiście, że tak. Byłem przerażony; trudno znieść świadomość, że zostało się porzuconym w wolne sobotnie popołudnie. Myles, który otwierał ojcu bramę, zauważył moje przerażenie i wyszczerzył zęby w uśmiechu, jak złośliwy chochlik – był przecież złośliwym chochlikiem. Pan Grace spojrział na mnie zza przedniej szyby, nachylił się ku Chloe i coś powiedział, też się uśmiechając. Teraz już nawet dzień, wietrzny i jasny, zdawał się promieniować drwiną i rozbawieniem. Pan Grace wcisnął mocno pedał gazu, a samochód z głośnym hukiem dobiegającym z części tylnych skoczył w przód na żwirze, tak szybko, że musiałem w pośpiechu ustąpić z drogi – choć nic poza tym ich nie łączyło, mój ojciec i Carlo Grace mieli takie samo zadziorne poczucie humoru – a Chloe, której rozmytą twarz zobaczyłem za boczną szybą, spoglądała na mnie krzywo z wyrazem zadziwienia, jakby dopiero w tej chwili zauważyła, że tu stoję, co zresztą mogło być prawdą. Pomachałem jej ręką, z największą udawaną beztroską, na jaką było mnie stać, a ona uśmiechnęła się zakrzywionymi do dołu ustami, z podrabianym smutkiem, i przesadnym wzruszeniem ramion próbowała się usprawiedliwić, unosząc barki do poziomu uszu. Samochód zwolnił, żeby Myles mógł wsiąść, Chloe przyłożyła twarz do szyby i coś wyszeptala, podniosła lewą rękę w dziwnie oficjalnym geście, który mógł być jakimś błogosławieństwem, a co ja mogłem zrobić, uśmiechnąłem się i wzruszyłem ramionami, jak ona, pomachałem, kiedy samochód zabierał ją w dal otoczony kłębem spalin, a głowa Myleasa, która wyglądała jakby ją odcięto od tułowia, triumfalnie szczerzyła do mnie zęby zza tylnej szyby.

Dom wyglądał jak opuszczony. Przeszedłem obok frontowych drzwi do miejsca, gdzie ukośny szereg drzew zakreślał granicę ogrodu. Za nimi biegła linia kolejowa, wyłożona kanciastym, sypkim błękitnym łupkiem, roztaczająca nieprzyjemną woń popiołu i gazu. Drzewa, rosnące zbyt blisko siebie, były patykowate i zniekształcone, ich najwyższe konary kiwały się bezładnie jak setki ramion wyrzuconych w górę. Jakie to drzewa? Nie dęby – może jawory.

Zanim pojąłem, co robię, byłem już na gałęzi drzewa rosnącego w samym środku. To do mnie niepodobne, nie byłem ani ryzykantem, ani śmiałkiem, i miałem, nadal mam, lęk wysokości. A jednak gramoliłem się na górę, wyżej i wyżej, ręka i stopa, ręka i stopa, z gałęzi na gałąź. Wspinaczka była rozkosznie łatwa, mimo syku listowia, które w oburzeniu protestowało naokoło głowy, i gałązek, które mnie policzkowały, i wkrótce znalazłem się już tak blisko korony, jak tylko było to możliwe. Tam się zainstalowałem, nieustraszony, jak każdy marynarz siedzący okrakiem na rei, pokład ziemi delikatnie falował daleko pode mną, a nad moją głową ciemnoperłowe niebo zdawało się wisieć tak nisko, że mógłbym go dotknąć. Na tej wysokości wiatr był stałym strumieniem czystego powietrza, pachniał śródlądowym światem, ziemią, dymem i zwierzętami. Na horyzoncie widziałem dachy miasteczka, a dalej i wyżej, jak w mirażu, srebrny stateczek ustawiony nieruchomo na tłustej plamie bladego morza. Jakiś ptak siadł na gałązce, spojrzał na mnie ze zdziwieniem i odleciał szybko, świergocąc jakby obrażony. Zapomniałem już prawie o krótkiej pamięci Chloe, tak wielkie szczęście wypełniało mnie po brzegi, tak szaleńcza radość, że jestem tak wysoko i daleko od wszystkiego, i nie zauważyłem Rose, póki nie usłyszałem jej łkania.

Stała pod sąsiednim drzewem, ramiona miała skulone, łokcie przyciśnięte do boków, jakby chciała utrzymać w ten sposób wyprostowaną postawę. Jej zdenerwowane palce ścisnęły wymiętą chusteczkę, ale stała tak w bardzo melodramatycznej pozycji, łkając w szumiącym powietrzu popołudnia, że pomyślałem zrazu, iż nie chusteczkę trzyma, ale na pewno zgnieciony liścik miłosny. Jak dziwnie wyglądał w skróconej perspektywie nieregularny krąg jej ramion i głowy – przedziałek w jej włosach miał ten sam brudnosiwawy odcień co wilgotna chusteczka, którą trzymała w dłoniach – a kiedy odwróciła się szybko na odgłos kroków za jej plecami, zachwiała się krótko jak kręgiel trącony przez kulę. Pani Grace nadchodziła trawiastą ścieżką, szła z nisko pochyloną głową, pod sznurami z wywieszoną bielizną, ręce skrzyżowała na spleaszczonych piersiach, a dłońmi ujmowała przeciwległe barki. Była boso, miała na sobie krótkie spodenki i białą koszulę męża, która była dla niej pochlebnie za duża. Zatrzymała się kilka kroków przed Rose, stała przez chwilę w milczeniu, kręcąc się w ćwierćobrotach wokół własnej osi, nadal trzymając ręce na ramionach, jak gdyby chciała, podobnie jak Rose, objąć siebie samą niby dziecko, które tuliła do piersi.

– Rose – powiedziała żartobliwie łagodnym tonem – och, Rose, co się stało?

Rose, która rezolutnie odwróciła głowę znowu ku dalekim polom, pociągnęła nosem.

– Co się stało? – krzyknęła, jej głos wleciał przy ostatnim słowie i rozlał się wokół. – Co ci jest?

Rose z oburzeniem wydmuchała nos w skraj wymiętoszonej chusteczki, po czym siąknęła i potrząsnęła głową. Nawet z tego miejsca widziałem, że pani Grace uśmiecha się i zagryza wargę. Za mną rozległ się gdzieś daleko potężny gwizd. Popołudniowy pociąg z miasteczka, matowoczarna lokomotywa i kilka zielonych drewnianych wagonów, pędził niezdarnie w naszą stronę przez pola jak wielka szalona zabawka i, dysząc, wyrzucał w powietrze bulwiaste kółka gęstego białego dymu. Pani Grace podeszła bezszelestnie do Rose, czubkiem palca musnęła jej łokieć, ale Rose szybko odsunęła rękę, jakby ten dotyk ją oparzył. Podmuch wiatru przykleił koszulę do ciała pani Grace, ukazując wyraźnie szczodry zarys jej piersi.

– No daj spokój, Rosie – prosiła dalej, i tym razem udało jej się wsunąć dłoń pod łokieć dziewczyny i po kilku delikatnych szarpnięciach odwróciła ją do siebie, sztywną i niechętną, po czym razem powędrowały w cieniu drzew. Rose potykała się co rusz i mówiła nieprzerwanie, pani Grace zaś szła ze spuszczoną głową, zdawała się wcale nie odzywać; z ułożenia ramion, przygarbienia i leniwego kroku domyśliłem się, że tłumi w sobie śmiech. Z drżących urywanych słów doszły mnie pojedyncze słowa: „kocham”, i „to głupie”, i „pan Grace”, a z odpowiedzi pani Grace jedynie głośnie pytanie „Carlo?”, po którym nastąpił pełen niedowierzania okrzyk. Nagle nadjechał pociąg, wprawiając w drganie pień drzewa między moimi kolanami; kiedy przejeżdżała lokomotywa, zobaczyłem kabinę i zauważyłem w niej bardzo wyraźnie białko oka, spoglądające na mnie spod lśniącej, przydymionej na czarno brwi. Kiedy znowu odwróciłem się do nich, przestały spacerować, stały do siebie twarzą w twarz w wysokiej trawie, pani Grace uśmiechała się, trzymając rękę na ramieniu Rose, a Rose, której nozdrza się zaczerwieniły, tarła zażawione oczy pięściami, a potem oślepiająca smuga dymu z pociągu uderzyła mnie gwałtownie w twarz i zanim się znów przejaśniło, pani Grace i Rose szły ścieżką do domu.

A więc to tak. Rose zatraciła się w miłości do ojca dzieci, które powierzono jej opiece. Nic nowego pod słońcem, ale dla mnie, wówczas bardzo młodego człowieka, było to całkiem nowe doświadczenie. Co sobie pomyślałem, co poczułem? Pamiętam bardzo wyraźnie zmiętą chusteczkę w rękach Rose i błękitny filigran żyłaków w początkowym stadium widoczny z tyłu mocnych, nagich łydek pani Grace. I oczywiście parowóz, który grzechocząc, zatrzymał się na stacji i stał, sapiąc i dysząc, i tryskając wrzącą wodą z fascynująco skomplikowanych części dolnych, czekając niecierpliwie na odjazd. Czym są żywe istoty w porównaniu z trwałą intensywnością rzeczy?

Kiedy Rose i pani Grace już odeszły, zszedłem z drzewa, co było czynnością trudniejszą niż wdrapanie się na górę, minąłem ostrożnie cichy i niewidzący dom i ruszyłem Station Road w lśniącym grafitowym świetle opustoszałego popołudnia. Pociąg odjechał ze stacji i był już gdzie indziej, całkiem gdzie indziej.

Rozumie się, że od razu opowiedziałem Chloe o moim odkryciu. Zareagowała zupełnie inaczej, niż się spodziewałem. To prawda, zdawała się z początku zszokowana, ale szybko przyjęła postawę sceptyczną, a nawet sprawiała wrażenie zdenerwowanej. To znaczy, zdenerwowanej na mnie, że jej o wszystkim powiedziałem. Zbiło mnie to z pantaląku. Zakładałem, że przyjmie moje sprawozdanie z tego, co się wydarzyło pod drzewami, z radosnym chichotem, co z kolei pozwoliłoby mi uznać sprawę za żart, a zamiast tego musiałem spojrzeć na incydent w poważniejszym i bardziej złowieszczym świetle. Złowieszcze światło – wyobrażacie to sobie? Ale dlaczego miałbym to uznać za żart? Bo śmiech, dla ludzi młodych, jest siłą neutralizującą, oswaja przerażenie? Rose, choć była dwa razy od nas starsza, należała do świata po tej stronie przepaści, która dzieli nas od świata dorosłych. Sama myśl o tym, że oni, prawdziwi dorośli, oddają się podejrzanym igraszkom, już była czymś strasznym, ale to, że Rose może brykać z kimś w wieku Carla Grace’a – z tym jego bandziochem i nabrzmałym kroczem, z tą siwiejącą sierścią na piersi – trudno było przyjąć wrażliwości tak delikatnej, tak nieopierzonej jak moja. Czy wyznała miłość panu Grace’owi? Czy ją odwzajemnił? Obrazy bladej Rose w szorstkim uścisku jej satyra migwały mi przed oczyma, w równej mierze podniecając mnie i dręcząc. A pani Grace? Z jakim spokojem przyjęła niechętnie wyznanie Rose, z jaką lekkością, wręcz rozbawieniem. Czemu nie wydrapała tej dziewczynie oczu swoimi lśniącymi cynobrowymi pazurami?

No i sami kochankowie. Podziwiałem tę swobodę, tę gładką bezczelność, którą maskowali łączącą ich więź. Nawet niefrasobliwość Carla Grace'a zdawała mi się teraz wyrazem przestępczych intencji. Bo kto jak nie pozbawiony serca uwodziciel mógłby śmiać się w ten sposób, i drażnić się, i wysuwać podbródek, i drapać się w siwą brodę rosnącą u spodu, gdy jego paznokcie grają zgrzytliwą muzykę? Fakt, że publicznie nie okazywał Rose większego zainteresowania niż innym kobietom, którym zdarzyło się stanąć mu na drodze, był tylko kolejnym znakiem jego przebiegłości i zręcznej sztuki oszukiwania. Wystarczyło, by Rose podała mu gazetę, a on ją od niej wziął, żeby moje rozgrzane czujnością oko uznało ten widok za scenę jakiejś potajemnej, niemoralnej wymiany. Jej łagodność i nieśmiałość w jego obecności jawiły mi się jak zachowanie rozpustnej zakonnicy, teraz, kiedy wiedziałem już o jej tajemnej hańbie, a w głębszych rejonach mojej wyobraźni migotały obrazy jej bladej sylwetki połączonej z nim w niewyraźnym, wulgarnym sprzęgnięciu i słyszałem jego stłumione ryki i jej ściszone jęki mrocznej rozkoszy.

Co skłoniło ją do wyznania, a do tego komu: małżonce umiłowanego? I co sobie myślała, biedna Rose, kiedy po raz pierwszy wzrok jej spoczął na napisie, który Myles nabazgrał kredą na słupkach u wjazdu i na ścieżce za bramą – RV kocha CG – i na towarzyszący napisowi szkic kobiecego torsu: dwa kółka z kropkami w środku, dwie krzywe oznaczające boki, a poniżej para nawiasów ujmujących krótkie, pionowe cięcie? Musiała się zarumienić, tak, musiała cała płonąć. Sądziła, że to nie ja, a Chloe odkryła jej sekret. Dziwne, że w ten sposób władza Chloe nad Rose nie wzrosła, ale przeciwnie, zmalała, a przynajmniej tak się wydawało. Oko guwernantki lśniło nowym, bardziej stalowym światłem, kiedy wzrok jej padał na dziewczynkę, a ona, ku mojemu zdziwieniu i zaskoczeniu, pod tym spojrzeniem wyglądała na zastraszoną jak nigdy wcześniej. Kiedy myślę o nich, jak jedna ma w oczach gniewne błyski, a druga zawstydzona umyka wzrokiem, trudno powstrzymać mi się od przypuszczeń, że wydarzenie z dnia, kiedy morze dziwnie przybrało, było w pewnym stopniu następstwem odkrycia tajemnej namiętności Rose. Bo dlaczego miałbym być mniej podatny niż autor melodramatów na żądanie, jakie stawia kompozycja opowieści, żeby pod koniec wprowadzić jakiś zmyślny zwrot w akcji?

Przyływ nadciągał od rana, zalewając niemal całą szerokość plaży, do podnóża wydmy, jakby morska niecka napełniła się po brzegi. W milczeniu przyglądaliśmy się nieprzerwanie wzbierającej wodzie, siedzieliśmy w rządku, cała nasza trójka, Chloe, Myles i ja, odwróceny plecami do szarych, złuszczonej desek opuszczonej budki gospodarza terenów sportowych, stojącej obok pierwszej rzutni pola golfowego. Pływaliśmy, ale postanowiliśmy przerwać, bo zaniepokoił nas ten pozbawiony fal, niepowstrzymany przyływ i złowieszczy spokój, z jakim nadciągał. Niebo na całym obszarze zabieliła mgła, tylko płaska, bladżółta tarcza słońca tkwiła nieruchomo w samym jego środku. Mewy pikowały z głośnym skrzekiem. Powietrze trwało w bezruchu. Ale pamiętam wyraźnie, że pojedyncze źdźbła szarozielonej piaskownicy wyrastające z piaszczystego ronda kreśliły przed sobą kształtne półkola, co świadczyło, że wiał wiatr, a przynajmniej lekki wiaterek. A może było to innego dnia, kiedy zobaczyłem, jak trawa w ten sposób rysuje po piasku. Chloe była w kostiumie kąpielowym, na ramiona zarzuciła biały rozpinany sweter. Włosy pociemniały jej od wilgoci i przykleiły się do czaszki. W tym mlecznym świetle bez cienia jej twarz wydawała się pozbawiona rysów. Chloe i siedzący przy niej Myles byli tak do siebie podobni, jak profile na dwu monetach. Poniżej, w wydmyowym wgłębieniu, leżała na plecach na ręczniku kąpielowym Rose, założyła ręce pod głowę i zdawała się spać. Pokryty szumowiną brzeg morza był zaledwie kilka kroków od jej pięt. Chloe popatrzyła na nią i uśmiechnęła do siebie.

– Może woda ją zniesie – powiedziała.

Mylesowi udało się otworzyć drzwi budki, kręcił kłódką, aż skobel wyrwał się ze śrub, zostając mu w ręku. Wewnątrz było jedno małe pomieszczenie, puste i pachnące starym moczem. Pod jedną ze ścian ustawiono drewnianą ławkę, a wyżej było okienko, którego rama się zachowała, ale szyba znikła już dawno temu. Chloe uklękła na ławie, twarz wystawiła przez okno, łokcie oparła na parapecie. Siadłem obok niej, a Myles z drugiej strony. Czemu wydaje mi się, że w tej naszej pozie było coś egipskiego: Chloe, która kłęczy i wygląda przez okno, Myles i ja na ławie, twarzą zwrócenii do wnętrza tego małego pomieszczenia? Może dlatego, że tworzę Księżę Zmarłych? Była sfinksem, a my jej kapłanami. Wokół panowała cisza, zakłócana tylko krzykiem mew.

– Chciałabym, żeby się utopiła – powiedziała Chloe, kierując swoje słowa za okno, po czym wybuchła krótkim, ostrym przerywanym śmiechem. – Żeby się utopiła. Cha, cha. Nienawidzę jej.

Ostatnie słowa. Dzień dopiero się zaczął, słońce jeszcze nie wzeszło, kiedy Anna odzyskała przytomność. Trudno mi powiedzieć, czy rzeczywiście czuwałem, czy też śniło mi się, że czuвам. Noce, które spędziłem w fotelu obok jej łóżka, obrodziły dziwnie zwyczajnymi halucynacjami, półsnami, że przygotowuję dla niej posiłki lub rozmawiam o niej z ludźmi, których nigdy nie widziałem, lub po prostu spaceruję z nią po mrocznych, pozbawionych wyrazu ulicach. To znaczy, ja spaceruję, a ona leży przy mnie w śpiączce, a jednak porusza się, w jakiś sposób udaje jej się dotrzymywać mi kroku, ślizga się w litym powietrzu, w tej podróży na Pola Trzciniowe. Obudziła się, odwróciła głowę na wilgotnej poduszce i spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczyma w podwodnym migotaniu lampki nocnej, z wyrazem głębokiego, nieufnego zaskoczenia. Chyba mnie nie poznała. Poczułem się sparaliżowany, zawładnęło mną uczucie po części fascynacji, po części przerażenia, które dopada człowieka podczas nagłego i nieoczekiwanego spotkania sam na sam z istotą z innego, dzikiego świata. Czułem, jak bije mi serce, jak bębni powoli i czysto, jakby przeskakiwało ponad nieskończonym ciągiem identycznych przeszkód. Anna kaszlnęła, a odgłos ten przypomniiał mi grzechotanie kości. Wiedziałem, że to koniec. Czułem, że przerasta mnie ta chwila, chciałem krzykiem wezwać pomocy. Siostró, siostró, proszę tu przyjść, szybko, żona ode mnie odchodzi! Nie mogłem myśleć, wydawało mi się, że w moim umyśle wałają się kamienne mury. Anna ciągle na mnie patrzyła szeroko otwartymi oczyma, nadal zdziwiona, nadal podejrzliwa. Daleko na końcu korytarza ktoś poza zasięgiem wzroku upuścił coś z hukiem, usłyszała ten hałas, co ją chyba uspokoiło. Może myślała, że to moje słowa, może wydawało jej się, że je zrozumiała, bo kiwnęła głową, ale ze zniecierpliwieniem, jakby chciała powiedzieć: Nie, mylisz się, to nie o to chodzi! Wyciągnęła rękę i zacisnęła ją, jak szpony, na moim nadgarstku. Ten mały chwyt – do tej pory go czuję. Niezdarnie, w panice, wstałem z krzesła i padłem na kolana przy jej łóżku, jak

oniemiały wierny, który z czcią rzuca się do stóp zjawy. Anna nadal ścisnęła mi rękę. Drugą dłoń położyłem na jej czole, wydawało mi się, że pod spodem czuję jej umysł, który pracuje gorączkowo, czyniąc ostatni olbrzymi wysiłek wyłonienia z siebie ostatecznej myśli. Czy kiedykolwiek w życiu patrzyłem na nią z taką nagłą uwagą jak teraz? Jakby samo spojrzenie miało ją tu zatrzymać, jakby nie mogła odejść, dopóki moje oko nie mrugnie. Oddychała głęboko, cicho, powoli, jak biegacz, który zatrzymuje się na chwilę, choć wciąż ma do przebycia wiele kilometrów. Jej oddech roztaczał łagodną, suchą woń uschłych kwiatów. Wymówiłem jej imię, ale zamknęła tylko oczy, na chwilę, z lekceważeniem, jakby chciała mi przypomnieć, że – jak powinienem o tym wiedzieć – nie jest już Anną, nie jest już nikim, a potem otworzyła oczy i znowu na mnie spojrzała, dobitniej niż zwykle, już nie z wyrazem zdziwienia, ale z władczą surowością, rozkazując mi, żebym słuchał, słuchał i rozumiał, to wszystko, co chce mi powiedzieć. Wziąłem ją za rękę. Poczułem trzepotliwy puls u nasady jej kciuka. Powiedziałem coś, coś bezmyślnego, na przykład „Nie odchodź”, albo „Zostań ze mną”, ale ona znowu potrząsnęła niecierpliwie głową i szarpnęła mnie za rękę, by mnie do siebie bliżej przyciągnąć. „Zatrzymują zegary”, powiedziała, snując ledwo słyszalną nić szeptu w pełnej konspiracji. „Zatrzymałam czas”. Skinęła głową, a było to poważne, znaczące skinienie, i uśmiechnęła się, przysięgłbym, że się uśmiechnęła.

To ten zwinny, szorstki ruch Chloe, z jakim zrzuciła z ramion sweter, doprowadził do tego, że... nie, ten ruch pozwolił mi położyć rękę na tyle jej uda, kiedy klęczała obok mnie. Skórę miała chłodną i chropowatą od zimna, ale czułem, jak ruchliwa krew roi się tuż pod powierzchnią. Nie odpowiedziała na mój dotyk, ale dalej patrzyła na to, co próbowała zobaczyć – na wodę, być może, na tę powolną niepowstrzymaną falę nadchodzącej powodzi – więc ostrożnie sunąłem ręką wyżej, aż palce dotknęły napiętego rąbka jej kostiumu kąpielowego. Jej sweter, który osiadł na moich kolanach, zsunął się i spadł na podłogę, wywołując we mnie jakąś nieokreśloną myśl, być może o mgiełce drobnych płatków kwiatowych opadających na ziemię, albo o pikującym ptaku. Nie pragnąłem niczego więcej nad to, żeby siedzieć tak z ręką pod jej pupą, kiedy moje serce bije w synkopowanym rytmie, a oczy utknęły w dziurze po sęku w drewnianej ścianie naprzeciwko, gdyby niezauważalnym, konwulsyjnym ruchem nie przesunęła kolana leciutko w bok, i nie otworzyła ud dla moich zaskoczonych palców. Wypukły krok jej kostiumu rozmókł od morskiej wody, która wydawała się parzyć mi palce. Jak tylko się tam dostały, zacisnęła znowu uda, a moja dłoń znalazła się w pułapce. Drgawki jak prądy elektryczne niewielkiej mocy zbiegały po jej ciele do podbrzusza, zwinnym ruchem uwolniła się ode mnie i pomyślałem, że już po wszystkim, ale byłem w błędzie. Szybko odwróciła się, zsunęła z ławki, pomagając sobie kolanami i łokciami, i usiadła koło mnie, wierząc się, i uniosła twarz, i podsunęła mi zimne wargi i gorące usta do pocałunku. Ramiączka jej kostiumu były związane w kokardę na karku. Nie odrywając warg od moich ust, powędrowała ręką za plecy i rozwiązała supełek, a mokry materiał ściągnęła aż do pasa. Nie przerywając pocałunku, przekrzywiłem nieco głowę i okiem, które coś widziało ponad jej uchem, powędrowałem w dół po kręgach jej kręgosłupa do początków wąskiej pupy i rozcięcia, które było barwy czystego stalowego noża. Z gestem zniecierpliwienia wzięła mnie za rękę i przycisnęła ją do ledwo widocznego wzgórka

jednej z jej piersi, której czubek był zimny i twardy. Z drugiej strony Myles siedział z rozstawionymi nogami, głowę oparł o ścianę, zamknął oczy. Chloe po omacku sięgnęła w bok, i znalazła jego rękę, która leżała na ławce wnętrzem do góry, schwyciła ją, a kiedy to robiła, jej usta zacisnęły się na moich i raczej poczułem niż usłyszałem ciche jękiwie miauknięcie, które nabrzmiało w jej krtani.

Nie usłyszałem, jak otwierają się drzwi, zauważyłem tylko zmianę światła w pomieszczeniu. Chloe, przylgnięta do mnie, zeszytywniała, odwróciła szybko głowę i powiedziała coś, jakieś słowo, którego nie dosłyszałem. W drzwiach stała Rose. Była w kostiumie kąpielowym, ale miała na sobie czarne tenisówki, dzięki którym jej nogi stały się nawet dłuższe, bledsze i chudsze. Coś mi przypominała, nie wiedziałem co, z jedną ręką na klamce, z drugą na ościeży drzwi, wydawało się, że zawisa między dwoma silnymi podmuchami, jeden napierał na nią z wnętrza chaty, drugi z zewnątrz uderzał ją w plecy. Chloe w pośpiechu podciągnęła kostium, zawiązała ramiączka na karku, wypowiadając jeszcze raz to słowo, szorstko, pod nosem, to słowo, którego nie rozumiałem – być może było to imię Rose, albo też jakieś przekleństwo – i szybko jak lisica dała nura z ławki, przebiegła pod ramieniem Rose, wyleciała przez drzwi i już jej nie było.

– Panienska tu wróci! – krzyknęła Rose załamującym się głosem. – W tej chwili proszę mi wrócić! Zmierzyła mnie wzrokiem, w którym więcej było smutku niż gniewu, pokręciła głową, odwróciła się i odeszła bocianim krokiem na szcudłowatych białych nogach. Myles, który nadal siedział rozwalony na ławce obok mnie, zachichotał cicho. Spojrzałem na niego ze zdziwieniem. Wydawało mi się, że coś powiedział.

Wszystko, co nastąpiło potem, widzę jakby w miniaturze, jak w kamei, albo w jednej z tych oglądanych z góry, ułożonych scen, na których obrzeżach dawni mistrzowie przedstawiali dramatyczną chwilę w tak drobnych szczegółach, że trudno było je zauważyć pośród błękitnych i złotych przestrzeni morza i nieba. Przez chwilę siedziałem jeszcze na ławie, ciężko oddychając. Myles przyglądał mi się, czekając na mój ruch. Kiedy wyszedłem z budki, Chloe i Rose były daleko, na małym piaszczystym półkolu między wydmami a brzegiem morza, stały naprzeciw siebie i krzyczały sobie w twarz. Nie słyszałem, co mówiły. Nagle Chloe zaczęła tupać we wściekłym dookolnym tańcu, wzbudzając piach pod stopami. Kopnęła ręcznik Rose. To tylko moja wyobraźnia, wiem, ale widzę małe fale, które chlupią łapczywie u jej stóp. W końcu krzyknęła po raz ostatni, zrobiła dziwny siekający gest przedramieniem, odwróciła się i podeszła do brzegu morza, skrzyżowała nogi, siadła na piachu i siedziała, podkurczywszy kolana do piersi, ramionami obejmując łydki, twarz kierując ku horyzontowi. Rose, z rękoma wspartymi na biodrach, stała wpatrzona w jej plecy, ale widząc, że nie uzyska żadnej reakcji, odwróciła się i zaczęła w złości zbierać swoje rzeczy, kładąc ręcznik, książkę i czepek kąpielowy w zgięciu ramienia jak rybaczką, która wrzuca ryby do kosza. Za plecami usłyszałem Mylesa, i po chwili minął mnie, pędząc na łeb na szyję, wydawało się, że nie biegnie, a robi gwiazdę za gwiazdą. Kiedy znalazł się już w miejscu, gdzie siedziała Chloe, przysiadł koło niej, objął ją ramieniem i złożył głowę przy jej głowie. Rose zatrzymała się, obrzuciła niepewnym spojrzeniem tych dwoje, obejmujących się, odwróconych plecami do świata. Po chwili wstali bez słowa i weszli do morza, a woda, gładka jak oliwa, nie wzburzyła się od ich kroków. Pochylili się jednocześnie i popłynęli powoli, ich bliźniacze głowy pojawiały się i znikwały na białawej martwej fali. Dalej, dalej.

Przyglądaliśmy się im, ja z Rose, ona przyciskała do siebie zebrane rzeczy, a ja po prostu stałem. Nie wiem, o czym wtedy myślałem, nie pamiętam, żebym w ogóle o czymkolwiek myślał. Są takie chwile, nie dość częste, kiedy umysł zwyczajnie się wyłącza. Wypłynęli bardzo daleko, tak daleko, że zamienili się w blade kropki między bladym niebem a jeszcze bledszym morzem, a po chwili jedna z kropek znikła. Potem wszystko zakończyło się już bardzo szybko – skończyło się to, co dane nam było zobaczyć. Plusk, biała woda, bielsza niż morze wokół, a potem nic, zasklepił się obojętny świat.

Rozległ się krzyk, odwróciliśmy się z Rose i ujrzeliśmy dużego mężczyznę o czerwonej twarzy z krótko przyciętą siwą grzywką, który nadbiegał ku nam po wydmach, sadził przez ruchome piaski w komicznym pośpiechu. Miał na sobie żółtą koszulę, spodnie w kolorze khaki i dwubarwne buty, i wymachiwał kijem golfowym. Te buty mogłem wymyślić. Jestem jednak pewien, że na prawej ręce, tej z kijem golfowym, miał rękawiczkę; była jasnobrązowa, bez palców, a wierzch dziurawy jak sito. Nie mam pojęcia, dlaczego właśnie ona zwróciła moją uwagę. Krzyczał, że ktoś powinien zawołać ratownika. Wydawało się, że kipi w nim wielki gniew, wywijał kijem w powietrzu jak wojownik zuluski maczeta. Zulusi i maczeta? Może chodzi mi o sagaj? Pomocnik niosący za nim kije, biedne chuchro w trudnym do ustalenia wieku, w zapiętej na ostatni guzik tweedowej marynarce i tweedowej czapce, stał na wydmach, kontemplował rozgrywającą się poniżej scenę z ironicznym wyrazem twarzy, opierając się od niechcenia na torbie golfowej i krzyżując nogi w kostkach. Wkrótce pojawił się jakiś umięśniony młodzieniec w obcisłych niebieskich kąpielówkach, nie wiem skąd, wydawało się, że wyłonił się w swojej cielesnej postaci z czystego powietrza, i bez jakichkolwiek wstępów wskoczył do morza i popłynął szybko, tnąc wodę fachowymi, zdecydowanymi ruchami ramion. Rose zaczęła chodzić tam i z powrotem wzdłuż brzegu morza, trzy kroki w jedną stronę, stop, obrót, trzy kroki w drugą stronę, stop, obrót, jak biedna obłąkana Ariadna na wybrzeżu wyspy Naksos, nadal przyciskając do piersi ręcznik, książkę i czepek. Po pewnym czasie niedoszły ratownik znowu się pojawił, wychodził ku nam z pozbawionej fal wody spowolnionym krokiem pływaka, potrząsając głową i prychnąwszy, „Nie dało rady – mówił – nie dało rady”. Rose wydała z siebie zduszony szloch i gwałtownie kręciła głową, a golfiarz piorunował ją wzrokiem. Po chwili wszyscy zaczęli się kurczyć za moimi plecami, bo biegłem, próbowałem biec, po plaży, w stronę Station Road i Domu pod Cedrami. Dlaczego nie pobiegłem na skrót,

przez pola Hotelu Golf, prosto na drogę, gdzie byłoby mi znacznie łatwiej biec? Ale ja nie chciałem, żeby mi było łatwiej. Nie chciałem dobiec tam, dokąd biegłem. Często w snach powracam w to miejsce, biegnę przez ten piach, który stawia mi coraz większy opór, aż się wydaje, że moje stopy też są zrobione z jakiejś kruszejącej masy. Co czułem? Najsilniejsze, jak sądzę, było poczucie trwogi, trwogi wobec siebie samego, to znaczy kogoś, kto znał dwie żywe istoty, teraz niespodziewanie, zdumiewająco martwe. Ale czy naprawdę wierzyłem, że są martwe? Wyobrażałem ich sobie, jak wiszą gdzieś w przepastnej jasnej przestrzeni, wyprostowani, stykając się ramionami, z oczyma szeroko otwartymi, i patrzą odważnie w bezkresną głębię światła.

I oto wreszcie zielona metalowa brama, samochód zaparkowany na żwirowym podjeździe, frontowe drzwi, szeroko otwarte jak zazwyczaj. Wewnątrz cisza i spokój. Przeszedłem przez pokoje, jakbym sam był niematerialną istotą, dryfującym duchem, Arielem uwolnionym i zagubionym. Znalazłem panią Grace – siedziała w saloniku. Odwróciła się do mnie i podniosła rękę do ust, za jej plecami ścieliło się mleczne słońce popołudnia. To wszystko cisza, jeśli nie liczyć sennego szumu lata dobiegającego zza okien. Wtedy wszedł Carlo Grace ze słowami „Cholera jasna, wydaje mi się...”, i on też się zatrzymał, i staliśmy tak w milczeniu, nasza trójka, w końcu.

Dobrze się sprawiłem?

Noc, świat pogrążony w ciszy, jakby nikogo tu nie było, nawet mnie samego. Nie słyszę morza, które w inne dni grzmi i warczy, raz bliskie i zgrzytliwe, to znów dalekie i ciche. Nie zgadzam się na taką samotność. Dlaczego nie wracasz i mnie nie dręczysz? Przynajmniej tego bym od ciebie oczekiwał. Skąd ta cisza, dzień po dniu, noc po niekończącej się nocy? Przypomina mgłę, to twoje milczenie. Na początku była to niewyraźna plama na horyzoncie, po chwili byliśmy w samym centrum tego wszystkiego, oślepieni, potykaliśmy się, uczepliwszy jedno drugiego. Zaczęło się tego dnia, po wizycie u pana Todda, kiedy wyszliśmy z kliniki na opustoszały parking, wszystkie auta stały tam we wzorowym porządku, lśniące jak morświny, w zupełnej ciszy, ani śladu tej młodej kobiety i jej stukających wysokich obcasów. Potem nasz dom zdrzął i runął we własną odmianę ciszy, wkrótce po nim – ciche korytarze szpitali, wyciszone oddziały, izby przyjęć, wreszcie ta ostatnia, ostateczna sala. Przyślij tu swojego ducha. Poddaj mnie męczarniom, jeśli chcesz. Niech zagrzechoczą twoje kajdany, całuny niech spłyną po posadzkach, niech rozlegnie się lament zwiastującej śmierć zjawy, cokolwiek. Dałbym wszystko za ducha.

Gdzie moja butelka. Chcę butelki dla dużych niemowląt. Chcę ukojenia.

Panna Vavasour rzuca mi pełne litości spojrzenie. Wzdrygam się pod jego ciężarem. Wie, jakie chciałbym zadać pytania. Pytania, które paliłem się jej zadać, od kiedy tu przyjechałem, ale nigdy nie stało mi na to odwagi. Dziś rano, kiedy widziała, jak po cichu ponownie ubieram je w słowa, pokręciła głową, ale nie był to gest nieprzyjazny.

– Nie mogę panu pomóc – powiedziała, uśmiechając się. – Na pewno pan o tym wie.

Co ma na myśli, mówiąc „na pewno”? Tak mało wiem o czymkolwiek. Jesteśmy w saloniku, siedzimy we wnęce wykuszowego okna, jak tyle razy wcześniej. Za oknem jest jasno i zimno, pierwszy prawdziwy dzień zimy. To wszystko jest w *praesens historicum*. Panna Vavasour zajęta jest cerowaniem, podejrzewam, że to skarpetka pułkownika. Ma drewniany przyrząd, w kształcie dużego grzyba, na który naciąga piętę skarpety, żeby zacerować w niej dziurę. Odpręża mnie obserwowanie, jak oddaje się tej ponadczasowej pracy. Potrzebuję odpoczynku. Głowę mam wypchaną mokrą watą, a w ustach rozpanoszył się kwaśny posmak wymiocin, od którego nie mogą uwolnić mnie serwowane przez pannę Vavasour herbatki z mlekiem i cieniutkie grzanki. Mam także pulsującego siniaka na skroni. Siedzę na wprost panny Vavasour, zmieszany i skruszony. Czuję się, jeszcze wyraźniej niż zazwyczaj, jak młodociany przestępca.

Ale też co za dzień przeżyliśmy wczoraj, co za noc, no i, wielki Boże, co za poranek! Zaczęło się całkiem piękną obietnicą. Ironicznym zrządzeniem losu miała do nas przyjechać córka pułkownika, wraz z mężulkiem i dziećmi. Pułkownik okazywał nonszalancję, odgrywając rolę szorstkiego mężczyzny – „Czeka nas prawdziwa inwazja!” – ale przy śniadaniu ręce zaczęły mu tak mocno drżeć z przejęcia, że wraz z nimi drżał też stół i grzechotały filiżanki na spodkach. Panna Vavasour próbowała go przekonać, że córka z rodziną powinna zostać na lunch, że upiecze kurczaka, i pytała, jakie lody będą smakowały dzieciom.

– Ależ doprawdy – wybuchnął pułkownik – nie ma takiej potrzeby!

Było oczywiste, że głęboko to przeżywa, i przez chwilę miał wilgotne oczy. Sam z niecierpliwością czekałem na tę wizytę, miałem nadzieję, że wreszcie będę mógł zobaczyć tę jego córkę i jej supermężczyznę. Perspektywa przyjazdu dzieci trochę mnie zniechęcała; muszę przyznać, że przy dzieciakach zamieniam się w Gilles’a de Rais.

Goście mieli przyjechać w południe, ale wybiła dwunasta, nastąpiła i minęła godzina lunchu, a pod bramę nie podjechał żaden samochód, nie rozległy się radosne wrzaski „milusińskich”. Pułkownik chodził tam i z powrotem, za plecami ścisnął kurczowo nadgarstek, albo zatrzymywał się pod oknem, wysuwał podbródek, podciągał mankiet, podnosił rękę do oczu i patrzył z wyrzutem na zegarek. Ja i panna Vavasour siedzieliśmy jak na szpilkach, nie mieliśmy odwagi przerwać tej ciszy. Woń pieczonego kurczaka roznosząca się po całym domostwie wydawała się okrutnym żartem. Było już późne popołudnie, kiedy w holu zadzwonił telefon, na którego dźwięk wszyscy zerwaliśmy się z miejsc. Pułkownik przyłożył ucho do słuchawki jak zrozpaczony spowiednik w konfesjonale. Rozmowa nie trwała długo. Próbowaliśmy nie słuchać jego słów. Wszedł do kuchni, odchrząknął.

– Samochód – powiedział, unikając naszego wzroku.

– Zepsuł się.

To oczywiste, że go okłamali, albo że on nas okłamywał. Zwrócił się do panny Vavasour z beznadziejnie smutnym uśmiechem.

– Przykro mi, że kurczak się zmarnuje – powiedział.

Namawiałem go, żebyśmy wyszli na drinka, ale nie miał ochoty. Czuł się nieco zmęczony, powiedział, że rozbolała go nagle głowa. Poszedł do swojego pokoju. Jakim ciężkim szedł krokiem po schodach, jak cicho zamknął za sobą drzwi do sypialni.

– Boże, Boże – powiedziała panna Vavasour.

Poszedłem więc sam do baru Na Molo i spiłem się. Nie było to moim zamiarem, ale się spiłem. Wieczór był jesienno-melancholijny, pokryty smugami wieczornego światła, które wydawało się dalekim wspomnieniem czegoś, co w odległej przeszłości było świetną feerią południa. Wcześniejszy deszcz pozostawił na drodze kałuże, bledsze niż niebo, jakby umierały w nich ostatnie godziny dnia. Wiało, poły płaszcza trzepotały mi wokół nóg jak moi milusińscy, próbujący powstrzymać tatusia przed pójściem do pubu. A jednak poszedłem. Bar Na Molo to ponury przybytek, nad którym dominuje olbrzymi odbiornik telewizyjny, nie ustępujący w niczym panoramikowi panny V., wiecznie włączony, ale z wyłączoną fonią. Barmanem jest tłusty, łagodny i powolny mężczyzna, który prawie się nie odzywa. Ma dziwne nazwisko, którego w tej chwili nie pamiętam. Wypiłem podwójną brandy. W mojej pamięci wyróżniają się dziwne chwile tego wieczoru, nieostre i jaskrawe, jak lampy uliczne we mgle. Pamiętam, że sprowokowałem jakąś kłótnię, albo zostałem do niej sprowokowany, ze starszym gościem przy barze, ktoś znacznie młodszy zwrócił mi uwagę, pewnie jego syn, albo wnuk, pchnąłem go, a on zagroził, że wezwie policję. Kiedy barman zainterweniował – Barragry, tak się nazywał – próbowałem go odepchnąć, rzucając się na niego przez bar, krzycząc zachrypniętym głosem. To do mnie niepodobne, nie wiem, o co poszło, to znaczy, czy było coś jeszcze poza tym, o co zazwyczaj w takich bójkach chodzi. W końcu uspokoił mnie, zrzedząc pod nosem wróciłem do swojego miejsca przy stoliku w kącie pod niemyim telewizorem, usiadłem, mamrotałem do siebie i wzdychałem. Te pijackie westchnienia, musujące i rozdygotane, brzmią czasami jak szloch. Ostatnie światło wieczoru, które widziałem przez niepomalowaną górną część barowego okna, miało ten gniewny, purpurowo-brązowy odcień, który wstrząsał mną i mnie niepokoił – to barwa zimy. Nie mam nic przeciwko zimie, przeciwnie, to moja ulubiona pora roku, oprócz jesieni, ale tego roku listopadowa poświata wydawała się zapowiadać coś więcej niż zimę i

popadłem w nastrój gorzkiej melancholii. Szukając sposobów uśmierzenia tego bólu w sercu, zamówiłem jeszcze jedną brandy, ale Barragry nie chciał mnie obsłużyć, i słusznie, jak teraz to widzę, a ja wybiegłem we wściekłym oburzeniu, albo też próbowałem wybiec, ale tylko wytoczyłem się na chwiejnych nogach i wróciłem do Domu pod Cedrami i do własnej butelki, którą pieszczotliwie nazwałem Małym Kapralem. Na schodach minąłem pułkownika Blundena i zamieniłem z nim kilka słów, ale nie wiem dokładnie, na jaki temat.

Była już noc, nie zostałem jednak w swoim pokoju, ani nie poszedłem spać, schowałem butelkę pod płaszczem i wyszedłem ponownie. O tym, co wydarzyło się potem, mam tylko niepełne i mroczne wspomnienia. Pamiętam, że stałem na wietrze w drżącej poświacie lampy ulicznej, czekając na jakieś wielkie i ogólne objawienie, ale straciłem nim zainteresowanie, zanim w ogóle nadeszło. Potem znalazłem się samotnie na plaży, siedziałem na piasku z nogami wyciągniętymi przed siebie, a butelkę brandy, już pustą, albo prawie pustą, ustawiłem między udami. Na morzu płonęły światełka, daleko od brzegu, podskakiwały i chwiały się, jak światełka kutrów rybackich, ale chyba je sobie wyobraziłem, bo w tych rejonach nie łowi się przecież ryb. Było mi zimno, mimo płaszcza, którego grubość nie była wystarczająca, żeby uchronić moje tylne partie przed zimną wilgocią piasku, na którym siedziałem. A jednak to nie zimno ani nie wilgoć kazały mi się podnieść na nogi, ale ochota znalezienia się bliżej tych świateł i zbadania ich; może w mojej głowie zaświtała też myśl, żeby wejść do morza i popłynąć w ich kierunku. Tak czy owak na brzegu morza straciłem równowagę i upadłem, uderzając skronią o kamień. Leżałem tam, nie wiedzieć jak długo, tracąc i odzyskując świadomość, nie mogąc lub nie chcąc się ruszyć. Dobrze, że był odpływ. Nie odczuwałem bólu, ani nie byłem szczególnie zmartwiony. Tak naprawdę wydawało mi się, że nie ma w tym nic niezwykłego: leżę po prostu jak długi na piasku, w ciemnościach, pod burzowym niebem, patrząc na fosforyzujące fale, które tupoczą z zapałem do przodu i zaraz ruszają do odwrotu, jak stado wścibskich, ale lękliwych myszy, a Mały Kapral, równie pijany jak ja, toczy się tam i z powrotem po kamykach, zgrzytliwie, i słyszę nad głową wiatr wiejący przez wielkie niewidzialne dziury i kominy powietrza.

Musiałem zapaść w sen, a może wręcz straciłem przytomność, nie pamiętam bowiem chwili, kiedy odnalazł mnie pułkownik, choć on sam twierdzi uparcie, że całkiem rozsądnie z nim rozmawiałem, że pozwoliłem mu wziąć się pod rękę i odprowadzić do Domu pod Cedrami. Tak musiało być, to znaczy, musiałem być w jakimś stopniu świadomy, nie miałby z pewnością tyle siły, żeby bez niczyjej pomocy postawić mnie na nogi, a co dopiero żeby zaciągnąć mnie z plaży pod drzwi mojej sypialni, zarzuciwszy mnie na plecy, być może, albo ciągnąc mnie za nogi. Ale skąd wiedział, gdzie mnie szukać? Wydaje się, że w naszej konwersacji na schodach – choć konwersacja to nie najlepsze w tym kontekście słowo, gdyż według niego prawie nie dałem mu dojść do słowa – przez dłuższy czas opowiadałem o znanym fakcie, który był znany tylko mnie i był faktem tylko dla mnie, że utonięcie to najłagodniejsza śmierć, a kiedy późnym wieczorem nie słyszał, żebym wracał znad morza, i bał się, że faktycznie mogę w stanie upojenia odebrać sobie życie, postanowił udać się na poszukiwania. Musiał przez długi czas przeszukiwać plażę i już miał zarzucić dalsze działania, kiedy promień księżycy albo najjaśniejsza z gwiazd oświetliły moją postać: leżałem na wznak na kamiennym przybrzeżu. Kiedy po długim błędzeniu i wielu przerwach na moje rozwlekłe dywagacje na niezliczone tematy dotarliśmy wreszcie do Domu pod Cedrami, pomógł mi wejść po schodach na górę i odprowadził mnie do drzwi sypialni. Wszystko to wiem z jego sprawozdania, gdyż z tej zamroczonej anabazy niczego, jak już mówiłem, nie pamiętam. Później słyszał mnie w pokoju, słyszał, jak hałaśliwie wymiotuję – nie na dywan, ale przez okno na podwórze za domem, o czym mówię z ulgą – a potem najprawdopodobniej padłem ciężko na podłogę, postanowił więc wejść do mojego pokoju, a tam zobaczył, po raz drugi tego wieczoru, że leżę, jak to się mówi, jak kłoda u stóp łóżka, nieświadomy, i, jak sądził, potrzebujący natychmiastowej lekarskiej pomocy.

Obudziłem się o młodej godzinie ciemnego jeszcze ranka i ujrzałem dziwną, niepokojącą scenę, którą uznałem wpieryw za halucynację. Był tam pułkownik, odszykowany jak zwykle, w tweedowym swetrze i spodniach z diagonalu – tej nocy wcale nie położył się spać – chodził po pokoju tam i z powrotem, z marsową miną, podobnie jak, w co trudniej uwierzyć, panna Vavasour, która, jak się wkrótce miało okazać, także słyszała, albo raczej odczuła, w kościach starego domostwa, ten hałas, kiedy padłem na podłogę po ataku torsji pod oknem. Miała na sobie japoński szlafrok, a na włosach siateczkę, jakiej nie widziałem od dzieciństwa. Siedziała na krześle, w pewnej ode mnie odległości, pod ścianą, bokiem, w pozie przypominającej matkę Whistlera, z rękoma złożonymi na podołku, z pochyloną głową, tak że jej oczodoły wyglądały jak dwie dziury pustej czerni. Lampka, którą mylnie wziąłem za świeczkę, paliła się przed nią na stoliku, rzucając krąg przyćmionego światła na tę scenę, która w swojej konstrukcji – emanująca przyćmionym światłem kompozycja z siedzącą kobietą i krocącym mężczyzną – mogła być jakimś nocnym studium autorstwa Gericaulta albo de la Toura. Skonsternowany, zarzuciłem wszelkie próby zrozumienia rozgrywającej się przede mną sceny, jak i tego, jakim cudem tych dwoje się tu znalazło, znowu zapadłem w sen, a może znowu straciłem przytomność.

Kiedy się obudziłem, zasłony były rozsunęte i zobaczyłem, że nastał dzień. Pokój wydawał się teraz jakby speszony i przywołany do porządku, wszystko było tu blade i bez wyrazu, przypominając twarz kobiety o poranku, przed nałożeniem makijażu. Na zewnątrz jednolicie białe niebo rozsiało się chmurnie i nieruchomo; miałem wrażenie, że wisi zaledwie jard lub dwa ponad dachem budynku. Wydarzenia ostatniej nocy zaczęły powoli wracać, niejasne, zawstydzone, do mojej przyćmionej świadomości. Pościel, pognieciona i poskręcana, leżała w nieładzie wokół mnie, jak po hulance, w powietrzu unosił się silny zapach wymiocin. Podniosłem dłoń i przez głowę przebiegł mi impuls bólu, kiedy palcami dotknąłem nabrzmienia na skroni, miejsca, w które się uderzyłem, padając na kamień. Dopiero wtedy zobaczyłem jakiegoś młodzieńca siedzącego na moim krześle. Zerwałem się z przerażenia, aż zaskrzypiało pode mną łóżko, a młodzieniec ten siedział pochylony do przodu, ręce położył na moim biurku i czytał książkę, która leżała przed nim na mojej skórzanej podkładce. Miał okulary w stalowej oprawce, czoło wysokie, łysiejące, na głowie rzadkie włosy nieokreślonego koloru. Jego ubranie też było bez wyrazu, miałem jednak wrażenie, że ma na sobie mocno sfatygowane sztruksy. Kiedy usłyszał, że się poruszyłem, niespiesznie podniósł wzrok znad książki, odwrócił głowę i spojrzał na mnie spokojnie, a nawet uśmiechnął się, choć bez radości, i zapytał, jak się czuję. Skonsternowany – to chyba trafne słowo – wygramoliłem się z łóżka, które zdawało się chwiać pode mną, jakby materac wypełniony był jakąś gęstą i kleistą cieczą, i zmierzyłem go władczym, pytającym spojrzeniem. On jednak nadal przyglądał mi się, zachowując niewzruszony spokój.

– Doktor – odezwał się, a wypowiedział to słowo tak, jakby był tylko jeden doktor na świecie.

Był tutaj i mnie zbadał, kiedy byłem nieobecny – nieobecny, tak to określił, a ja zastanawiałem się przez chwilę, czy ponownie wybrałem się na plażę, nawet o tym nie wiedząc – i powiedział, że mam prawdopodobnie wstrząśnienie mózgu, powiązane z poważnym, choć przejściowym zatruciem alkoholowym. Prawdopodobnie? Prawdopodobnie?

– Claire nas tu przywiozła – powiedział. – Teraz śpi.

Jerome! Oblubieniec bez podbródka! Teraz go poznałem. Jak temu robakowi udało się ponownie wkraść w łaski mojej córki? Czy był jedyną osobą, która przysłała jej na myśl, jedyną osobą, do której mogła się zwrócić, w samym środku nocy, kiedy pułkownik lub panna Vavasour, którekolwiek z nich zadzwoniło, by przekazać jej wieść o tarapatach, w jakie właśnie wpakował się jej ojciec? Jeśli tak, myślałem, to cała wina po mojej stronie, choć szczerze mówiąc, nie wiedziałem, dlaczego. Jakże kłąłem na siebie, kiedy leżałem na łóżku doży, wstawiony i zamulony i zupełnie bez sił, by podskoczyć i schwycić tego bezczelnego gościa za kark i wyrzucić go po raz drugi. Ale najgorsze dopiero miało nadejść. Wyszedł sprawdzić, czy Claire już się obudziła, a po chwili wrócił z nią, wymizerowaną, z zaczerwienionymi oczyma, ubraną w halkę, na którą miała zarzucony płaszcz przeciwdeszczowy; powiadomiła mnie z marszu, z miną osoby, która w pośpiechu ściąga na siebie ogień ostrzału, żeby skuteczniej się przed nim osłonić, że są już zaręczeni. Przez chwilę byłem na tyle tym odurzony, że nie wiedziałem, o czym mówi – zaręczona z kim i co z tego ma wynikać? – była to chwila, która, jak się wkrótce okazało, wystarczyła, żeby mnie pokonać. Nie udało mi się wrócić do tego tematu, a każda mijająca chwila tylko utrwaliała jej zwycięstwo nade mną. Tak właśnie, w okamgnieniu, odnosi się w tych sprawach sukcesy bądź ponosi porażki. Poczytajcie de Maistre'a na temat sztuki wojennej.

Ale nie poprzestała na tym, lecz, uskrzydłona początkowym triumfem, korzystając z przewagi, jaką dawała jej nade mną moja czasowa niedyspozycja, przeszła do rozkazów, z ręką metaforycznie wspartą na biodrze. Mam się pakować, natychmiast opuścić Dom pod Cedrami i wrócić z nią do domu – dom, powiedziała, dom! – gdzie się mną zaopiekuje, a ta opieka będzie oznaczała, jak mam rozumieć, odstawienie wszystkich alkoholowych środków pobudzających czy też nasennych, do czasu, kiedy doktor (znowu on!) uzna mnie za zdolnego do czegoś, chyba do życia. Co mam robić? Jak mogę się sprzeciwić? Mówi, że najwyższy czas, żebym wziął się poważnie do roboty.

– Kończy już – powiadomiła narzeczonego, nie bez akcentu córczynej dumy – wielką książkę o Bonnardzie.

Nie miałem odwagi powiedzieć jej, że moja „wielka książka” o Bonnardzie – brzmi to jak przedmiot, w który można rzucać kokosami – nie wyszła poza połowę przyszłego pierwszego rozdziału i notatnik pełen wtórnych i niedopieczonych potencjalnych myśli. Nieważne, to bez znaczenia. Mogę zająć się czymś innym. Mogę pojechać do Paryża i zacząć malować. Albo zamknąć się w klasztorze, spędzić resztę życia na cichej kontemplacji nieskończoności, albo napisać tam wielki traktat, wulgatę umarłych, już widzę siebie w celi, z długą brodą, z gęsim piórem, z kapeluszem i potulnym lwem, a przez okno obok – moich miniaturowych chłopów, którzy gdzieś daleko pracują przy sianokosach, a ponad moim czołem unosi się gołąb promienny. Ach, tak, życie brzemienne jest w możliwości.

Podjeżdżam, że nie pozwolą mi sprzedać domu.

Panna Vavasour mówi, że będzie jej mnie brakować, ale jest pewna, że „postępuję właściwie”. Odpowiadam, że wyjazd z Domu pod Cedrami trudno nazwać moją decyzją, że jestem do tego zmuszony. Uśmiecha się na te słowa.

– Och, Max – mówi – chyba nie jest pan człowiekiem, którego można by do czegokolwiek zmusić.

Daje mi to do myślenia, nie dlatego, że tymi słowami złożyła hołd sile mojej woli, ale, co uświadamiam sobie z szokiem, że po raz pierwszy zwróciła się do mnie po imieniu, a mimo to nie sądzę, że mógłbym odezwać się do niej „Rose”. Pewien formalny dystans jest potrzebny, żeby podtrzymać tę delikatną więź, jaka się między nami wytworzyła, zawiązała ponownie, w ciągu tych kilku ostatnich tygodni. Na ten sygnał zażyłości nadciągają ponownie stare, niewypowiedziane pytania. Chciałbym ją zapytać, czy obarcza się winą za śmierć Chloe – bo myślę, choć przyznaję, bez solidnych dowodów, że najpierw na dno poszła Chloe, a dopiero potem Myles, próbując ją ratować – i czy uważa, że śmierć ich obojga w morzu była rzeczywiście wypadkiem czy może czymś innym. Pewnie by odpowiedziała, gdybym ją zapytał. Nie jest niemową. Paplała, ile wlezie o Grace’ach, Carlu i Connie – „Ich życie, oczywiście, legło w gruzach” – i o tym, jak oboje zmarli niedługo po stracie bliźniąt. Najpierw odszedł Carlo, miał tętniaka, a potem Connie, zginęła w wypadku samochodowym. Pytam o ten wypadek, a ona spogląda na mnie znacząco: „Nie była z tych, którzy popełniają samobójstwa”, mówi, wykrzywiając nieznacznie usta.

Byli dla niej dobrzy po wypadku, mówi, nigdy nie usłyszała od nich ani słowa oskarżenia, że nie dopełniła obowiązków. Urządzili ją w Domu pod Cedrami, znali krewnych Bun, namówili ich, żeby najęli ją do opieki nad domem.

– I ciągle tu jestem – mówi ze smutnym uśmieszkiem.

– Po tych wszystkich długich latach.

Pułkownik krząta się na piętrze, słysząc delikatny, ale wyraźny hałas; cieszy się, że wyjeżdżam, wiem o tym dobrze. Podziękowałem mu za pomoc poprzedniej nocy.

– Prawdopodobnie ocalił mi pan życie – powiedziałem, uświadamiając sobie niespodziewanie, że tak prawdopodobnie było.

Posapywanie, chrząkanie – „co pan, panie szanowny, spełniłem tylko, cholera, swój obowiązek!” – i ręka, która chwyta mnie za ramię w szybkim uścisku. Wręczył mi nawet na odchodnym prezent, pióro wieczne firmy Swan, chyba równie stare jak on sam, w firmowym pudełku, na ściółce z pożółkłej bibułki. Kreślę nim te słowa, sunie elegancko po papierze, gładko i szybko, czasami tylko zdarza się mu jakiś kleks. Zastanawiam się, skąd je miał. Nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Mnie się nie przyda – zapewnił. – Nigdy sam z niego nie korzystałem, niech je pan weźmie, przyda się panu przy pisaniu, no wie pan.

I wrócił do swoich zajęć, zacierając białe, stare, suche dłonie. Zauważyłem, że choć nie była to niedziela, ubrał się w żółtą kamizelkę. Nigdy już się nie dowiem, czy rzeczywiście jest emerytowanym wojskowym, czy zwykłym oszustem. To kolejne pytanie, którego nie umiem zadać panie Vavasour.

– Jeśli mi kogo brak, to tylko jej – mówi – Connie... Pani Grace, znaczy się.

Wydaje mi się, że robię wielkie oczy, a ona spogląda na mnie ponownie tym swoim litościwym wzrokiem. On mnie nie obchodził – mówi. – Chyba nie myślał pan?...

Przypomniałem sobie, jak stała pode mną pod drzewem tamtego dnia i szlochała, z głową złożoną na tacy skróconych w perspektywie ramion, z wilgotną chusteczką w dłoni.

– Tak, tak – powiedziała. – To nie o niego szło.

I przypomniałem też sobie ten dzień pikniku, kiedy siedziała za mną na trawie i patrzyła tam, dokąd biegł także mój łapczywy wzrok, i ujrzałem, co nie dla moich oczu było przeznaczone. Nie dla moich oczu.

Anna zmarła przed świtem. Prawdę powiedziawszy, nie było mnie wtedy przy niej. Wyszedłem przed dom opieki, żeby odetchnąć czarnym i lśniącym powietrzem poranka.

I w tej chwili, tak cichej i posępnej, przypomniałem sobie inną chwilę, dawno temu, nad morzem tego lata w Ballyless. Poszedłem sam pływać, nie wiem dlaczego, ani gdzie wtedy mogli być Chloe i Myles; może pojechali dokądś z rodzicami, byłaby to w takim razie jedna z ostatnich ich wspólnych wycieczek, może ostatnia. Niebo było zamglone, a powierzchni morza nie marszczył żaden wiatr, przy brzegu drobne fale załamywały się w ospałym rządku, raz po raz, jak rąbek spódnicy, który śpiąca szwaczka obrzuca po wielokroć. Na plaży było niewielu ludzi, a ta garstka, która tu przyszła, znajdowała się daleko ode mnie; gęste, nieruchome powietrze sprawiało, że ich głosy wydawały się dobiegać z jeszcze dalszych rejonów. Stałem po pas w wodzie, która była doskonale przezroczysta, widziałem więc jasno pod sobą garbowany piasek dna, maleńkie muszelki i szczątki połamanych kleszczy należących kiedyś do krabów, a także moje stopy, blade i obce, jak okazy pod szkłem. Kiedy tak stałem, nagle, nie, nie nagle, ale w gwałtownym przypływie, całe morze nabrzmiało, nie była to fala, raczej gładkie, toczące się narastanie, które zdawało się mieć początek w głębinach, jakby tam, na dole, coś olbrzymiego się poruszyło, i czułem, że coś mnie unosi i przemieszcza ku brzegowi, i ustawia mnie na powrót na stopach, jakby nic się nie stało. I rzeczywiście, nic się nie stało, doniosłe nic, po prostu po raz kolejny wielki obojętny świat wzruszył ramionami.

Z budynku wyszła pielęgniarka, żeby mnie zawołać, odwróciłem się i poszedłem za nią do środka, i poczułem się, jakbym wchodził do morza.